



Deadline  
*na szczęście*

*Anna Tabak*

*Anna Tabak*

**Deadline**  
*na szczęście*

---

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

---

Pierwsze promienie wiosennego słońca zajrzały do stylowo urządzonej sypialni, nieśmiało przebijając się przez wolną przestrzeń pod rzymskimi roletami. Nic nie zapowiadało tego, że szykuje się najbardziej pechowy dzień, jaki tylko można sobie wyobrazić. Ewa, nieświadoma jeszcze czekających ją kopniaków od złośliwego losu, przeciągnęła się powoli i spojrzała na wyświetlacz smartfona — 5.20. Dla niektórych to pewnie nieludzka pora, ale dla niej wczesne wstawanie nie było żadnym problemem, bo dzięki temu miała więcej czasu dla siebie. Więcej czasu, żeby się przygotować, zadbać o swój wygląd, sprawdzić, czy na pewno wszystko ma ze sobą. Nie znosiła wychodzić z mieszkania w pośpiechu.

Wysunęła się delikatnie spod kołdry, aby nie obudzić Jacka. Jej mąż funkcjonował w zupełnie innych godzinach, zwykle się mijali, ale nie narzekała z tego powodu. Prawdę mówiąc, nawet jej to odpowiadało. Jej życie, jego życie i jakiś tam wspólny kawałek życia pośrodku. Wystarczy.

Zimny prysznic skutecznie ją orzeźwił i dodał energii. Obiecywała sobie, że nie będzie myślała o pracy poza biurem, ale nie mogła się powstrzymać. Poniedziałek zapowiadał dziesiątki nowych wyzwań w ciągu kolejnych pięciu dni. „Nie problemów i nadgodzin” — jak zakładała większość jej podwładnych — pomyślała, uśmiechając się ironicznie. „Wyzwań”. Malując idealnie równe kreski i nakładając cienie na powieki, zrobiła w głowie szybki przegląd zadań na dziś. Meeting w sprawie nowego projektu. Skontaktować się z działem HR i w razie potrzeby naciskać, żeby nareszcie znaleźli nowego pracownika do jej zespołu. Przygotować prezentację statystyk miesięcznych na jutro. Zatwierdzić timesheety i urlopy. Sprawdzić i podpisać kilkadziesiąt sprawozdań czekających na jej aprobatę. Poprosić kogoś z działu IT o wzór wniosku na dodatkowe monitory. I cały milion innych, rutynowych zadań dla zasady zapisanych w kalendarzu, do którego jednak prawie nie zaglądała. Pamięć jeszcze nigdy jej nie zawiodła.

Ewa związała ciemne, proste włosy w ciasny kucyk i jeszcze w ręczniku podeszła do szafy w korytarzu. Ciemnoszara koszula z fantazyjną kokardą pod szyją i klasyczna ołówkowa spódnica będą w porządku. Jeszcze tylko czarne szpilki i marynarka — klasyka i elegancja to styl, w którym zdecydowanie czuła się najlepiej i w swojej opinii prezentowała się najbardziej dojrzałe i profesjonalnie. Wrzuciła do torebki butelkę wody mineralnej, batonika musli i jogurt, zlokalizowała kluczyki do swojego samochodu i chwilę później zjeżdżała windą na podziemny parking. Po piętnastu minutach spokojnej jazdy (wyjątkowo bez korków!) zaparkowała na tyłach wieżowca z mocno rzucającym się w oczy srebrnym logo J&S International.

Choć powinna zaczynać pracę o 8.00, lubiła pojawiać się w biurze nawet całą godzinę wcześniej. Atmosfera o tej porze była specyficzna, wręcz nierealna. Wszędzie panował półmrok, a przejmująca cisza niejedną osobę przyzwyczajoną do gwaru rozmów, szumu drukarek i dzwoniących telefonów przyprawiłaby

o ciarki na plecach. Dla Ewy była to jednak godzina dla siebie. Mogła przejść nieśpiesznie przez korytarz, unikając ciekawskich i oceniających spojrzeń, i spokojnie przygotować się do pracy. Jediną osobą, jaką mogła teraz spotkać, była pani Zosia — przemiała starsza kobieta dbająca o porządek na siódmym i ósmym piętrze. W oczach Ewy jej dodatkową zaletą było to, że się nie narzucała, nie wciągała jej w żadne pogawędki. Jako jedna z niewielu kobiet w tym miejscu rozumiała, że Ewa nie jest typem gaduły. Przemykała po cichutku korytarzami, wykonując sumiennie swoje obowiązki i czasami jedynie kiwając głową w ramach powitania.

Biurko Ewy, choć na pozór takie samo jak setki innych w firmie, odcinało się od reszty swoim wręcz ascetycznym wyglądem. Poza komputerem, kilkoma teczkami zawierającymi dokumenty i akcesoriami biurowymi nie było na nim ani jednego przedmiotu, który mówiłby cokolwiek o właścicielce. Zupełnie inaczej prezentowały się biurka jej koleżanek: kosmetyki, słodycze, lusterka, zdjęcia, całe mnóstwo samoprzylepnych karteczek... To, co one nazywały „artystycznym nieładem”, Ewie wydawało się jednym wielkim chaosem. Lubiła porządek, dawał jej poczucie, że ma wszystko pod kontrolą. Zdecydowanie „kontrola” to jedno z jej ulubionych słów. Nie uznawała zaśmiecania miejsca pracy osobistymi przedmiotami z jeszcze jednego ważnego powodu: nie przywiązywała się. Nie miała potrzeby wicia gniazdka, tworzenia swojego prywatnego kącika, to miejsce miało być jedynie jej środkiem do osiągnięcia celu. Choć w J&S International przepracowała już sześć lat, w żadnym dziale nie zagrzała miejsca. Łapała okazje, wyjeżdżała na delegacje za granicę, korzystała z ofert szkoleniowych i nie wahała się ani sekundy, gdy na horyzoncie pojawiała się szansa awansu czy choćby nagrody. Niestraszne były jej nadgodziny, nie żałowała swojego życia prywatnego — w końcu pracę tutaj zaczynała z mocnym postanowieniem wspinania się po kolejnych szczeblach kariery najszybciej, jak to było możliwe. Dzięki temu, mając zaledwie dwadzieścia dziewięć lat, zarządzała całym trzydziestoosobowym zespołem. I wciąż miała ochotę na więcej.

Nie przywiązywała się również do ludzi. Postronnemu obserwatorowi mogłoby się to wydawać przynębiające — przepracować kilka lat w jednej firmie i wciąż nie mieć ani jednej bliższej koleżanki? Cóż, Ewie taki brak poufałości zupełnie nie przeszkadzał, zwykła uprzejmość i brak konfliktów zarówno ze współpracownikami, jak i podwładnymi całkowicie jej wystarczały. Doskonale zdawała sobie sprawę, że za jej plecami padały epitety w stylu „zimna”, „wyniosła”, „zarozumiała”. Rzeczywiście czasami jej zdawkowe odpowiedzi i poważną minę można było odebrać w ten sposób. Sama sobie tłumaczyła, że z jej introwertyczną naturą i niechęcią do pogaduszek nawiązywanie kontaktów nie przychodziło jej łatwo. Ale nie tych biznesowych! Może i nie było to dla niej proste, ale miała w tym już pewną wprawę i determinację. O nie, menedżerów

wyższego szczebla i przedstawicieli klientów nigdy nie zbywała.

Ewa włączyła komputer i tak jak każdego dnia zaczęła od sprawdzenia poczty. Czterdzieści siedem nieprzeczytanych wiadomości! A przecież w piątek wieczorem wyczyściła skrzynkę. Westchnęła i rozpoczęła scrollowanie. Aktualizacja oprogramowania, przypomnienie o zatwierdzeniu timesheetów, propozycje prezentów urodzinowych dla koleżanki z sąsiedniego zespołu, skarga klienta na raport zapisany w niewłaściwym formacie... W końcu udało jej się wyłowić dwa e-maile rzeczywiście zasługujące na uwagę. Pierwszy z nich był od Agaty, przemiłej dziewczyny z działu HR.

**Agata:** *Hejka! Chyba nareszcie mam idealną kandydatkę do Twojego zespołu. Paulina Lisiak, lat dwadzieścia pięć, absolwentka ekonomii. Wstępne testy przeszła śpiewająco ;) masz rozmowę dziś o 13.00 w salce na parterze. Chyba z niczym Ci nie koliduje. W załączniku CV i wyniki testów.*

*Pozdro!*

*Agata*

Ewa otworzyła załączniki. Faktycznie, jak natak młody wiek dziewczyna miała imponujące osiągnięcia. Staż w renomowanym biurze rachunkowym, warsztaty, kursy, świetne referencje od poprzedniego pracodawcy. Na studiach też nie próżnowała, angażowała się chyba we wszystkie możliwe projekty kół naukowych. Może nareszcie w zespole coś ruszy! Ewa teoretycznie nie miała nic do zarzucenia swoim podwładnym — wywiązywali się ze swoich obowiązków, pilnowali deadline'ów, potulnie zostawali po godzinach, gdy wymagała tego sytuacja, nie było wśród nich żadnych konfliktów. Ale brakowało im zaangażowania, tego czegoś, dzięki czemu jej zespół mógłby się wyróżniać na tle innych. Sami nie wychodzili z inicjatywą, a Ewa niestety nie umiała ich porwać i zachęcić do udziału w konkursach, szkoleniach czy choćby wolontariacie. Umiała tylko wymagać. Może ta Paulina nareszcie wniesie trochę życia? Zobaczmy.

Kolejny e-mail był wysłany z automatu do wszystkich pracowników jej działu. Impreza charytatywna, jakiś koncert i poczęstunek w restauracji na Kazimierzu. Dochód miał być przeznaczony na leczenie chorego na białaczkę synka jednego z kolegów. *Shit*, nie wypada nie pójść. Kiedy to? Dwudziestego siódmego maja, za dwa tygodnie. Ewa ustawiła przypomnienie w Outlooku, zlokalizowała swój ulubiony kubek i ruszyła do kuchni.

Jak zwykle nastawiła wodę w czajniku, a następnie wsypała do kubka dwie łyżeczki kawy. Piła ją zawsze bez cukru, z odrobiną mleka. Jak zwykle czekając, aż woda się zagotuje, pomyślała, że firma powinna zainwestować w porządny ekspres do kawy. Przecież codziennie płyną jej tutaj hektolitry! Pracownicy z pewnością doceniliby aromatyczne espresso zamiast zwykłej zalewajki. Ewa omiotła wzrokiem przestrzeń wokół siebie: pięć białych stolików z prostymi krzesłami, lodówka, długi blat, na którym piętrzyły się stosy pudełek z herbatami i słodczki

z kawą. Jak tu czysto. Jak spokojnie. I tak będzie jeszcze przez około godzinę... Czajnik wreszcie pyknął w charakterystyczny sposób. Nalała wody do kubka i energicznie zamieszała łyżeczką. Gotowe.

Wracała do swojego biurka niespiesznie, porządkując w głowie najbliższe deadline'y. Czym powinna się zająć w pierwszej kolejności? Chyba timesheety, załatwi te nudy i będzie miała z głowy... Nagle poczuła mocne uderzenie w ramię.

— *Shit!* — zaklęła i obejrzała się za siebie. Kto to był? Sądząc po porze dnia, chyba jakiś nadgorliwy świeżak. Faktycznie, za zakrętem mignęła jej sylwetka drobnego chłopaczka, wyraźnie walczącego z ciężarem sterty segregatorów.

— *Sorry!* — Usłyszała tylko i chłopak zniknął, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Miała ochotę ruszyć za nim, dowiedzieć się, co to za jeden, i nauczyć go kultury. Z Zalewską się nie zadziera! Już ona mu pokaże, co to znaczy szacunek dla starszych stażem i stanowiskiem. I wiekiem... Wtem poczuła ciepło w okolicach biustu. Spojrzała w dół.

— *Shit!* — wyszczała po raz kolejny. — Pieprzony stażysta! — Odłożyła kubek na pierwsze lepsze biurko i pobiegła do swojego miejsca pracy. Nerwowo przetrząsając całą zawartość torebki, wreszcie dogrzebała się do paczki chusteczek higienicznych. Zupełnie straciła głowę. Tarła i tarła ciemnobrązową plamę, nie chcąc dopuścić do siebie myśli, że niewiele to pomaga, a plama, zamiast się zmniejszać, stawała się coraz większa.

— Ups! — Usłyszała za swoimi plecami i podskoczyła nerwowo. — Czyżby mała awaria?

— Sebastian! — wykrzyknęła i w jednej chwili zapomniała o bluzce. Dlaczego zawsze musi go spotykać w tak kompromitujących sytuacjach? I dlaczego on zawsze musi wyglądać tak idealnie? Chabrowe oczy, dwudniowy zarost, gęsta czarna czupryna i biała koszula. I jeszcze ten drapieżny, lekko skrzywiony uśmiech... Spokojnie mógłby robić karierę jako model. A może i robił, jakoś po godzinach? Na pewno zajmowała się nim jakaś stylistka i kosmetyczka, bo który facet ma zawsze perfekcyjnie zadbane paznokcie i fryzurę? A ta wysportowana sylwetka bez grama tłuszczu? Poczuła przechodzącą przez jej ciało falę ciepła. „Ogarnij się!” — przywołała się do porządku.

— Jakiś kurdupel na mnie wpadł i rozlałam kawę — wyjaśniła.

— Domyśliłem się. Pokaż, zobaczę — powiedział kolega, wyciągając ręce w stronę poplamionej kawą kokardy.

— Łapy przy sobie! — Ewa odskoczyła dwa kroki do tyłu i właściwie dopiero teraz zabrała się do dokładnych oględzin rozmiarów zniszczenia. To, co zobaczyła, nie poprawiło jej humoru: właściwie cały przód był przemoczony.

— I co ja teraz zrobię? — jęknęła.

— Możesz zdjąć i uprać — podsunął Sebastian.

— Jasne, mam teraz czas na pranie. I czekanie pół dnia w samej bieliźnie, aż

wyschnie.

— Ja ci pomogę, znaj moje dobre serce. Nawet poczekam z tobą w samej bieliźnie, dla towarzystwa.

— Nawet o tym nie myśl! Idę to przynajmniej trochę podsuszyć — powiedziała Ewa, ruszając w stronę toalet. — *See you!*

— Człowiek chciał być uprzejmy... — Dotarły do niej słowa oddalającego się kolegi. Mogłaby przysiąc, że śmiał się pod nosem.

Zamknęła za sobą drzwi łazienki, na szczęście pustej. Lustro, zajmujące prawie całą ścianę, bez litości ujawniło, jak się w tej chwili prezentowała. Żałośnie — tylko to słowo przychodziło jej na myśl. Wymięta, mokra, brudna. I wściekła! Dla kogoś, kto uwielbia porządek i perfekcjonizm, konieczność paradowania przez cały dzień w takim stanie była jak najgorsza kara. Zrezygnowana podeszła do wiecznie zacinającej się suszarki do rąk i uderzyła w nią z całej siły. Po chwili poczuła podmuch ciepłego powietrza. Rozpięła bluzkę i obracając w dłoniach mokry materiał, rozmyślała o niedawnym spotkaniu.

Sebastian Ówikła. Seba. Singiel, lat trzydzieści jeden. Firmowy donżuan. Legenda głosiła, że jeszcze żadna kobieta mu się nie oparła. Przystojny, szarmancki, inteligentny, emanował niezwykłą pewnością siebie. Czasami wręcz arogancki i nachalny flirciarz. Spokojnie mógłby zostać posądzony o próby molestowania, jednak na koleżanki działało to jak magnes. Wszystkie robiły do niego maślane oczy, chichotały i szeptały po kątach, gdy tylko przeszedł korytarzem. Ba, śledziły jego grafik, a następnie z ochotą angażowały się w firmowe przedsięwzięcia i brały nadgodziny, byle tylko zwiększyć szanse na spotkanie z nim sam na sam w windzie. Ewa skłamałaby, twierdząc, że nie robił na niej żadnego wrażenia. Robił, jak diabli. Był totalnym przeciwieństwem jej Jacka, misiowatego, uroczo niezdarnego olbrzyma. Co więcej, zajmował równorzędne stanowisko, oboje byli liderami zespołów zajmujących się szeroko pojętą analizą ryzyka inwestycyjnego, dzięki czemu mieli wiele wspólnego na gruncie zawodowym i mnóstwo okazji do spotkań, wymiany doświadczeń, a nawet współpracy. Ale Ewa miała zasady i dumę, zdecydowanie była poza zasięgiem Sebastiana. A Sebastian... cóż, wyglądało na to, że bardzo chciał mieć to, czego mieć nie mógł. Podczas gdy wokół aż się roilo od słodkich studentek i zdesperowanych singielek, on od jakiegoś czasu zwracał uwagę tylko na jedną zamężną kobietę, w dodatku nieprzystępną, zimną i przez wielu określaną mianem sztywniary. Gdzie w tym logika? Ewa nie wiedziała. Czuła jednak, że w jakiś dziwny sposób jej to pochlebia. Bawiła ją ta gra w kotka i myszkę, dodawała smaku korporacyjnej monotonii i sprawiała, że czuła się atrakcyjna. Warto było się bawić, choćby dla zazdrosnych spojrzeń koleżanek. Pytanie tylko, kiedy to się skończy. Kto pierwszy odpuści? Czy Seba przestanie gonić... czy może ona uciekać? „Nie ma mowy, masz męża!” — Ewa upomniała się w myślach. —

„Z którym, poza kredytem hipotecznym, niewiele cię już łączy” — zaraz dodał jakiś upierdliwy głosik. Cóż, prawda.

Zapinając już zupełnie suchą bluzkę, Ewa pogratulowała sobie porannego wyboru. Na ciemnoszarym materiale brązowa plama nie rzuciła się w oczy tak bardzo, jak mogłaby, dajmy na to, na białym. Co więcej — fantazyjna kokarda odpowiednio zawiązana mogła zakryć plamę, przynajmniej częściowo. Niestety — tylko plamę. Nic nie mogło ukryć parszywego nastroju Ewy. Nie była przesadna, jednak doświadczenie nauczyło ją, że paskudnie rozpoczęty poranek zapowiada równie paskudny dzień. Być może miało to wiele wspólnego z wewnętrznym nastawieniem, ale po takiej przygodzie niemal oczekiwała następnego nieszczęścia.

Wróciła do biurka i odblokowała komputer. Natychmiast spostrzegła migającą ikonkę firmowego komunikatora. Kliknęła i szybko przebiegła wzrokiem tekst:

**Aleksandra Borewicz:** *Cześć, meeting w sprawie projektu OMAR006 odwołany, nie ma wolnej sali. Dam znać, jak ustalę nowy termin, pozdro.*

Uff, jak dobrze, była uratowana. Rano jeszcze cieszyła się na to spotkanie, siedziała nad swoją częścią projektu prawie cały weekend i miała kilka ciekawych koncepcji do przedstawienia. Teraz zdecydowanie odeszła jej ochota na dyskusję w gronie kilkunastu osób, które gapiłyby się na jej zaplamioną bluzkę. Co to ona miała...? A tak, timesheety. Odnalazła w Ulubionych ikonkę Centrum Dowodzenia, jak potocznie nazywano wewnętrzny program do przetwarzania danych i informowania pracowników. Mechanicznie wklepała swoje ID i hasło, nacisnęła Enter. Nie zaskoczyło? Jeszcze raz, Enter. Znów komunikat: *Wrong password, try once again.* Tylko że to była ostatnia szansa, po trzech nieudanych próbach program blokował dostęp. Ewa sprawdziła, czy nie ma włączonego Caps Locka, i wpisała hasło ponownie, tym razem powoli i ostrożnie. Enter.

— *Shit!* — zaklęła po raz kolejny tego dnia, z niedowierzaniem wpatrując się w napis: *ACCESS DENIED.* Jak to możliwe? Coś takiego jeszcze nigdy jej się nie przydarzyło. Nagle ją oświeciło: w piątek wieczorem, tuż przed wyjściem z biura, program poprosił ją o rutynową comiesięczną zmianę hasła. Zupełnie wyleciało jej to z głowy, była wtedy taka zmęczona... Trzeba było sobie zanotować i zacząć zaglądać do kalendarza, miała nauczkę na przyszłość. Teraz czekała ją długa przeprawa z helpdeskiem. Westchnęła zrezygnowana i przysunęła sobie bliżej biurkowy telefon. *For employee press 1, Enter your location, For password reset press 3, Enter your ID, Enter your helpdesk code...* A później odpowiedź na milion idiotycznych pytań weryfikacyjnych typu „Jakiego koloru był twój pierwszy rower?”, żeby w końcu automat łaskawie połączył cię z kimś kompetentnym.

Podczas gdy Ewa wisiała na słuchawce i po raz kolejny usiłowała przejść całą procedurę, pracownicy jej zespołu pomału zaczynali się schodzić i zajmować swoje miejsca. Panował zwykły poranny rozgardiasz — zewsząd słychać było



klikanie uruchamianych komputerów, pierwsze telefony, śmiech i gwar rozmów. Na piętrze nie dało się dostrzec nikogo powyżej trzydziestego piątego roku życia. Jedyne starsze osoby pracowały w J&S International od wielu lat bądź zajmowały najwyższe stanowiska, zwykle w zarządzie. Choć oficjalnie firma działała zgodnie z etyką, starszych ludzi po prostu tutaj nie przyjmowano. Z góry zakładano, że nie nadążą, nie poradzą sobie z nową technologią, a stres i nadmiar obowiązków ich przytłoczą. Łatwiej też było zatrudnić dwudziestolatków, którzy jeszcze nie mieli sprecyzowanych oczekiwań i nie potrafili stawiać żądań. Młodzi, pełni energii i zapału... teraz witali się, opowiadali o wydarzeniach minionego weekendu, razem maszerowali do kuchni po kawę. Ewie tylko kiwali uprzejmie głowami, czasami ktoś rzucił w locie krótkie „cześć!”. Doskonale wiedzieli, że nie była skora do pogawędek, a już na pewno nie dziś, gdy próbowała zabić wzrokiem każdego, kto podszedł zbyt blisko. Do szefowej tylko z konkretami.

W końcu udało jej się połączyć z helpdeskiem i zanotować nowe hasło składające się z przedziwnej kombinacji liter, cyfr i znaków interpunkcyjnych. Na szczęście działało. Jakie atrakcje jeszcze dzisiaj ją czekają? Lepiej nie myśleć. Zajęła się swoimi zadaniami, nadrabiając szybko stracony czas i nawet nie myśląc o zrobieniu sobie przerwy. Oderwała się od pracy dopiero wtedy, gdy na monitorze wyskoczyło jej przypomnienie o rozmowie kwalifikacyjnej. To już za dziesięć minut! Wydrukowała CV Pauliny Lisiak, pochłonęła batonika, napiła się wody i skierowała w stronę wind. Spotkanie miało się odbyć w Pokoju Zwierzeń, czyli małej salce wykorzystywanej zwykle do rozmów w cztery oczy. Ewa doskonale знаła procedury, wiedziała, że Paulina musiała już zaliczyć rozmowę z kimś z HR, skoro dotarła do tego etapu rekrutacji. Teraz czekała ją ostatnia prosta — krótki wywiad, właściwie formalność, z potencjalną szefową i jeszcze jednym menedżerem. Kim? Okaze się na miejscu.

Gdy Ewa wysiadła z windy, dostrzegła zmierzającego w jej stronę z przeciwległego końca korytarza Wojciecha Miernickiego, swojego bezpośredniego przełożonego i wiceprezesa krakowskiego oddziału J&S International. „Dobrze” — pomyślała. Skoro to on będzie z nią na rozmowie, na pewno przebiegnie ona gładko. Wojciech był rozwiedzionym czterdziestopięcioletnim mężczyzną, który swojego dwudziestoletniego syna już jakiś czas temu wypuścił w szeroki świat i poza pracą nic nie zaprzętało jego uwagi. Elegancki, z nienagannymi manierami, był facetem, który budzi respekt. Ewa bardzo go szanowała, między innymi dzięki niemu udało jej się tyle w tej firmie osiągnąć. Wierzył w nią od samego początku, zachęcał do udziału w przeróżnych inicjatywach, podsuwał co ciekawsze projekty, dzięki czemu miała możliwość się wykazać. Mówiąc krótko, facet był w porządku.

Przywitali się, następnie Wojtek otworzył za pomocą badge’a drzwi do pokoju i zajęli z Ewą fotele po jednej stronie biurka. Ledwo zdążyli rozłożyć przed

sobą dokumenty i notatki, gdy rozległo się pukanie. Kasia, pogodna recepcjonistka, przyprowadziła Paulinę. Ewa zmierzyła kandydatkę wzrokiem i poczuła, że ciśnienie nieco jej podskoczyło.

Paulina okazała się niewysoką blondynką o pełnych ustach w kolorze fuksji. Ubrana była w białą sukienkę przed kolano i kremowy sweterek, a na nogach miała buty na niebotycznie wysokich obcasach. Sukienka mocno opinała jej ciało, wyraźnie podkreślając mały, ale kształtny biust oraz drobny, krągły tyłeczek. Na tych dwóch elementach koncentrował teraz swoją uwagę Miernicki, który od czasu głośnej rozprawy rozwodowej przed pięcioma laty właśnie tych kobiecych atutów unikał jak ognia. Paulina weszła wyprostowana i uśmiechnięta, uścisk dłoni miała delikatny, ale zdecydowany. Zlustrowała swoją potencjalną szefową, zatrzymując się na moment na wciąż widocznej plamie z kawy. Ewa mogłaby przysiąc, że dziewczyna w tej chwili uśmiechnęła się drwiąco — nieznacznie, ale jednak kąciki jej ust uniosły się w wyniosłym grymasie. Już wiedziała, z kim ma do czynienia. Doskonale знаła ten typ ludzi: ładnych i świadomych swojej urody, pewnych siebie, którym wszystko w życiu szło jak po maśle. Choć wiedziała, że nie powinno się oceniać ludzi na podstawie pierwszego wrażenia, to od razu była pewna, że nie chce pracować z Pauliną. Czuła przez skórę, że się nie polubią. Może i ma wiedzę, może i jest inteligentna, ale to nie miało dla niej większego znaczenia. Inteligentnych studentów ma na pęczki. „Zmiażdżę ją, zmiotę jak pyłek” — postanowiła, już szykując w głowie zestaw odpowiednio nieprzyjemnych pytań.

— Usiądź, proszę. Na początek powiedz nam, dlaczego chciałabyś pracować w J&S International? Co wyróżnia naszą firmę spośród wielu innych o podobnym profilu? — zaczęła standardowo.

— Wybór był dla mnie oczywisty. Od dziecka rodzice powtarzali mi: „Zawsze mierz wysoko”. Cóż, wyżej się już nie da — odpowiedziała Paulina. — J&S International od kilku lat utrzymuje się na szczycie wszystkich znaczących rankingów, jak choćby *Best ETF Service Provider* czy *Fund Administrator of the Year*. Dwa miesiące temu otrzymało nagrodę *Insurance Risk Award*.

Paulina widocznie się rozkręcała, nieproszona wymieniła wszystkie obszary działalności firmy i omówiła dokładnie te, które miały swoje oddziały w Polsce. Wiceprezes słuchał jak urzeczony. Ewa była zaskoczona, spodziewała się oklepanej formułki, którą kandydaci zwykle wygłaszali: „Interesuję się finansami, chciałbym/chciałabym się rozwijać w tej dziedzinie”, a tu proszę! Przygotowała się, może być ciężko ją zagiąć. W końcu przerwała dziewczynie:

— Dziękuję, wystarczy. Skupmy się na twoich doświadczeniach z praktyk i poprzedniej pracy. Jak sobie radzisz ze stresem? Czy potrafisz efektywnie wykonywać swoje obowiązki pod presją czasu? Pewnie zdajesz sobie sprawę, że praca tutaj wiąże się z przestrzeganiem deadline’ów, nierzadko nakładających się na siebie.

— Oczywiście, to dla mnie żaden problem. W poprzedniej pracy również musiałam dotrzymywać terminów, proszę spojrzeć w załączone rekomendacje. — Paulina podsunęła list referencyjny. — Myślę, że kluczowa jest odpowiednia priorytetyzacja zadań, skupienie się na tych o największej wadze. Zawsze sprawdzało się u mnie również rozpisanie sobie odpowiedniego planu, dzięki czemu nigdy nie pominęłam żadnej istotnej sprawy. Stres działa na mnie mobilizująco.

Ewa zadała jeszcze kilka typowych pytań o umiejętność pracy w grupie, motywację, mocne i słabe strony. Nowa kandydatka ze wszystkimi poradziła sobie śpiewająco. No tak, pewnie już słyszała podobne na rozmowie z kimś z działu HR. Nawet nagłe przejście na język angielski nie zbiło jej z tropu — czasami brakowało jej właściwych słów, ale odpowiadała dość płynnie i z sensem. W takim razie czas uderzyć czymś mocniejszym: teorią. Nawet studenci, którzy byli na bieżąco z zagadnieniami z zakresu finansów, w końcu wykładali się przy którejś definicji. Było tylko znaleźć słaby punkt, a na pewno w końcu zacznie się łamać.

— Wymień proszę instrumenty pochodne i krótko je opisz.

— Oczywiście. Instrumenty pochodne, inaczej derywaty, to instrumenty finansowe, których wartość jest zależna od instrumentów bazowych. Mamy tutaj kontrakty terminowe, *forward* i *futures*, opcje, swapy... — Paulina mówiła i mówiła, wykazując się niezłą znajomością tematu. Ewa jednak się nie poddawała. Zapytała o rodzaje akcji, strategie inwestowania, krótką sprzedaż i ryzyko rynkowe. W końcu postanowiła przejść do praktyki.

— Dobrze, na koniec chciałabym poprosić cię o rozwiązanie krótkiego zadania. Skoro tak dobrze znasz teorię, to na pewno i ono nie będzie stanowiło dla ciebie problemu. Zapoznaj się, proszę, z treścią. — Podała Paulinie kartkę z zadaniem i długopis. Paulina przeczytała na głos:

*Jaka będzie cena obligacji o wartości nominalnej 100 zł i okresie życia wynoszącym 1 rok, kupionej at par o kuponie w skali rocznej 10%, przy płatnościach kuponowych płatnych co pół roku, jeżeli inwestor chce osiągnąć rentowność inwestycji do momentu wykupu w wysokości 8%. Uzasadnij odchylenie ceny od wartości nominalnej obligacji.*

Paulina nadal starała się trzymać fason, ale w jej oczach dało się zauważyć błysk paniki. Czyli to matematyka była jej piętą achillesową! Wypisała dane, jednak jasne było, że nie pamięta wzoru. Kombinowała po swojemu, mnożąc i dzieląc, ale nijak nie przybliżało jej to do rozwiązania. W końcu odłożyła długopis i stwierdziła:

— Z całym szacunkiem, nie sędzę, aby na stanowisku, o które się ubiegam, konieczna była umiejętność ręcznego rozwiązywania tego typu zadań.

— To prawda, ale znajomość ogólnych zasad i wprawa w szybkiej kalkulacji pewnych wskaźników na pewno będą pomocne — Ewa odbiła piłeczkę.

— Ewo, muszę się nie zgodzić — zgasił ją Wojciech, który do tej pory w milczeniu robił notatki, zerkając od czasu do czasu na kuszące krągłości Pauliny. — To nie egzamin, na litość boską! — No nie! Ewa nie mogła w to uwierzyć. Zawsze rzeczowy i dokładny pan wiceprezes najwyraźniej dał się omamić urokowi tej dziewczyny. — Pani Paulina Lisiak spełnia wszystkie kryteria i wykazała się dziś imponującą wiedzą — ciągnął. — Myślę, że chociaż nieoficjalnie, to możemy panią powitać w naszej firmie. Ktoś z działu HR skontaktuje się z panią i prześle wszystkie niezbędne informacje. Prawdopodobnie zacnie pani pracę już w przyszłym tygodniu. Gratuluję.

Paulina zaprezentowała jeden ze swoich olśniewających uśmiechów i spojrzała z triumfem na Ewę. Podziękowała, ale bez przesadnej uniżoności, jakby dostała coś, o czym była przekonana, że jej się należy. Miernicki wstał i ucałował podaną dłoń z nienagannymi hybrydami pod kolor pomadki, a następnie wygłaszając kolejne uprzejmości, odprowadził Paulinę do wyjścia.

W Ewie aż się zagotowało. Pierwszy raz jej przełożony zachował się w ten sposób, niezgodnie z regulaminem. Po rozmowie powinien omówić swoje spostrzeżenia z nią i działem HR i dopiero potem poinformować kandydatkę o ewentualnym przyjęciu, przy czym ostateczna decyzja i tak powinna należeć do Ewy, liderki zespołu. Tymczasem nie dostała nawet szansy, aby wyrazić swoje zdanie. Była pewna, że piękna i cwana Paulinka owinie sobie wokół palca nie tylko Wojtka, ale i pozostałą część męskiego grona. „Będą z nią problemy”.

Był dopiero poniedziałek, a Ewa już czuła, że ma dość — to nie był dobry początek tygodnia. Musiała odreagować wydarzenia dzisiejszego dnia. Jak najszybciej uwinęła się ze swoimi obowiązkami i zrobiła coś, co właściwie nigdy jej się nie zdarzało: mniej naglące zadania rozdysponowała pomiędzy swoich podwładnych lub odłożyła na kolejny dzień. Miała zamiar wyjść wcześniej, wstąpić do domu, przebrać się w sportowe ciuchy i pójść pobiegać w pobliskim parku. Bieganie zawsze działało na nią odprężająco, jakby zmęczenie fizyczne wypierało to z jej głowy. Kolejnym pozytywnym efektem było to, że pomagało jej zachować smukłą figurę i nie najgorszą kondycję, mimo tylu godzin spędzanych za biurkiem. Jednak gdy tylko wyszła na parking, przekonała się, że z jej planów nici — na horyzoncie dostrzegła ciemną, burzową chmurę i usłyszała pierwszy grzmot. „W takim razie siłownia” — pomyślała. Nie przepadała za ćwiczeniami w gronie innych ludzi, miała wrażenie, że każdy jej się przygląda i ją ocenia. To był jej plan B na wypadek gorszej pogody. Wsiadła do auta, przekreśliła kluczyk w stacyjce i... nic. Jeszcze raz. Nadal nic.

— Cholera! Tylko nie to. — Ewa była bliska płaczu. Wiedziała, co było przyczyną, i wcale nie nastrojało jej to optymistycznie. Dwa tygodnie temu w jej toyocie zepsuł się sygnał dźwiękowy informujący o wyłączeniu świateł, przez co już raz zdarzyło jej się zostawić je włączone. Kilka godzin wystarczy, żeby

zupełnie rozładować akumulator. Sama sobie z tym nie poradzi, jej wiedza na temat samochodów i mechaniki w ogóle była znikoma. W pierwszym odruchu chciała zadzwonić do Jacka, który zwykle ratował ją w podobnych sytuacjach, lecz przypomniała sobie, że miał dziś prowadzić szkolenie na jakiejś konferencji biznesowej z reklamy kontekstowej AdWords. Nie odbierze telefonu, a tym bardziej po nią nie przyjedzie. Zrezygnowana zamknęła samochód i ruszyła w stronę przystanku autobusowego.

W tym momencie nastąpiło istne oberwanie chmury. Deszcz zaczął wściekle z każdej strony, a rozlegające się od czasu do czasu grzmoty i błyskawice przecinające niebo przysłonięte ołowianymi chmurami dodawały tylko dramatyzmu całej scenie. Równie nagle się ochłodziło i zerwał się silny, porywisty wiatr. To była gwałtowna, wiosenna burza, której moc przyjemnie ogląda się z okna, ale nikt nie chciałby uczestniczyć w niej bezpośrednio. Ewa też nie chciała, niestety już nie miała wyboru. „Gdybym tylko pomyślała wcześniej, żeby zamówić sobie taksówkę...” Teraz to już nie miało sensu. Jej mała, czarna parasolka nijak nie chroniła przed deszczem i wiatrem; zanim nadjechał jej autobus, była już zupełnie przemoczona i zmarznięta. Gdy w końcu dotarła do mieszkania, drogie, markowe szpilki nadawały się tylko do wyrzucenia. Mniejsza jednak o buty — Ewa jeszcze nigdy nie czuła się i nie wyglądała tak żałośnie jak tego wieczoru.

\*

— Ewa... mam do ciebie prośbę. Czy mógłbym wyjść dziś godzinę wcześniej? Mam siedem nadgodzin z tego tygodnia. — Marek, jeden z pracowników Teamu 5, stał przed swoją szefową i przestępował nerwowo z nogi na nogę.

— A skończyłeś wszystkie swoje taski? — zapytała Ewa, wciąż stukając w klawiaturę i nie podnosząc głowy znad monitora.

— Tak, oprócz KPI. Ale z tym się nie spieszy, spokojnie mogę je dokończyć w poniedziałek rano.

Ewa stuknęła końcem długopisu w korkową tablicę, do której przyczepiona była karteczka z napisem: „Co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj. Jutro też będziesz mieć co robić”.

— Ewa, proszę. Muszę jechać z synem na rehabilitację.

— Niech twoja żona pojedzie — odpowiedziała Ewa, nie odrywając się od pracy.

— W tym rzecz, że nie może. Teściowa miała dzisiaj operację, żona jest z nią w szpitalu. Synek został sam z opiekunką, a ona...

— Wystarczy — przerwała mu. — Naprawdę nie interesują mnie twoje rodzinne problemy. Wyjdiesz, jak skończysz KPI. Coś jeszcze?

— Nie. To wszystko. — Na twarzy Marka odmalowała się cała gama

różnych emocji: złość, żal, rezygnacja, zaskoczenie, że ktoś może być tak nieczuły. Odwrócił się na pięcie i odszedł, kręcąc głową z niedowierzaniem. Ewa jednak tego nie dostrzegła, albo raczej nie chciała dostrzec. Większość pracowników J&S International stanowili single, a już na pewno ludzie bezdzietni. Uważała, że jeśli ktoś świadomie decyduje się na łączenie rodzicielstwa z tak wymagającą pracą, to robi to na własną odpowiedzialność — ona nie zamierzała nikomu tego ułatwić. A już na pewno nie miała zamiaru mieć z tego powodu wyrzutów sumienia.

W tym tygodniu i tak dość się nacierpiała. Po pamiętnej burzy, tak jak przewidywała, nabawiła się paskudnego przeziębienia. Nie pomogło nawet natychmiastowe zażycie aspiryny i rozgrzewająca kąpiel. Przez cały tydzień męczył ją koszmarny ból gardła i katar, które bezskutecznie leczyła paracetamolem i jakimiś ziołowymi pastylkami poleconymi przez panią z apteki. Oczywiście zwolnienia lekarskiego nawet nie brała pod uwagę. Skoro była jeszcze w stanie zwlec się z łóżka, to była też w stanie pracować. Teraz jednak bardzo, ale to bardzo potrzebowała weekendu. Wolnego weekendu, a przynajmniej jednego dnia bez korzystania z możliwości pracy zdalnej i logowania się na firmowego laptopa. O 19.00 jako ostatnia w końcu wyłączyła komputer, uporządkowała swoje biurko i opuściła budynek. W samochodzie zerknęła w lusterko. Zobaczyła — dosłownie — upiora. Była nienaturalnie blada, miała podkrążone oczy i nos zaczerwieniony od ciągłego pocierania chusteczką. Przesilenie wiosenne, przeziębienie, nadmiar pracy... Musiała koniecznie podreperować swoje zdrowie, inaczej w przyszłym tygodniu nie będzie z niej żadnego pożytku.

Gdy dotarła do mieszkania, z ulgą zdjęła szpilki i wsunęła stopy w miękkie kapcie. Usłyszała głośny stuk dobiegający z kuchni, po chwili kolejny. Jacek, jej prawie dwumetrowy olbrzym, najwyraźniej coś pichcił, jak zwykle poruszając się przy tym jak słoń w składzie porcelany. Sądząc po zapachu, na kolację szykował spaghetti bolognese. Ewa zajrzała do kuchni. Rzeczywiście, w jednym garnku już gotował się makaron, a w drugim Jacek zamasyżyście mieszał sos drewnianą łyżką. To było jego ulubione danie, w zasadzie jedno z niewielu, jakie potrafił samodzielnie przygotować. Na blacie dostrzegła otwartą butelkę wina: Chateau Desmirail 2011, wytrawne, ciemnorubinowe. Dobry wybór.

— O, jesteś. — Spojrzał na swoją żonę. — Marnie wyglądasz — stwierdził i podał jej kieliszek.

— Dziękuję — odparła, upijając łyk i czując rozchodzące się przyjemne ciepło. Przysiadła na wysokim barowym krześle i przyglądała się Jackowi nakładającemu makaron na talerze.

— Jak w pracy? — zagadnął.

— W porządku. A u ciebie?

— Również.

Tak zwykle wyglądały ich rozmowy na tematy zawodowe: uprzejme pytania,

zdawkowe odpowiedzi. Kilka lat temu, gdy Ewa dopiero zaczynała swoją karierę w świecie finansów, z entuzjazmem relacjonowała swojemu, wtedy jeszcze narzeczonemu każdy dzień. Szybko się jednak zorientowała, że choć Jacek stara się okazywać jej zainteresowanie, to te wszystkie zawilosci giełdy i zasady działania funduszy inwestycyjnych niewiele go interesują. Podobnie było w drugą stronę: choć Ewa gorąco wspierała pomysł Jacka na własną firmę, to również ciężko było jej się odnaleźć w świecie marketingu internetowego. Wystarczył jej fakt, że ZKG Consulting prosperowało całkiem nieźle, oferując swoim klientom kompleksową obsługę stron internetowych: bieżącą administrację, zarządzanie treścią, rozwój szaty graficznej, działania SEO/SEM, prowadzenie kampanii w mediach społecznościowych i wiele, wiele więcej. Każde z nich robiło karierę na własną rękę, bez tłumaczenia się ze swoich działań małżonkowi. Pomijając fakt, że niewiele mieli tematów do rozmów, ten układ całkiem nieźle funkcjonował.

— Jakie masz plany na jutro? — zapytał Jacek, nawijając długie nitki na widelec.

— Och, nie wiem jeszcze. Raczej nic specjalnego, chciałabym po prostu odpocząć. A co? — Ewa nie była przyzwyczajona do tego typu pytań. Zwykle również weekendy spędzali osobno. Ona — przygotowując materiały do pracy, ucząc się, ewentualnie biegając lub odwiedzając ulubiony salon kosmetyczny, on — spotykając się ze znajomymi, urządzając wycieczki rowerowe lub pływając.

— Zaprosiłem na jutrzejszy wieczór Monikę, Witka, Izę i Michała. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko — wyjaśnił.

— Miło, że wcześniej zapytałeś — prychnęła Ewa i się skrzywiła.

— Gdybym zapytał wcześniej, na sto procent odpowiedziałabyś mi, że nie masz ochoty na przyjmowanie gości, że może w kolejny weekend... i tak bez końca.

— Przesadzasz. Zresztą to nie chodzi o moją ochotę. Sam widzisz, że nie czuję się najlepiej. Trzeba będzie posprzątać, zrobić zakupy, coś ugotować... — wyliczała.

— Oj tam! — Jacek nie widział problemu. — Tu jest tak czysto, jakby nikt nie mieszkał. Zakupy zrobię, zresztą w zupełności wystarczy jakaś przekąska i deser, to nie żadna uroczystość, tylko zwykłe spotkanie ze znajomymi.

— Nie tylko znajomymi, przecież Klimczak i Gajewski to twoi współnicy.

— Owszem, i dobrzy przyjaciele. Wolę myśleć o nich w ten sposób. Ewka, przecież ich nie odwołam. Iza i Michał zaprosili nas do siebie dwa tygodnie temu, wypada się zrewanżować. Posiedzimy z nimi jutro i obiecuję, mogę przysiąc, że dam ci spokój z jakimikolwiek spotkaniami przez... powiedzmy... miesiąc. Stoi?

— Stoi — poddała się Ewa.

Jacek znał swoją żonę na tyle, żeby wiedzieć, jak bardzo męczyły ją tego typu spotkania. Wiedział, choć nie do końca rozumiał. Sam był duszą towarzystwa,

zawsze miał w zanadrzu jakiś dowcip, potrafił zręcznie prowadzić rozmowę. Ewa za to, typowa introwertyczka, cierpiała katusze, próbując nawiązać choćby grzecznościowy *small talk* na temat pogody. Dodatkowo, po całym tygodniu spędzonym w gwarze open space'u, potrzebowała ciszy i samotności, aby naładować baterie, nie tęskniła za towarzystwem. Nie można jej jednak zarzucić, że nie próbowała — starała się być miłą dla żon kolegów Jacka, wiedziała, jakie to dla niego ważne, aby od czasu do czasu spotkać się w większym gronie. Dystans między nimi był niestety nie do przeskoczenia. One prowadziły zupełnie inne życie i Ewa za nic nie mogła wejść w rolę perfekcyjnej pani domu. Domowe obiady, ogródek, dzieci... to nie jej bajka. Fakt, że tworzyła wokół siebie obronny mur i do każdego podchodziła z wrodzoną rezerwą, zupełnie nie pomagał. Cóż, odbębni swój obowiązek jutro i na jakiś czas będzie miała to z głowy.

\*

Ewa od samego rana odkurzała, myła podłogi oraz pucowała i tak lśniące blaty. Musiała mieć pewność, że zanim przyjdą goście, mieszkanie będzie wyglądało perfekcyjnie. Urządzone było według jej gustu, po pierwszych kłótniach Jacek skapitulował i dał jej wolną rękę. Dzięki temu królowały tutaj biel, szarości, beże, chrom i szkło. Ściany zdobiły lustra bez ram i abstrakcyjne, czarno-białe plakaty. Wybierała proste, eleganckie formy, podobały jej się nowoczesność i funkcjonalność. Gdy ktoś odwiedzał ich po raz pierwszy, czuł się tak, jakby wszedł do wnętrza luksusowego apartamentu drogiego hotelu — wewnątrz robiło wrażenie, jednak brakowało mu przytulności. Nie było żadnych zdjęć, pamiątek, książek, porozrzucanych bibelotów... tych wszystkich drobiazgów, które mówiłyby cokolwiek o właścicielach. Ewa tłumaczyła to swoim zamiłowaniem do porządku i minimalizmu. Jacek, nie chcąc narażać się na ostre reprimendy, dostosował się do wprowadzonych przez nią zasad sprzątanania po sobie i niegromadzenia zbędnych przedmiotów. W końcu musiał przyznać, że miało to swoje plusy: nigdy nie tracił czasu na szukanie tego, czego akurat potrzebował.

Gdy Ewa uporała się ze sprzątaniami, była już całkowicie wypompowana. Nie miała siły, aby przygotowywać jakieś wymyślne dania, postanowiła więc zrobić zapiekankę warzywną. Choć potrafiła gotować, to za tym nie przepadała. Szkoda jej było czasu na stanie przy garnkach, dlatego zawsze wybierała przepisy łatwe i szybkie. Nie stosowała żadnej specjalnej diety, po prostu unikała słodczy, fast foodów i ciężkostrawnych potraw. Na studiach wkręciła się w wegetarianizm i produkty eko, ale dość szybko przeszła jej ta fascynacja. Pomysł na zapiekankę podsunęła jej kiedyś mama i już nie raz się nim ratowała. W wysokiej patelni podsmażyła mrożone warzywa, dodała przyprawy i zioła. Podczas gdy gotował się makaron, zrobiła sos beszamelowy: w rondelku rozpuściła cztery łyżki masła, dodała mąkę, mleko, sól, pieprz i gałkę muszkatołową. Następnie wyjęła naczynie



zaroodporne, nasmarowała masłem i ułożyła składniki warstwami — makaron, warzywa, sos, żółty ser. Gdy przyjdą goście, wystarczy włożyć naczynie na dwadzieścia minut do rozgrzanego piekarnika. Na deser poda owoce z biszkoptami, bitą śmietaną i serkiem mascarpone. To był jej sposób na coś słodkiego, który nie wymagał pieczenia — ułożone w eleganckich szklanych pucharkach świetnie się prezentowały, a przygotowanie ich zajmowało nie więcej niż dziesięć minut. No i nie były tak tuczące jak — dajmy na to — czekoladowe muffiny.

Gdy tylko skończyła, wzięła szybki prysznic, włożyła wygodne chinosy i białą koszulową bluzkę. Ledwo zdążyła zrobić makijaż choć trochę maskujący cienie pod oczami i wciąż zaczerwieniony nos, gdy usłyszała dzwonek do drzwi. Już są! Jacek, który popołudnie spędził przed telewizorem w obawie, aby nie dostało mu się za przeszkadzanie i płątanie się pod nogami, poszedł otworzyć.

— Witajcie! — Słyszała głos męża dobiegający z korytarza. — Wejdźcie, proszę, dalej!

Ewa również wyszła i wzięła od gości pakunki. Przynieśli alkohol i domowej roboty rogaliki z marmoladą. Taki mieli zwyczaj, że nigdy nie wybierali się w odwiedziny z pustymi rękoma. Ewa przyjrzała się Izie ubranej w luźną sukienkę. Przypomniała sobie, że Iza była w ciąży. Jeśli dobrze pamiętała, to już siódmy miesiąc. A może ósmy? Widziały się zaledwie dwa tygodnie temu, a Ewa mogłaby przysiąc, że jej brzuch był dziś co najmniej dwa razy większy. Mimo to nie wyglądała źle. Ewa musiała przyznać, że ta zaokrąglona sylwetka pasowała koleżance. Do tego lekko zaróżowione policzki, błysk w oczach... od Izy było jakieś przedziwne ciepło. Czy to ma związek z nadchodzącym macierzyństwem? Pewnie tak. Patrząc na nią, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Iza będzie świetną mamą. „Nie to, co ja...”

— Ewka, zaprowadź gości do stołu, proszę — Jacek wyrwał ją z zamyślenia.

— Oczywiście. Dziewczyny, siadajcie tutaj. Czego się napijecie? Herbata, kawa, sok — zaproponowała.

— Wystarczy woda, nie rób sobie kłopotu.

Ewa krzątała się po kuchni, szykując szklanki i talerze. Przysłuchiwała się rozmowie Jacka i jego kolegów, którzy bardzo szybko znaleźli wspólny temat.

— Stary, słyszałem od Michała, że kupiłeś nowe auto. Co to za wersja, jaki silnik?

— Zgadza się, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to będzie do odbioru w przyszłym tygodniu. Najbogatsza wersja laurin & klement z dwulitrowym dieslem o mocy stu dziewięćdziesięciu koni, skrzynią DSG i napędem na cztery koła. — Witek starał się mówić lekkim tonem, ale nie potrafił ukryć dumy pobrzmiwającej w jego głosie.

— No nieźle! Co cię skłoniło do kury na masce? — dopytywał Jacek.

— Zaproponowano mi auto o dwadzieścia tysięcy tańsze od passata, którego

chciałem zamówić, a podzespoły przecież te same. Nie było się nad czym zastanawiać.

Rozmowa toczyła się dalej, ale Ewa dość szybko się wyłączyła. Do motoryzacji miała typowo kobiecy stosunek: wystarczyło jej, że samochód był ładny, wygodny i sprawny. I najlepiej nieduży, żeby w miarę łatwo mogła go parkować. Spróbowała zagadać do Izy:

— Znacie już płęć?

— Tak, to chłopiec! Nareszcie udało się wypatrzyć naszej pani doktor na ostatnim USG. — Iza wyraźnie się cieszyła.

— W takim razie gratulacje!

Niestety, to było wszystko, co przychodziło Ewie do głowy. Cięża, rodzicielstwo... to jak na razie była dla niej zupełna abstrakcja. Do dzieci miała neutralny stosunek, daleka była od zachwyty nad małymi, słodkimi bobasami. Nie przeszkadzały jej, dopóki były grzeczne, spokojne i nie musiała się nimi zajmować. Sama nie miała instynktu macierzyńskiego. Wiedziała, że Jacek marzy o dziecku i była pewna, że sprawdziliby się w roli ojca. Rozmawiali o tym raz, dawno temu. Powiedziała mu, że to nie jest odpowiedni moment, że najpierw chce się skupić na swojej pracy. Jacek rozumiał, nie naciskał, ale musiałyby być zupełnie ślepa, żeby nie zauważyć, z jaką czułością przyglądał się dzieciom swojej siostry czy znajomych. Cóż, jeszcze nie była gotowa... o ile kiedykolwiek będzie. Tego ostatniego już mu nie powiedziała i zdawała sobie sprawę, że to okrutne i bardzo nie fair w stosunku do niego. Bała się, że ta informacja mogłaby zupełnie zniszczyć ich i tak już słabą więź. Była ciekawa, kiedy Jacek znów poruszy ten temat, bo że w końcu on znów wypłynie, nie ulegało wątpliwości.

Teraz Ewa, jak zwykle podczas takich wieczorów, prawie nie zabierała głosu i tylko się przysłuchiwała. Brakowało jej neutralnych tematów, które mogłaby poruszyć. Nikt z towarzystwa nie miał pojęcia o korporacyjnej rzeczywistości, która dla Ewy była prawie całym światem. Panowie nadal wymieniali się uwagami na temat samochodów, starannie omijając kwestie związane z ZKG Consulting — dziś nie mieli zamiaru rozmawiać o pracy. Iza w najlepsze dyskutowała z Moniką. Monika, mama trzyletnich bliźniaków, zdecydowanie miała więcej do powiedzenia o krakowskich szpitalach, położnych, badaniach prenatalnych i sposobach na łagodzenie ciążowych dolegliwości. Dobrze, że Ewa była gospodynią, dzięki temu nie czuła się tak zbędna w towarzystwie. Zajęła się poczęstunkiem, podała przygotowaną wcześniej zapiekankę i deser. Potrawy, choć proste, okazały się strzałem w dziesiątkę, goście zajadali się nimi ze smakiem. Jacek pokazał jej uniesiony kciuk i ukradkiem puścił oko. W końcu podszedł do stojącego w rogu pokoju barku i otworzył szeroko drzwi, prezentując całą jego zawartość.

— Kto się skusi? — zapytał, wyciągając jeszcze nienapoczętą butelkę whisky Chivas Regal 25 YO, drogi prezent od jednego z bardziej znaczących

klientów. Panowie, jak należało się spodziewać, chętnie raczyli się wyrazistym trunkiem. Ewa zaproponowała Monice wino i dość szybko opróżniły pierwszą butelkę. Wieczór upływał spokojnie, w miłej atmosferze, jednak gdy koło dwudziestej drugiej goście zaczęli się żegnać, Ewa czuła, że jest ogromnie zmęczona uśmiechaniem się i okazywaniem udawanego zainteresowania. Z ulgą zamknęła drzwi za ostatnią parą.

Gdy zaniosiła wszystkie brudne naczynia do kuchni i otworzyła zmywarę z zamiarem uprzątnięcia bałaganu jeszcze przed położeniem się do łóżka, usłyszała, że Jacek podszedł do niej z tyłu. Objął ją mocno i wsunął swoje duże, silne dłonie pod jej koszulę.

— Chodź tu do mnie — wymruczał w jej szyję. Jego oddech był ciepły, pachniał wypitym alkoholem. Przyciskał ją do siebie coraz mocniej, jego prawa dłoń błędziła wyżej i wyżej, sunęła w kierunku piersi. Kiedyś, gdy się poznali, tyle wystarczyło, by sprowokować namiętne pocałunki z finałem na lśniącym blacie. Teraz Ewa, zamiast podniecenia, poczuła tylko irytację. Chciała jak najszybciej posprzątać i po prostu odpocząć. Szybkim ruchem uwolniła się z objęć męża, zapięła koszulę i odsunęła się na bezpieczną odległość.

— Proszę, daj mi spokój — powiedziała, wracając do przerwanej czynności.  
— Nie dziś.

Jacek natychmiast się odsunął, nie nalegał. Ewa mimo wszystko nie mogła się pozbyć uczucia jakiejś dziwnej pustki i rozczarowania. Kiedyś nie odpuszczał tak łatwo.

\*

Ewa kliknęła przycisk Print i złapała kartkę wyskakującą z drukarki. Przebiegła ją wzrokiem, aby się upewnić, że na checkliście *new hire* nie brakuje żadnego punktu — konfiguracja poczty, telefonu, uzyskanie hasła dostępu do systemu, odbiór badge'a, wydanie artykułów biurowych, zapisy na obowiązkowe szkolenia, zapoznanie się z procedurami... chyba wszystko jest. Wzięła jeszcze kilka przydatnych materiałów i udała się na parter, gdzie przy recepcji miała na nią czekać Paulina Lisiak.

Nie zamierzała poświęcać zbyt wiele czasu swojej nowej podwładnej. Gdy Ewa zaczynała pracę jako lider zespołu, lubiła wprowadzać nowe osoby w ich obowiązki. Podobało jej się, jak nieco onieśmieleni wpatrywali się w nią z niemal nabożnym szacunkiem i chłonęli w skupieniu każde jej słowo, nie chcąc pominąć żadnej ważnej informacji. Po jakimś czasie jednak straciło to swój urok, tłumaczenie po raz kolejny tych samych zasad zaczęło ją nużyć. Ograniczała się więc do przedstawienia niezbędnego minimum, resztę zostawiając innym doświadczonym członkom Teamu 5.

Dostrzegła Paulinę, gdy tylko wyszła z windy. Dziewczyna była dziś ubrana

w obcisłą spódniczkę do połowy uda i luźną bluzkę z lekko prześwitującego materiału, tym samym niebezpiecznie zbliżając się do granicy wyznaczonej przez wewnętrzny regulamin. Nie marnowała czasu — plotkowała w najlepsze z Kasią, recepcjonistką, jakby znały się od lat. Ewa ze złością zarejestrowała, że dziewczyna w niczym nie przypomina innych *new hires*, cichych, przestraszonych, a przynajmniej niepewnych tego, jakie atrakcje czekają ich w nowej pracy. Westchnęła głośno i podeszła się przywitać.

— Witaj. Widzę, że poznałaś już Kasię. Proszę za mną — powiedziała i ruszyła przodem, nie oglądając się za siebie. Zaprowadziła Paulinę do Pokoju Zwierzeń i przystąpiła do tłumaczenia najważniejszych zasad panujących w firmie. — Zapoznaj się, proszę, z checklistą. — Wręczyła dziewczynie plik kartek. — Dalej jest lista szkoleń, które powinnaś odbyć w ciągu pierwszych trzech miesięcy pracy, część z nich jest dostępna on-line. Tutaj masz opisaną zespołową politykę dotyczącą urlopów i pracy w święta. Kolejna rzecz to *dress code*... — Ewa spojrzała krytycznie na odsłonięte nogi Pauliny, ta jednak zdawała się tego nie zauważać. Słuchała, przechylając aktorsko głowę na bok i składając fuksjowe usta w dzióbek. Co jakiś czas przytakiwała, kilka rzeczy skrupulatnie zanotowała sobie w kwiecistym notesie. Nie wyglądała na ani trochę zniechęconą, gdy szefowa snuła przed nią wizje nadgodzin czy nakładających się na siebie zadań. W końcu Ewa zerknęła na zegarek i widząc, że niedługo musi się stawić się na meetingu z wiceprezesem Miernickim, zakończyła:

— To by było na tyle. Czy masz jakieś pytania?

— Wszystko jasne, dziękuję — odparła Paulina i uśmiechnęła się szeroko.

— Znakomicie. W takim razie teraz pokażę ci twoje miejsce pracy i poznasz Tomka, który będzie ci towarzyszył w najbliższych dniach.

Ewa wierzyła, że Tomek będzie najlepszym wyborem. Cichy, spokojny okularnik, był niesamowicie dokładny i sumiennie wykonywał swoją pracę. Nieco otyły, niewykazujący większego zainteresowania koleżankami z zespołu, nie powinien odciągać uwagi Pauliny i vice versa. Był doskonałym reprezentantem grupy „świeżaków” — jak Ewa lubiła ich nazywać — studentów i świeżo upieczonych absolwentów, często z mniejszych miejscowości, trochę zahukanych, niepewnych siebie. Podekscytowani pracą w międzynarodowej firmie i stosunkowo wysokimi zarobkami, zaczęli pełni zapału i wyobrażeń na temat tego, jak znaczące jest to, czym się zajmują. Ewa wiedziała, że spora część z nich niedługo się wykruszy, gdy tylko ich pierwszy entuzjazm opadnie. Doświadczą monotonii i zaczną rozumieć, że ich obowiązki są tylko kroplą w oceanie usług oferowanych przez firmę, a dojście do czegokolwiek wymaga niewyobrażalnego wysiłku, siły przebicia i może zająć im całe lata, chyba że wykażą się ponadprzeciętnym sprytem i zaprzyjaźnią z kim trzeba. Większość zacznie szukać alternatyw, próbować szczęścia u konkurencji, zakładać własne start-upy. Odejdą, w tym ci piekielnie

zdolni. Szkoda.

Tomek wydawał się nieco zaskoczony, gdy Ewa poprosiła go o pomoc.

— Oprowadź, proszę, koleżankę po naszym piętrze. Pomożesz Paulinie przejść przez kolejne punkty z checklisty. W tym tygodniu będzie przyglądała się twojej pracy, od przyszłego tygodnia spróbuje poradzić sobie sama z obsługą któregoś z mniej wymagających klientów.

Zostawiła ich samych, zalogowała się na swój komputer, przejrzała szybko pocztę i znów skierowała się w stronę wind. Dziś rano otrzymała od Wojciecha przedziwnie brzmiącą wiadomość: „Zapraszam do mnie o 11.00”. Żadnego wyjaśnienia, o co chodzi. Nie przypominała sobie, aby w najbliższym czasie szykowała się jakaś pilna sprawa, nie miała pojęcia, czy powinna się czegoś obawiać, czy wręcz przeciwnie. Cóż, za chwilę się dowie.

Przy windach nieoczekiwanie natknęła się na Sebastiana. Skinął jej głową i puścił przodem.

— Na które piętro pani sobie życzy? — zapytał.

— Poproszę na drugie. Ty też? — Ewa zauważyła, że nacisnął tylko jeden guzik.

— Z tobą choćby do piekła. — Mrugnął do niej i uśmiechnął się zawadiacko, jak zwykle.

Przez całe pięć pięter Ewa czuła na sobie wzrok kolegi. Z jednej strony było jej niezręcznie, jak zawsze, gdy ktoś się jej przyglądał, a z drugiej strony cieszyła się, że wybrała dziś rano czarno-białą sukienkę, w której wyglądała niezwykle zgrabnie. Sama nie potrafiła tego wytłumaczyć, ale w jakiś pokręcony sposób zależało jej, żeby zrobić na Sebastianie wrażenie i swoim wyglądem, i inteligencją. Chciała odpowiedzieć coś, co zabrzmiałoby zabawnie i uszczypliwie zarazem, zanim jednak znalazła odpowiednią ripostę, winda zatrzymała się na właściwym piętrze.

— Miłego dnia — usłyszała jeszcze i zobaczyła, że Sebastian kieruje się w przeciwną stronę.

— Wzajemnie — zrewanżowała się.

Zapukała cicho do drzwi Miernickiego i gdy dobiegło zza nich donośne: „Zapraszam!”, weszła do środka. Zauważyła, że przy owalnym stole siedział ktoś jeszcze — szczupły, wysoki mężczyzna z kwadratową szczęką, olśniewającym uśmiechem i włosami przyprószonymi siwizną. Chwilę przyglądała się gościowi, a gdy dotarło do niej, kto to jest, poczuła, że trema niemal ją paraliżuje.

— Witaj, Ewo! — Wojciech podał jej rękę. — Ja i Charles chcielibyśmy z tobą porozmawiać. Myślę, że mieliście już okazję się poznać.

— Tak. — Ewa przełknęła głośno ślinę. — Bardzo mi miło.

Charles Morrow, głowa wszystkich oddziałów J&S International w Europie, nie był częstym gościem w Krakowie. Pojawiał się tutaj maksymalnie dwa razy do

roku z okazji większych firmowych uroczystości lub podsumowań. Ewa miała okazję zamienić z nim kilka słów podczas ogłoszenia nazwisk pracowników nominowanych do nagrody za ponadprzeciętny wkład pracy w rozwój firmy. Poza tym widziała go raz czy dwa, gdy przechodził korytarzem, zmierzając na spotkania z menedżerami najwyższego szczebla. Ludzie jego pokroju jej imponowali — ambitni, działający według planu, za wszelką cenę trzymający się zasad. Konsekwentnie realizowali swoje cele, zawsze stawiali pracę na pierwszym miejscu. Można było na nich polegać, potrafili zarządzać, pilnować porządku, budzili respekt, choć niekoniecznie byli lubiani. Nie szkoda im było poświęcić własnego życia osobistego dla dobra firmy. Mierzyli swoją wartość liczbą awansów, nagród i pochwał. Byli potrzebni, aby w J&S International wszystko działało jak w zegarku, nawet na tych najniższych stopniach, wymieniali uściski dłoni, podpisywali dokumenty najwyższej wagi, przemawiali na zebraniach... Ewa próbowała ukryć, jak wielkie wrażenie zrobiło na niej to dzisiejsze spotkanie. Co takiego ważnego chciał jej przekazać Wojciech, że wymagało to obecności Charlesa?

— Pozwól, że od razu przejdziemy do rzeczy. — Wiceprezes na szczęście nie kazał jej długo czekać na wyjaśnienie. — Czy nazwa Albatross coś ci mówi?

— Oczywiście — odparła zaskoczona Ewa. — To jeden z najbardziej znaczących inwestorów na rynku.

— Owszem. To, co usłyszysz w tej chwili, jest nieoficjalne, więc prosimy, żebyś zachowała te informacje dla siebie. Czy to jasne?

— Tak.

— Wspaniale. Jak zapewne się orientujesz, Albatross był klientem naszego największego konkurenta w zakresie outsourcingu usług finansowych. Mówię w czasie przeszłym, ponieważ w ciągu najbliższych miesięcy przechodzi do nas.

Ewa nie kryła zaskoczenia.

— Jaki jest powód rozwiązania współpracy? W mediach nic o tym nie było... Taka informacja przecież nie mogła przejść bez echa!

— CDD Financials bardzo zależało, żeby szczegóły nie wyciekły do prasy, zapłacili za to niemałą sumę plus odszkodowanie. Całowicie zniszczyłoby to ich reputację. My wiemy tylko tyle, że chodzi o problem z polityką prywatności: ktoś nawalił bądź zrobił to celowo, nieważne, w każdym razie dane Albatrossa dostały się w ręce konkurencji. Mimo natychmiastowej reakcji na nieszczęście klienta informacje te zostały rozsiane po wszystkich znaczących jednostkach finansowych: mniejszych i większych funduszach inwestycyjnych, bankach... i mnóstwo z nich z tego skorzystało. Albatrossowi groziłaby katastrofa, gdyby nie natychmiastowa zmiana strategii. Wyszli z tego obronną ręką, ale chyba nie muszą tłumaczyć, dlaczego chcą rozwiązać współpracę z CDD Financials.

Tak, to miało sens. Ewa przypomniała sobie krótkie wzmianki o nagłych

spadkach kursów akcji Albatrossa i zmianie taktyki. Pojawiały się spekulacje: inwestor postawił wszystko na jedną kartę i albo się podniesie, albo niedługo będzie można obserwować spektakularny upadek giełdowego giganta. Wygląda na to, że jednak mu się udało.

— Rozumiem. To znaczy nie, nie rozumiem. Jaki to ma związek ze mną? — zapytała wprost.

Ku jej zaskoczeniu odpowiedział jej Charles:

— Chcemy, żebyś zajęła się przejęciem klienta. Pojedziesz do Dublina, do jego siedziby, a następnie zapoznasz się ze specyfiką pracy, przestudiujesz skład portfela inwestycyjnego, salda kont. Wprowadzisz do systemów informatycznych niezbędne dane. Napiszesz procedury, rozdysponujesz zakres obowiązków pomiędzy zespołami i będziesz nadzorować cały proces wdrażania pracowników, tak aby transfer nowego procesu przebiegał bez zakłóceń.

Ewa zaniemówiła, zupełnie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Tak, przejmowała już nowych klientów, wyjeżdżała w tym celu za granicę, ale w porównaniu z Albatrossem to były płatki...

— Żebyśmy się zrozumieli — podjął Wojciech — nie chodzi nam tylko o zarządzanie ryzykiem, czyli to, czym zajmuje się twój zespół. Chodzi nam o całe spektrum usług dla klienta: wycenę, księgowość, sprawozdawczość, dział zabezpieczeń... zresztą, co ja ci będę tłumaczył, sama wiesz, na czym polega konwersja.

Ewa starała się zachować spokój, ale drżące ręce i przyspieszony oddech musiały zdradzać, jak ogromne wrażenie zrobiła na niej przekazana informacja. Wiceprezes pospieszył z zapewnieniem:

— Oczywiście, nie zrobisz tego zupełnie sama, to zdecydowanie za wiele na jedną osobę. Razem z tobą pojadą Aleksandra Borewicz, Mariusz Raczyński i Arkadiusz Lipiec. Każde z was wybierze jeszcze ze swoich zespołów po jednej osobie, wedle własnego uznania. Osobiście sugerowałbym, żeby to były osoby z co najmniej dwuletnim stażem pracy w J&S International. Przed wyjazdem życzylibyśmy sobie dostać szczegółowy projekt konwersji. Ewo, chciałbym, żebyś została liderem projektu.

Zaszokowana, zdołała tylko zapytać:

— Kiedy?

— Wyjazd prawdopodobnie przypadnie na połowę lipca, zostanieie w Dublinie około miesiąca. Możesz być pewna, że o dokładnym terminie powiadomimy cię jako pierwszą, jednak zdając sobie sprawę z wagi i rozmiarów tego projektu, wstępną informację chcieliśmy przekazać ci już dziś.

Zupełnie nieprzygotowana na taką rewelację, wciąż nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zdawała sobie sprawę, jak mało profesjonalnie wypada, zapominając języka w gębie. Na szczęście panowie uznali jej reakcję za naturalną.

Następne słowa Charlesa mile polechtały jej ego:

— Od jakiegoś czasu przyglądam się rozwojowi twojej kariery i muszę przyznać, że wydajesz się najwłaściwszą osobą do tak odpowiedzialnego zadania. Jako jedyna pracowałaś w kilku różnych działach, więc znasz nie tylko jeden określony rodzaj usług dla klienta, ale potrafisz spojrzeć na proces z szerszej perspektywy.

— Chyba zdajesz sobie sprawę, Ewo, jaka to dla ciebie szansa — dodał Miernicki. — W zasadzie to propozycja nie do odrzucenia. Jeśli proces przebiegnie pomyślnie, będzie to milowy krok w twojej karierze. Oczywiście, możesz się spodziewać sporej premii.

— Bardzo dziękuję za zaufanie. Doceniam to, że panowie zwrócili się w tej sprawie właśnie do mnie, jak najbardziej rozumiem rangę projektu. — Ewa nareszcie odzyskała głos.

Spotkanie trwało o wiele dłużej, niż zakładała. Otrzymała niezbędne dane klienta, które musiała przeanalizować w pierwszej kolejności, aby móc podjąć dalsze kroki. Wspólnie wyznaczyli termin kolejnego meetingu, na którym tym razem miały być obecne pozostałe osoby zaangażowane w konwersję. Gdy w końcu panowie uznali temat za wyczerpany, Ewa pożegnała się, wyszła z gabinetu i spojrzała na zegarek: była 14.00.

Wstąpiła do kuchni na drugim piętrze, w której mimo pory obiadowej było mniej tłoczno niż w tej na siódmym. Nalała sobie szklankę zimnej wody i oparła się o blat, upijając kilka orzeźwiających łyków. Próbowwała zmusić swoje szare komórki do myślenia: przejście Albatrossa to była ogromna szansa, ale też ogromne obciążenie. Nowy projekt nie zwalniał jej jednak z rutynowych obowiązków lidera, a akurat maj i czerwiec zawsze były miesiącami najbardziej intensywnymi. Dodatkowo szykowała się półroczna ocena pracowników i wspólne wyznaczanie celów, co było zajęciem bardzo czasochłonnym. Czy da radę? Musi. Tak jak powiedział Miernicki, to będzie krok milowy w jej karierze. Pokaże im, że nie ma rzeczy, z którą Zalewska by sobie nie poradziła.

Wracając na swoje piętro, do własnego biurka, pomyślała, że zajrzy jeszcze i sprawdzi, jak sobie radzą Tomek i Paulina. Spodziewała się, że zobaczy standardowy obrazek, jak w przypadku każdego *new hire*: Tomek będzie pracował przy swoim komputerze, a Paulina będzie siedziała obok, zadawała pytania i notowała. Ewentualnie razem będą siedzieli przy jej biurku i Tomek będzie pomagał Paulinie ustawić wszystkie niezbędne parametry. Zupełnie nie była przygotowana na scenę, która właśnie ukazała się jej oczom.

Paulina siedziała na biurku Tomka i coś mu opowiadała, śmiejąc się perliście i zawzięcie gestykułując. A Tomek, jeden z jej najlepszych i najbardziej gorliwych pracowników, rozparł się wygodnie na swoim krześle i wpatrywał się w Paulinę jak sroka w gnat, zupełnie się nie przejmując żadnymi deadline'ami.



\*

Tydzień przeleciał jak z bicia strzelił. Ewa wracała codziennie z biura nie wcześniej niż o 20.00, starając się domknąć wszystkie rozpoczęte projekty. Ponadto zdecydowała, że część swoich obowiązków przekaze Agnieszce Okońskiej, pracującej w Teamie 5 niemal od samego początku. Agnieszka miała dopilnować sprawnego funkcjonowania zespołu podczas pobytu Ewy w Dublinie, dlatego teraz Ewa musiała poświęcić jej dodatkowy czas i przekazać wszystkie wytyczne. Bardzo zależało jej na tym, żeby w kolejnym miesiącu móc się skupić tylko i wyłącznie na Albatrossie. W weekend również miała zamiar popracować — chciała przygotować sobie, przynajmniej wstępnie, arkusze do śródrocznej oceny. To było jedno z najmniej przyjemnych zadań. Jako team lider nie znosiła tego z całego serca. Wystarczająco trudno było pisać o sobie samej... Podsumowanie pracy trzydziestu osób jawiło się jako najgorszy koszmar każdego menedżera.

W sobotnie popołudnie Ewa zaparzyła sobie filiżankę kawy, usiadła przy stole w salonie, włączyła laptopa i rozłożyła przed sobą wydrukowane plansze, na których znajdowały się tabelki z podziałem na kategorie, takie jak: ACHIEVEMENTS, SKILLS, TRAININGS, DEVELOPMENT GOALS. Oczywiście dane i tak będzie musiała później wprowadzić do Centrum Dowodzenia, ale wygodniej było jej najpierw wypisać je ręcznie. Wiedziała, że mnóstwo jej kolegów robi to pobieżnie, byle mieć to już z głowy, i po prostu kopiuje podobne opisy z zeszłych lat, nie zastanawiając się zbytnio, czy rzeczywiście pasują one do ocenianych osób. Ona nie potrafiła zrobić tego po łebkach. Pamiętała, jak kilka lat temu z niecierpliwością czekała na spotkanie ze swoim szefem, ciekawa, co podoba mu się w jej pracy, a nad czym ewentualnie powinna jeszcze popracować. Chciała się rozwijać i potrzebowała pomocy w wyznaczeniu sobie ambitnych, ale osiągalnych celów. Choć pisanie ocen było zadaniem tak czasochłonnym i nużącym, czuła, że teraz winna jest swoim podwładnym takie samo rzetelne opracowanie i wsparcie.

Pracowała w spokoju od dwóch godzin, gdy nagle ciszę przerwał szcęk klucza w zamku — Jacek wrócił. Nie pytała, dokąd się wybiera, w zasadzie nigdy nie tłumaczyli się sobie ze swoich planów. Patrząc na sporą sportową torbę, Ewa odgadła, że jej mąż musiał być na basenie. Słyszała, jak odkręca wodę w łazience, zawsze po pływaniu fundował sobie długi prysznic, jakby chciał dokładnie zmyć z siebie zapach mocno chlorowanej wody. Po kąpieli odgrzał sobie wczorajszy obiad i z talerzem w jednej ręce i napojem w drugiej, rozsiadł się wygodnie na kanapie. Ewa nie przepadała za spożywaniem posiłków w ten sposób, nie tolerowała rozsianych wkoło okruszków lub, co gorsza, plam na drogich meblach. Czasami jednak przymykała na to oko. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fakt, że Jacek włączył telewizor.

Leciał jakiś mecz. Ewa nie interesowała się sportem, nie miała nawet pojęcia, kto z kim gra i o co. Próbowwała się skupić na pracy, ale dobiegający z telewizora głos komentatora i głośne okrzyki kibiców raz po raz wybijały ją z rytmu. W końcu zirytowana syknęła:

— Nie dam rady pisać w takim hałasie.

— To przenieś się do sypialni albo do pokoju gościnnego — odparł Jacek, nie odrywając wzroku od ekranu i spokojnie przeżuając.

— Tu mi najwygodniej, przy stole.

— A mnie najwygodniej na kanapie.

— Nie rozumiesz, że muszę to dokończyć? Potrzebuję ciszy i spokoju!

— A ja odpoczynku, do kurwy nędzy! Ewa, jest weekend, mam prawo raz na ruski rok obejrzeć mecz! To tak samo moje mieszkanie, a ty nie jesteś moją szefową.

— Ale jestem twoją żoną.

— No i co w związku z tym? To nie daje ci prawa do traktowania mnie jak swojej własności i przestawiania z miejsca na miejsce.

— Przesadzasz. Mógłbyś być bardziej wyrozumiały. I docenić to, jak ciężko haruję, żeby było nas stać na wszystko.

— Taaa, bo ja tylko leżę na kanapie i żłopię piwo. — Jacek w końcu stracił cierpliwość, podniósł się z kanapy i odłożył talerz z głośnym stukiem. Ewa zaskoczona śledziła go wzrokiem. Poszedł do przedpokoju, narzucił na ramiona sportową kurtkę i wyszedł, z całej siły trzasnąwszy drzwiami.

To było coś nowego. Nie przywykła do takich reakcji, jej mąż zazwyczaj unikał konfliktów i dla świętego spokoju ustępował swojej apodyktycznej żonie. Chyba rzeczywiście wytrąciła go z równowagi. Gdzieś głęboko w środku czuła, że może faktycznie tym razem przesadziła. Ale przecież mówiła mu o Albatrossie, o tym, jak dużo pracy czeka ją w najbliższych tygodniach i jaka to dla niej wielka szansa. Duma ją rozpierała, chciała się pochwalić uznaniem zdobytym u szefostwa, dlatego podzieliła się z nim tą nowiną jak za dawnych czasów. Liczyła na gratulacje, wsparcie, a przynajmniej odrobinę zrozumienia, gdy wracała późno i próbowała jak największą część pracy wykonać również w domu. A tu proszę... Jacek ani trochę nie wyglądał na zadowolonego z jej zawodowych perspektyw.

W końcu znużona wyłączyła laptopa i zebrała porozkładane na stole arkusze. Spojrzała na zegarek — już 21.00! Zrobiła sobie kolację, wzięła długą kąpiel, chwilę poczytała rozpoczętą dawno temu książkę na temat skutecznych technik negocjacji. Położyła się do łóżka, ale z jakiegoś powodu nie mogła zasnąć, niespokojnie przewracała się z boku na bok. Za nic nie chciała przyznać, że to z powodu nieobecności Jacka, przecież rzadko kładli się o tej samej porze. Jednak myśl, gdzie on mógł być teraz i dlaczego tak dziś zareagował, stawała się coraz bardziej natrętna i nie dawała jej spokoju.

\*

Ewa odpisywała na zaległe e-maile, a na pasku zadań mrugało sześć otwartych okienek komunikatora. Codziennie dziękowała w duchu temu, kto wymyślił komunikator. Wszyscy, którzy dobrze znali Ewę, wiedzieli, że zdecydowanie woli pisać niż rozmawiać. Pisanie do kogoś, kto siedzi zaledwie kilka biurka dalej, mogłoby się wydawać śmieszne, ale miało sporo zalet: dawało chwilę do namysłu i nie odrywało od pracy tak, jak choćby dzwoniący telefon. Mogła spokojnie odpisać rozmówcy po kilku minutach, a nawet prowadzić kilka rozmów jednocześnie.

Gdy w rogu ekranu wyskoczyło jej powiadomienie, że ma kolejną wiadomość na komunikatorze, nie zwróciła na nie większej uwagi. Sortowanie e-maili całkowicie ją pochłonęło, dawno nie miała takiego bałaganu w skrzynce odbiorczej. Gdy w końcu najechała kursorem na mrugającą ikonkę, jej puls nagle przyspieszył.

**Sebastian Ćwikła:** *Masz chwilę?*

Nie miała, ale cóż, ciekawość ją zżerała, czego może od niej chcieć Seba. Odpowiedziała dyplomatycznie:

**Ewa Zalewska:** *Zależy, o co chodzi.*

**Sebastian Ćwikła:** *Już wyjaśniam: pewnie kojarzysz task, w którym sprawdzamy record date wszystkich papierów.*

Ach, czyli to coś związanego z pracą. Nie wiedzieć czemu, poczuła się rozczarowana. Ale przecież w jakiej innej sprawie miałby się z nią kontaktować?

**Ewa Zalewska:** *Tak. Co z nim?*

**Sebastian Ćwikła:** *Mieliśmy kilka nieprzyjemnych issue, doesn't matter. W każdym razie mam pomysł jak ten task trochę usprawnić, żeby jak najmniejszą część roboty wykonywać ręcznie.*

**Ewa Zalewska:** *I?*

**Sebastian Ćwikła:** *I liczę, że pomożesz mi go dopracować. Mam już przygotowane makro, ale Commandera nikt nie zna tak dobrze jak Ty.*

Fakt, Ewa świetnie się poruszała po najważniejszym programie używanym w J&S International, mogła klikać z zamkniętymi oczami. Ostatnie słowa kolegi sprawiły, że lekko się uśmiechnęła. Czas był u niej towarem mocno deficytowym, ale powinna znaleźć chwilę, by rzucić okiem na jego plan. Obydwa zespoły by na tym skorzystały.

**Ewa Zalewska:** *Niech zgadnę. Chcesz się spotkać w którejś salce i o tym porozmawiać?*

**Sebastian Ćwikła:** *Close enough. Co powiesz na to, żeby obgadać sprawę przy małym drinku? Powiedzmy... jutro po pracy?*

O proszę, tego się zupełnie nie spodziewała. Długą chwilę zastanawiała się,

co odpisać, chyba zbyt długą, bo w końcu zobaczyła kolejną wiadomość od Sebastiana:

**Sebastian Ćwikła:** *Take it easy, nie mam na myśli nic poza wymianą pomysłów ;) Odrobina alkoholu sprzyja kreatywności.*

**Ewa Zalewska:** *Zgoda. Gdzie i o której?*

**Sebastian Ćwikła:** *Znam fajne miejsce, zabiorę Cię. Do 20.00 chyba wyrobisz się z pracą.*

**Ewa Zalewska:** *Raczej tak.*

**Sebastian Ćwikła:** *Świetnie! Gdyby coś się zmieniło, to wiesz, gdzie mnie szukać. C'ya!*

\*

Spodnie i marynarka czy sukienka? Ewa nie mogła się zdecydować. Nie miała pojęcia, dokąd Sebastian zamierzał ją zabrać i jaki strój będzie najbardziej odpowiedni. „Przecież to nie randka, tylko spotkanie w sprawie usprawnienia tasku!” — skarciła się w myślach. Niemniej... sukienka. Czarna. I odrobinę mocniejszy makijaż, tylko szminka o jeden odcień ciemniejsza niż zwykle...

Ewa dziś większość obowiązków wykonywała na autopilocie. Kątem oka obserwowała Paulinę Lisiak. Na razie nowa pracownica miała się uczyć od swoich kolegów, dostała tylko kilka niezbyt wymagających zadań, z którymi musiała się zmierzyć samodzielnie. Teraz spacerowała po korytarzu, raz po raz zatrzymując się i plotkując z osobami, które Ewa ledwo kojarzyła, chociaż przepracowała tutaj już tyle lat. Jak ona to robi, że ludzie Igną do niej jak muchy? Urok osobisty? A może jej się po prostu nudzi i dlatego wszystkich zaczepia? Już ona znajdzie Paulinie zajęcie. Spojrzała na stertę kartonowych pudeł piętrzących się pod ścianą i uśmiechnęła się pod nosem. Wszyscy je omijali i udawali, że ich nie widzą. Nikomu nie paliło się do tego monotonnego zajęcia, jakim jest archiwizacja. Idealna praca dla *new hire*.

— Paulino, podejdź tu, proszę. — Ewa przywołała dziewczynę gestem.

— Tak?

— Dziś zajmiesz się archiwizacją — oznajmiła i wskazała pudła. — Ułóżysz dokumenty chronologicznie, według takiego schematu. — Pokazała Paulinie przykładowy plik karteek. — Sprawdzisz, czy niczego nie brakuje. Gotowe tygodniowe paczki układaj, proszę, w tamtej szafie.

Paulinie zrzędała mina, co Ewa odnotowała z satysfakcją. To ją nauczy trochę pokory.

— Sporo tego. Do kiedy mam to skończyć? — zapytała.

— ASAP — odparła Ewa i zostawiła dziewczynę krążącą wokół pudeł.

Nie doceniła przebiegłości Pauliny. Gdy o 19.45 uporządkowała swoje

biurko i ruszyła w kierunku toalet, aby nieco odświeżyć makijaż po całym dniu, po kartonowych pudłach nie było już śladu. Został tylko okularnik Tomek układający ostatnie pliki dokumentów w szafie. „*Shit*, kolejny punkt dla niej”. Jak ona to zrobiła?! O nie, Ewa na pewno tego tak nie zostawi... ale wróci do tej sprawy jutro, na spokojnie. Dziś miała na głowie co innego.

Sebastian czekał już na nią przy recepcji. Na ramieniu trzymał sporą torbę, najpewniej z laptopem, na którym mieli razem pracować.

— Pięknie wyglądasz — powiedział na powitanie, a Ewa poczuła, że się rumieni. Tego typu komplementy nie były do końca w jego stylu, zwykle wygłaszał komentarze z domieszką ironii. Cóż, miła odmiana. Poprowadził Ewę przez parking i otworzył przed nią drzwi świetnie wyposażonego i zapewne kosztującego fortunę samochodu. Rozpoznała, że to lexus, ale nie potrafiła odgadnąć, jaki model.

— Dokąd jedziemy? — zapytała, zapinając pasy.

— Zobaczysz. Założę się, że jeszcze tam nie byłaś, to miejsce działa dopiero od dwóch miesięcy.

Zapadła między nimi cisza, trochę niezręczna, a jednak pełna jakiegoś oczekiwania. Nie wiedzieć czemu, Ewa czuła się jak nastolatka wymykająca się z domu po raz pierwszy z najprzystojniejszym chłopakiem w szkole. Ta sama słodka trema, ten sam dreszczyk. Jechała z kolegą porozmawiać na temat związany z pracą — niby nic takiego, ale nie dało się ukryć, że w powietrzu coś wisiało. Nagle pomyślała o Jacku i to, co w tej chwili robiła, wydało jej się bardzo niewłaściwe, nawet biorąc pod uwagę ich ostatnio niezbyt dobre relacje. Czy chciałaby, żeby on wychodził gdzieś z innymi kobietami, swoimi pracownicami, klientkami? A może wychodził, a ona nie miała o tym pojęcia? Gdyby ktoś ją zapytał, co robi jej mąż między godziną 17.00 a 20.00, nie potrafiłaby odpowiedzieć. Do cholery z tym wszystkim! Przecież nic się dzisiaj nie wydarzy.

Po prawie piętnastu minutach jazdy Sebastian zaparkował w okolicach Kazimierza. Trzy minuty spokojnego spaceru i znaleźli się przed wejściem do lokalu. Gdyby Seba nie wskazał jej dłonią drzwi, pewnie przeszłaby obok i nawet ich nie zauważyła. Szyld był nieduży i nierzucający się w oczy, tak samo jak i lokal. Ewa z zadowoleniem stwierdziła, że wybrane przez kolegę miejsce jest bardzo kameralne. Kilka kwadratowych stolików ozdobionych bukietami świeżych kwiatów, przytłumione światło i spokojna muzyka dobiegająca z głośników były świetną alternatywą po całym dniu spędzonym w hałasie open space'u.

Wybrali stolik w rogu pomieszczenia, dzięki czemu nic nie mogło ich rozpraszać — ani kelnerzy kursujący z kolejnymi zamówieniami, ani inni goście. Ewa wzięła do ręki kartę dań. Nie miała zamiaru pić alkoholu na pusty żołądek, to nigdy nie kończyło się dla niej dobrze. Szukała czegoś lekkiego, niezbyt wymyślnego. Jak na tak niepozorny lokal wybór był zadziwiająco szeroki.

— Jeśli mogę coś zasugerować — wtrącił Sebastian, również przeglądając menu — to polecam naleśniki z bananami. Naprawdę, nigdy nie jadłem lepszych!

— Brzmi nieźle. W takim razie spróbuję — zdecydowała.

Wybrali również butelkę wina — białe, półsłodkie, powinno się dobrze komponować z posiłkiem. Nie musieli długo czekać na zamówienie, po chwili kelner postawił przed nimi sporych rozmiarów talerze. Jedząc, rozmawiali na neutralne tematy, jak na razie omijając sprawy J&S International. Ewa przede wszystkim nie chciała mówić o Albatrossie, nie była pewna, jak kolega by zareagował na taką wiadomość, nie został bowiem przydzielony do projektu mimo podobnego stażu i doświadczenia. Była pod wrażeniem, jak dobrze rozmawia jej się z Sebastianem, z którym do tej pory miała bardzo mało okazji do przebywania sam na sam. Seba tak zręcznie prowadził rozmowę i zadawał pytania, że wkrótce i Ewa zaczęła się rozkręcać. Jak się okazało, był na etapie poszukiwania własnego mieszkania, przymierzał się do zakupu — na razie mieszkał w wynajmowanym. Ewa miała na ten temat sporo do powiedzenia, w końcu nie tak dawno temu urzędowała swoje. Chętnie służyła radą na temat wykończenia i wyposażenia, ucieszona, że trafiła na kogoś, kto faktycznie słucha i ceni jej uwagi. Ani się obejrżeli, jak minęła godzina.

— Świetnie się rozmawia — przerwał wreszcie Sebastian. — Ale chyba czas zabrać się do tego, co jest naszym właściwym celem. Mogę usiąść obok? Będzie nam wygodniej patrzeć.

— Pewnie — odpowiedziała i zrobiła mu miejsce.

Sebastian przestawił swoje krzesło, włączył laptopa i zaczął tłumaczyć, na czym polega jego pomysł.

— Jak wiesz, do tej pory sprawdzaliśmy *record date* papierów na piechotę. To było bardzo czasochłonne i nie wiem jak ty, ale my popełnialiśmy sporo błędów. Mówiąc wprost, mieliśmy niemało problemów z zażaleniami klientów. Dlatego postanowiłem wypróbować makro, które zaciągałoby z raportu listę akcji i wyrzucało gotowy plik z tymi, których dzień dywidendy wypada w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Testowałem to na jednym kliencie...

Pokazał Ewie, jak działa plik. Faktycznie, pomysł był niezły, ale wymagał jeszcze dopracowania.

— Trzeba by było puszczać to makro dla każdego klienta osobno. Nie da się wkleić raportów do wszystkich naraz, bo są w różnych formatach, Excel zwariuje — zauważyła Ewa. — To też zajmie trochę czasu.

— I na tym właśnie polega twoja rola! Myślisz, że dałoby się ustawić w Commanderze opcję generowania jednego ujednoliczonego raportu dla wszystkich klientów? Albo przynajmniej dla większości? Mogłoby to nam się przydać także do innych rzeczy.

— Hmm... gdyby się dało... — Ewa znalazła w torebce token i zalogowała

się do programu. — Popatrzmy...

Zamówili kolejną butelkę wina. Szło im nieźle — wymieniali się spostrzeżeniami, modyfikowali formuły, wklejali coraz to nowe raporty do makra i powoli, ale skutecznie posuwali się do przodu. Wraz z ilością wypitego alkoholu atmosfera między nimi zaczęła się rozluźniać, Ewa pozwalała sobie na coraz śmielsze komentarze, a Seba konsekwentnie przysuwał się bliżej. W końcu stykali się kolanami i oparł głowę na jej ramieniu, niby chcąc lepiej widzieć wpisywane przez nią znaki. Ewa miała coraz większe problemy z koncentracją. Uwielbiała i jednocześnie nienawidziła odczuć, jakie Seba w niej budził — wchodził w jej przestrzeń osobistą, powinna poprosić, żeby się odsunął, wyznaczyć wyraźną granicę, ale jakoś... nie mogła. Podobało jej się jego zdecydowanie, drapieżność, a zarazem luz, z jakim podchodził do wszystkiego. I to, że wyraźnie był nią zainteresowany. Wstydziała się tego, od dawna wiedziała, że o wartości kobiety nie stanowi przecież atencja mężczyzny, a jednak jego spojrzenie i komplementy działały na nią jak afrodyzjak. Gdy położył dłoń na jej plecach, w końcu nie wytrzymała napięcia i syknęła:

— Przestań to robić.

— Czemu? Działa? — zapytał z szelmowskim uśmiechem.

— Owszem, jeśli chcesz, żebym zaraz dźgnęła cię widelcem.

— Brzmi kusząco...

Ewa roześmiała się i dała mu mocnego kuksańca w bok. Potrzebowała ochłonać, zanim posunie się za daleko.

— Zaraz wracam — oznajmiła, wzięła torebkę i ruszyła w stronę toalety.

W toalecie spojrzała w lustro; miała zaróżowione policzki i błyszczące oczy, mimo późnej pory ani trochę nie było widać po niej zmęczenia. Cóż, świetnie się bawiła... i chyba była nieco pijana. Na dnie torebki zlokalizowała swój smartfon i z zaskoczeniem stwierdziła, że ma nieodebraną wiadomość. Kto mógł do niej napisać? To Jacek! Przeczytała jedno krótkie pytanie:

**Jacek:** *O której wrócisz?*

Dlaczego nagle go to interesuje? Akurat dziś? Coś się stało? Przez jej głowę przeleciało milion myśli. A tak w ogóle która jest godzina? Ewa zamrugła i z pewnym wysiłkiem skupiła wzrok na wyświetlaczu. Już po północy?! Jak to możliwe?! Powinna wracać, przecież jutro musi wstać wcześniej. I być przytomna na meetingu team liderów. Odpisała ogólnikowo:

**Ewa:** *Niedługo.*

Wróciła do stolika. Sebastian chyba również uznał, że na dziś wystarczy, bo zaczął pakować laptopa do torby.

— Dokończymy następnym razem — powiedział, jakby to, że wyjdą razem, było czymś najbardziej oczywistym pod słońcem.

— Potrzebujemy transportu — zauważyła Ewa. Nie ma szans, żeby któreś

z nich prowadziło po tylu wypitych kieliszkach.

— *No worries*, już zamówiłem taksówkę. Powinna być za dziesięć minut. Daj spokój, ja stawiam — dodał szybko, widząc, że Ewa spojrzała na rachunek i sięgnęła po portfel.

Gdy wyszli na zewnątrz, zapięła płaszcz i mocniej owinęła szyję szalikiem, wiosenne noce nie należały do najcieplejszych. Chłodne powietrze podziało na nią orzeźwiająco. Sebastian wciąż miał gorącą głowę. Stał bardzo blisko i wpatrywał się intensywnie w jej oczy, a na jego twarzy błędził zagadkowy uśmiech. Zawstydzona odwróciła wzrok, zastanawiając się, co on ma takiego w sobie, że ona — dorosła kobieta, menedżerka, mężatka — nie umie wytrzymać jego spojrzenia. Poczła ulgę, gdy taksówka zatrzymała się przy chodniku. Wsiedli razem, podała kierowcy adres i ruszyli.

Jechali w ciszy. Gdy zbliżali się do osiedla, Ewa poprosiła kierowcę, żeby zatrzymał się jedną ulicę dalej. Nie potrafiła tego wytłumaczyć, ale nie chciała, żeby Jacek widział ją z Sebastianem.

— Pan poczeka, wrócę za dwie minuty — nieoczekiwanie powiedział Sebastian i wysiadł razem z Ewą.

— O co chodzi? — zapytała zaskoczona.

— Chciałem się pożegnać. To takie dziwne? — odpowiedział i stanął tak blisko niej, że ich twarze dzieliło tylko kilka centymetrów.

— Seba, daj spokój... zachowuj się przyzwoicie. — Ewa spłoszona zrobiła krok do tyłu. Sebastian jednak nie dawał za wygraną.

— Przy tobie nie sposób zachowywać się przyzwoicie.

— Wszyscy mówią mi co innego — odparła, myśląc o tym, jak często słyszała określenia „wyniosła”, „sztywna”...

— Ja nie jestem jak wszyscy — stwierdził i jednym zdecydowanym ruchem przyciągnął Ewę do siebie. Pocałował ją w usta, mocno, niemal brutalnie. Ewa w pierwszej chwili chciała się wyrwać, jednak pocałunek zupełnie ją obezwładnił, wywołał falę pożądania, której nie czuła już od dawna. Gdy Sebastian w końcu ją puścił, poczuła, że drży. Nie była w stanie wykonać żadnego ruchu, żadne słowa nie przychodziły jej do głowy. Po prostu stała z szeroko otwartymi oczami, niepewna, jak powinna się w tej chwili zachować. Targały nią sprzeczne uczucia. Uderzyć go? Ale przecież miała ochotę na więcej...

Na szczęście Sebastian rozwiązał jej wątpliwości, przerywając niezręczną sytuację.

— Do zobaczenia jutro na meetingu — powiedział jakby nigdy nic, odwrócił się i odszedł w kierunku taksówki.

Zdążyła jeszcze dostrzec satysfakcję w jego wzroku; dostał to, czego chciał. W tej chwili dotarło do niej, że cała ta rozmowa o pracy, makrach, raportach była tylko przykrywką. „Skubaniec dobrze mnie podszedł”. Wiedział, że gdyby wprost



zaprosił ją na randkę, to ukrywając się za swoimi zasadami, na pewno by odmówiła. Musiała przyznać, że sprytu mu nie brakowało.

Długo szukała klucza w torebce, w końcu na wciąż drżących nogach weszła do mieszkania. Było cicho, wszystkie światła zgaszone. Najwidoczniej jej mąż już spał. Starła się nie hałasować, niestety wciąż nieco oszołomiona wypitym alkoholem i pocałunkiem raz po raz potykała się i zawadzała o różne przedmioty. Zrezygnowana zapaliła światło w salonie i rzuciła na kanapę płaszcz i torebkę. Na widok tego, co ujrzała na stole, zakręciło jej się w głowie.

Pośrodku stołu, w jej ulubionym białym wazonie, stał ogromny bukiet czerwonych róż. Ile ich tam mogło być? Pięćdziesiąt? Może więcej. Mniejsza z tym, takiego bukietu jeszcze nigdy nie dostała, zdecydowanie robił wrażenie. Obok dostrzegła butelkę ekskluzywnego szampana, przygotowane kieliszki, malutkie czerwone pudełeczko i kopertę. Kierowana ciekawością otworzyła pudełko i jej oczom okazały się delikatne eleganckie kolczyki z białego złota. Idealne, taką biżuterię nosiła najchętniej. A koperta? Wyjęła z niej kartkę, przebiegła wzrokiem napisany odręcznie tekst i nagle oczy napełniły jej się łzami. Poczula się jak ostatnia suka.

*Wszystkiego najlepszego z okazji piątej rocznicy ślubu. J.*

\*

Dzwonek budzika spowodował, że Ewa zerwała się na równe nogi, ale zaraz znów usiadła na łóżku — pulsujący ból głowy całkowicie ją obezwładnił. Wzięła kilka głębokich oddechów, rozmasowała sobie skronie i sięgnęła po butelkę wody mineralnej stojącą obok łóżka. Powoli zaczęła sobie przypominać zdarzenia ostatniego wieczoru, ale to wcale nie poprawiło jej samopoczucia; czuła się fatalnie. Ile oni wypili tego wina? Dużo, na pewno zbyt dużo. A gdzie jest Jacek, czemu nie śpi? Przecież to ona zawsze wstawiała pierwsza. Z trudem się podniosła, narzuciła na ramiona lekki satynowy szlafrok i powlokła się do łazienki.

W korytarzu mignęła jej sylwetka Jacka, wyglądało na to, że już wychodził. Zauważyła, że na ramieniu ma sporą torbę podróżną.

— Miłego dnia — rzucił w jej stronę i usłyszała trzask zamykanych drzwi, zanim zdążyła zareagować w jakikolwiek sposób.

Poranna toaleta zajęła jej więcej czasu niż zwykle, ukrycie pod makijażem koszmarnych cieni pod oczami nie było prostą sprawą. Nagle dotarło do niej, jak wiele się zmieniło w ciągu ostatnich kilku lat: nie jest już beztroską studentką imprezującą do białego rana, która tak czy inaczej prezentowała się nieźle, mogła bezkarnie spać na wykładzie i mimo to zaliczyć później egzamin na najwyższą ocenę. Teraz była odpowiedzialna za pracę własną i kilkudziesięciu innych osób. Powinna dbać o wizerunek... Zachowanie takie jak wczoraj było czymś niedopuszczalnym. Obiecała sobie solennie, że to się więcej nie powtórzy, i już

niecو otrzeźwiona zimnym prysznicem i mocną kawą opuściła mieszkanie.

Jak należało się spodziewać, to nie był łatwy dzień. Ewa z całych sił próbowała się skoncentrować na pracy, ale jej myśli wciąż krążyły wokół tego, co się wydarzyło. Miała dziwne wrażenie, że wszyscy dookoła doskonale wiedzą o jej braku umiaru w picciu, a nawet o pocałunku, i spoglądają na nią drwiąco. Właściwie całe przedpołudnie spędziła przy biurku, nie ruszyła się nawet do kuchni w obawie, że mogłaby się natknąć na Sebastiana. Nie była na to przygotowana, nie miała pomysłu, jak powinna zachować się w jego towarzystwie. Mimo to miała świadomość, że nie może przegapić comiesięcznego meetingu team liderów, który na jej nieszczęście wypadł właśnie dziś i na którym zapewne się spotkają. Udać, że nic się nie wydarzyło? Zwalić wszystko na karb wypitego alkoholu? Nie, do diaska, przecież była dorosła! Da mu wyraźnie do zrozumienia, że zachował się jak cham, podchodząc ją w ten sposób, i że nie życzy sobie podobnych akcji w przyszłości.

Po podjęciu tej decyzji nieco jej ulżyło, niemniej wciąż nie mogła się pozbyć wyrzutów sumienia. Uparcie odsuwała od siebie myśli o Jacku, aż zabrakło jej silnej woli i pozwoliła im płynąć swobodnie. Jak to się stało, że tak się od siebie odsunęli? Kiedyś świętowali razem wszystkie najdrobniejsze okazje, nawet takie jak dzień, w którym się poznali, i dzień ich pierwszego pocałunku. Sytuacja, w której jedno z nich by o tym zapomniało, a tym bardziej o rocznicy ślubu, była nie do pomyślenia. Czy była to wyłącznie jej wina? Czy rzeczywiście ostatnio stała się taką jędzą? Gdyby byli razem szczęśliwi, pewnie nawet nie przyszłoby jej do głowy, aby wyjść z Sebą, i na pewno inaczej by zareagowała na jego pocałunek. Zawsze myślała, że wina leży pośrodku — kobieta, która na co dzień jest spełniona we własnym związku, nie szuka doznań poza nim i vice versa. Tylko że Jacek pamiętał, postarał się. Mimo szukania sobie rozmaitych wymówek nie mogła się pozbyć myśli, że tym razem to ona nawaliła, i to na całej linii. Nie chciała kłótni, spięć, nerwowej atmosfery w domu, nie miała na to sił ani nawet czasu. Wyjście było tylko jedno: powinna mu wynagrodzić wczorajszy wieczór... i te wszystkie inne wieczory, które spędzali osobno. Odruchowo zaczęła wpisywać w wyszukiwarkę adresy najczęściej odwiedzanych sklepów internetowych z zamiarem wybrania prezentu, który by go prawdziwie ucieszył. Po kilku próbach z rozgoryczeniem uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, co by to mogło być. Nie wiedziała, czego jej mąż potrzebował, o czym marzył, co w ogóle było na topie wśród jego kolegów. Sięgnęła pamięcią kilka lat wstecz i próbowała sobie przypomnieć, jakie prezenty wtedy sobie dawali. Bilety lotnicze, bilety wstępu na koncerty, vouchery do spa... fakt, wtedy chodziło o to, żeby gdzieś razem wyjść lub wyjechać i miło spędzić czas tylko we dwoje. Ale przecież teraz nie mogła ot tak wziąć wolnego, zresztą ich grafiki były nie do pogodzenia. Westchnęła głęboko. Niech to będzie jeden dzisiejszy wieczór. Ugotuje któreś z ulubionych dań

Jacka, zapali kilka świec i zadba o romantyczny nastrój, wypiją kupionego przez niego szampana. „To ostatecznie powinno go udobruchać”.

Z zamyślenia wyrwało Ewę mrugające okienko w rogu pulpitu: przypomnienie o meetingu. To już? Wzięła teczkę z przygotowanymi zawczasu materiałami, butelkę wody mineralnej i udała się do największej sali konferencyjnej.

Na miejscu zastała już prawie trzydzieści osób. Wszyscy siedzieli wokół ogromnego podłużnego stołu, a miejsce na jego szczycie tradycyjnie zajmował prowadzący spotkanie wiceprezes Miernicki. Ewa, nie rozglądając się zbyt długo, usiadła na pierwszym wolnym krześle i niemal natychmiast pożałowała swojego wyboru: dokładnie naprzeciwko niej siedział Sebastian Ćwikła i wpatrywał się w nią, a na jego ustach błędził lekki uśmiech, identyczny jak wtedy, gdy czekali na taksówkę. Zgodnie ze swoim postanowieniem miała zamiar wytrzymać jego spojrzenie, a następnie nie poświęcać mu więcej uwagi, niż to było konieczne. W bezpośrednim kontakcie pozostanie stanowcza i surowa, a on będzie się musiał nauczyć szacunku dla jej zasad.

Jak się szybko przekonała, łatwo postanowić, gorzej wykonać... Kilka razy złapała się też na tym, że zupełnie wbrew sobie zerka na niego ukradkiem. Nie umknęło jej uwadze, że wcale nie wygląda na niewyspanego ani skacowanego, wręcz przeciwnie — w grafitowej koszuli i z lekkim zarostem prezentował się niezwykle męsko i pociągająco. W tym czasie Miernicki zdążył pokrótce zrelacjonować najważniejsze fakty dotyczące wewnętrznych spraw firmy. Następnie koleżanki i koledzy Ewy jedno po drugim wstawali, czytali podsumowania pracy swoich zespołów z ostatniego miesiąca, wymieniali się spostrzeżeniami i zapisywali plany na najbliższe tygodnie. Ewa po raz pierwszy w swojej karierze nie potrafiłaby powtórzyć ani słowa z tego, co się działo wokół niej. Nagle poczuła dłoń na swoim ramieniu i usłyszała szept:

— Ewa, Wojciech prosi o KPI Teamu 5. — Siedząca obok koleżanka pomogła jej wrócić do rzeczywistości. Ewa natychmiast się zerwała i niezdarnie zaczęła wyciągać notatki, strącając przy tym część z nich na podłogę. Podnosząc głowę, zauważyła, że Miernicki rzeczywiście patrzy na nią wyczekująco.

— Już mam... przepraszam najmocniej... — Zbierała rozrzucone kartki, rumieniąc się mocno i próbując opanować drżenie rąk. Nie znosiła, gdy uwaga tylu osób skupiała się na niej, a dziś dodatkowo była w fatalnej formie. — Liczba popełnionych błędów, przy czym mam na myśli jedynie *human errors*, w stosunku do poprzedniego miesiąca spadła o dwanaście procent, co jest wynikiem bardzo zadowalającym. — Czytała tylko to, co miała zapisane, nie siląc się na dodatkowe tłumaczenia i komentarze. Nigdy nie była dobra w mówieniu do większej grupy osób, ale praca w J&S International zmusiła ją do oswojenia się z tym. Jak się przekonała, kluczowa była odpowiednia organizacja i przygotowanie, dzięki temu

łatwiej jest panować nad stresem. Być może nie da się tego polubić, ale nie ma rzeczy, której nie mogłaby się nauczyć. Teraz też zrobiła pauzę, policzyła w myślach do pięciu i już prawie zupełnie spokojnie kontynuowała, głośno i wyraźnie wypowiadając każde słowo: — Wygląda na to, że wprowadzenie zasady *6-eyes* zamiast *4-eyes* dla części tasków przyniosło oczekiwany rezultat. Wciąż pracujemy nad planem ograniczenia ilości drukowanych dokumentów, niestety w tej chwili nie jest jeszcze możliwe stwierdzenie, jak będzie się to przekładało na KPI. Teraz poproszę was o spojrzenie na diagram numer trzy...

Po Ewie głos zabrały jeszcze dwie osoby. Wojciech Miernicki zakończył meeting słowami:

— Na koniec chciałbym przypomnieć o jutrzejszej imprezie, a w zasadzie kiermaszu charytatywnym na rzecz chorego na białaczkę Damiana. Szczegóły znacie, chyba nie muszę mówić, że liczę na stuprocentową frekwencję. Przypomnijcie, proszę, w swoich zespołach, aby każdy, kto jeszcze tego nie zrobił, potwierdził swoją obecność poprzez *voting buton* do końca dzisiejszego dnia. Dziękuję wszystkim.

Ludzie zaczęli się zbierać, zaszurały odsuwane krzesła, zaszeleściły kartki. Ewie wyjątkowo dużo czasu zabrało porządkowanie swoich materiałów i ani się obejrzała, jak została w sali zupełnie sama. Upiła jeszcze łyk wody i już miała wychodzić, gdy usłyszała chrząknięcie tuż za swoimi plecami. Poskoczyła wystraszona, omal nie upuszczając teczki.

— Sebastian!

— We własnej osobie.

„Czyżby celowo się ociągał, żeby zostać ze mną sam na sam?”

— Wygląda na to, że wczorajszy wieczór jeszcze daje o sobie znać — powiedział, wskazując butelkę mineralnej, którą trzymała pod pachą.

Ewa zignorowała jego słowa i wycedziła:

— Myślę, że należą mi się przeprosiny.

— A ja myślę, że ci się podobało.

Jego bezczelność znów sprawiła, że Ewę zamurowało, nie mogła znaleźć odpowiednich słów. Tym bardziej że miał rację, przynajmniej częściowo. Gdyby pocałował ją po raz drugi, pewnie nie potrafiłaby mu się oprzeć... nie mogła więc do tego dopuścić. Wciąż szukała riposty, która brzmiałaby wystarczająco ostro, gdy nagle w kieszeni Sebastiana zadzwoniła komórka. Została uratowana, to uwolniło ją od jego towarzystwa i konieczności rozmowy, a przynajmniej odsunęło ją w czasie. Sebastian podniósł rękę na pożegnanie i wyszedł z telefonem na korytarz, najwyraźniej było to coś pilnego.

Dalsza część dnia upłynęła dość spokojnie, o 17.00 Ewie udało się wyjść z biura. Po drodze do domu wstąpiła do supermarketu i zrobiła większe zakupy. Choć marzyła tylko o tym, żeby położyć się do łóżka i porządnie wyspać przed

jutrzejszą imprezą, postawiła sobie za punkt honoru przygotowanie kolacji dla Jacka i naprawienie wszystkiego między nimi. Na miejscu od razu zabrała się do gotowania, nawet nie zmieniając eleganckiego ubrania na coś wygodniejszego. Postanowiła zrobić kurczaka w sosie musztardowym — jedno z ulubionych dań męża, które pojawiało się na ich stole tylko od święta ze względu na czas, jaki pochłaniało jego przygotowanie. Zaczęła od przyrządzenia marynaty i nasmarowania nią kawałków mięsa. Podczas gdy kurczak, wedle przepisu, leżał przez godzinę w lodówce, Ewa nakryła do stołu. Wyciągnęła zastawę, której również nie używali na co dzień, i poustawiała świece. Ugotowała ryż, a następnie włożyła danie do piekarnika. Było już dość późno, Jacek mógł wrócić lada chwila. Nie tracąc czasu, wzięła prysznic, natarła ciało ulubionym balsamem o intensywnym, kuszącym zapachu i włożyła koronkową koszulkę na ramiączkach. Ta koszulka była prezentem od męża, całe wieki nie miała jej na sobie. Wiedziała, że w takim wydaniu na pewno będzie mu się podobać.

O 21.00 wszystko było gotowe, paliło się już nawet dziesięć wysokich świec, wystarczyło nałożyć jedzenie na talerze. Ewa coraz bardziej się niecierpliwiła. Gdzie jest Jacek? Wszystko stygnie! A jej w cienkiej koszulce zaczynało się już robić chłodno. W końcu, nienawykła do czekania, zlokalizowała swój smartfon i wybrała jego numer. Odebrał dopiero po pięciu długich sygnałach.

— Ewa? — W tle usłyszała jakieś głosy, muzykę. Co jest, do cholery?!

— No tak. Gdzie jesteś? — zapytała wprost.

— W Szczecinie.

— W Szczecinie... — Ewa na chwilę zaniemówiła. Jej mąż nigdy nie wyjeżdżał bez niej, a już na pewno nie tak daleko. — To na drugim końcu Polski — zauważyła.

— Owszem.

— A... co tam robisz? — Odważyła się zadać jeszcze jedno pytanie.

— Sprawy ZKG Consulting. — Usłyszała westchnienie. — Jestem tutaj z Witkiem, postanowiliśmy upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Jutro mamy spotkanie z klientem, a w piątek i sobotę będziemy prowadzić warsztaty SEO na jednej z uczelni — wyjaśnił.

— Nie wspominałeś o tym wcześniej — powiedziała z wyrzutem. „*Shit!*” — pomyślała, bo nie chciała, żeby tak to zabrzmiało.

— Ewa, wierz mi, miałem wczoraj taki zamiar. Na pewno byśmy o tym porozmawiali, gdybyś pojawiła się w domu o jakiejś ludzkiej porze. — W jego głosie wyczuła dziwny chłód. Nie złość, nie żal, ale właśnie emocjonalny chłód. To zabolalo nawet mocniej, niż gdyby podniósł na nią głos.

— Ja... przepraszam... pracowałam z kolegą nad pewnym pomysłem dla naszych zespołów i zupełnie straciliśmy poczucie czasu...

— Nie tłumacz się — przerwał. — Będę kończył. Jesteśmy teraz w barze

i jest tu dość głośno, słabo cię słyszę.

— Jasne.

— Jakby co, to dzwoń. Na razie.

Ewa rzuciła smartfon na kanapę. Teraz przypomniwała sobie, że wychodząc wcześniej rano, wcześniej niż zwykle, jej mąż miał ze sobą torbę podróżną. Spojrzała na nakryty stół, na świece, kieliszki, na parujący półmisek z kurczakiem. Czy tak wczoraj czuł się Jacek, gdy na nią czekał? Rozczarowanie, żal, świadomość, że tak się starała na marne... Najbardziej chyba ukłuło ją to, że nawet nie wiedziała o jego planach. Od dość dawna żyli bardziej osobno niż razem, teraz jednak uświadomiła sobie, że to „osobno” staje się coraz bardziej przytłaczające. Skoro teraz to tak wygląda, to jak będzie za kolejnych kilka lat? Staną się współlokatorami, których łączy tylko ten sam adres? A może wcale nie będą razem?

Przełknęła rosnącą w gardle gulę. Przecież ona nigdy nie płacze, musi wziąć się w garść... Dziś potrzebuje po prostu odreagować. Wzięła półmisek i nałożyła sobie sporą porcję, a następnie odkorkowała szampana i nalała pełny kieliszek. Cóż, poświętuje sama.

\*

Ewa wsiadła do samochodu i wpisała w nawigację adres restauracji. Nie miała najmniejszej ochoty uczestniczyć w dzisiejszej imprezie, ale wiedziała, że jej nieobecność na pewno została by zauważona i odebrana niezbyt pozytywnie. Spodziewano się około dwustu osób, dla niej to już był ogromny tłum, w którym ciężko się odnaleźć i zachowywać swobodnie. Mimo wszystko była to impreza charytatywna — zakładała więc, że zostanie zachowany wyższy poziom kultury niż choćby na imprezach integracyjnych, gdzie alkohol lał się strumieniami, a przemęczonym pracownikom nagle puszczały wszystkie tamy. Postanowiła potraktować to jako swój obowiązek wobec firmy: zamieni parę słów z kilkoma znajomymi osobami, napije się czegoś i oczywiście przeznaczy jakąś kwotę na rzecz tego chorego chłopca. W końcu o to w tym wszystkim chodziło. I zmyje się najszybciej, jak to tylko będzie możliwe.

Gdy dotarła na miejsce, prawie wszystko było przygotowane i większość pracowników, którzy zadeklarowali swoją obecność, już się pojawiła. Ewa była wcześniej w tej restauracji, ale dziś jej wnętrze zmieniło się nie do poznania. Na lekkim podwyższeniu w rogu ustawiono tablicę z plakatem przedstawiającym zdjęcie wymizerowanego Damiana i krótką historię jego choroby. W tle leciała spokojna muzyka, zamówiony na tę okazję jakiś mało znany zespół dopiero rozkładał swój sprzęt. Muzycy również występowali dziś charytatywnie. Zniknęły gdzieś małe okrągłe stoliki, zamiast nich wzdłuż jednej ze ścian ustawiono kilka długich stołów po brzegi wypełnionych rzeczami przeznaczonymi na sprzedaż.

Wszystkie te przedmioty zostały własnoręcznie wykonane przez pracowników J&S International, również tych, którzy dziś nie mogli być obecni. Tego typu akcję firma przeprowadziła już w grudniu, przed Świętami Bożego Narodzenia, zbierając fundusze na zakup najpotrzebniejszych artykułów dla dzieci z domu dziecka i okazało się to wielkim sukcesem — w jeden wieczór zebrano kilka tysięcy złotych, sprzedając wszystkie wystawione przedmioty. Ewa przeszła powoli wzdłuż sali i nie mając nic innego do roboty, obejrzała rękodzieła. Biżuteria z koralików, pudełeczka ozdobione techniką dekupażu, wyszywane krzyżykami obrazki, kartki okolicznościowe, szmaciane lalki i zwierzątka... czego tam nie było! Każda rzecz wykonana została z niezwykłą starannością, świadczyła o ponadprzeciętnym talencie autora i niewątpliwie była warta swojej ceny. Ewie jednak zaprzętało myśli co innego: kiedy ci ludzie znajdują czas na taką zabawę? Przecież wykonanie choćby szmacianej lalki, „tildy” — jak przeczytała na dołączonej karteczce — musiało zajmować kilka ładnych godzin. Znalezienie odpowiednich materiałów, przygotowanie wykroju, poskładanie tego wszystkiego razem... a włosy wyglądają prawie jak prawdziwe! Jej koleżanki wracały do domu o podobnej porze jak ona, skąd więc miały jeszcze siły i chęci, żeby coś takiego tworzyć? Musiało im to sprawiać niezłą przyjemność, skoro przedkładały hobby nad choćby sen. Kolejne osoby podchodziły do stołów, oglądały, wymieniały się uwagami, a nawet już teraz kupowały upatrzone przedmioty i wrzucały pieniądze do ustawionej na podwyższeniu kolorowej skrzynki, nierzadko przeznaczając na to kwotę o wiele wyższą od sugerowanej. Ewa pomyślała, że również powinna znaleźć coś dla siebie, póki jeszcze jest jakiś wybór. Weźmie coś do picia, oczywiście bezalkoholowego — miała zamiar wrócić samochodem — i wybierze.

Poczęstunek przygotowano w formie szwedzkiego stołu — były to głównie sałatki i ciasta. Alkohol i inne napoje serwowano przy barze. Tam właśnie miała zamiar się udać, gdy zobaczyła Sebastiana Ćwikłę zamawiającego jakiegoś drinka i w sekundę zmieniła zdanie. Wciąż odczuwała przygnębienie. Pół nocy spędziła, rozmyślając o swojej relacji z mężem i w tej chwili opędzanie się od przystojnego, ale nachalnego kolegi było ostatnią rzeczą, na jaką miałyby ochotę. Tylko czy on jej przypadkiem nie zauważył? Chyba idzie w jej stronę. Ewa spanikowana, nie mając pojęcia, gdzie mogłaby się ukryć, liczyła na cud, który wybawiłby ją od konieczności rozmowy. Mógłby to być nawet dzwoniący telefon, tak jak ostatnio.

Ratunek przyszedł, ale w innej postaci: na podwyższenie wyszedł jakiś nieznany Ewie mężczyzna i poprosił zebranych o ciszę. Jak wyjaśnił, był bliskim kolegą ojca chorego chłopca i chciał powiedzieć kilka słów w jego zastępstwie, ponieważ cała rodzina w tej chwili przebywała w klinice w Warszawie. Mówił o chorobie, niesprawiedliwości, o nierównej walce i woli życia, która wciąż tliła się w słabym ciele dziecka. Powiedział, jak ogromną wdzięczność za pomoc finansową odczuwają rodzice, którzy na leczenie wydali już wszystko, co posiadali,

i zostało im tylko jedno: nadzieja. Ewa zauważyła, że kilka osób ma łzy wzruszenia w oczach. Musiała przyznać, że ten facet potrafił przemawiać, jego słowa trafiały prosto w serce. Nawet ją poruszyły, a to nie było łatwe zadanie. Bombardowana zewsząd prośbami o pomoc, apelami fundacji, e-mailami od organizatorów przeróżnych zbiórek, w końcu znieczuliła się na ludzkie nieszczęście. Choćby nie wiedzieć jak mocno chciała, całego świata przecież nie zbawi. Słuchając, rozejrzała się ukradkiem po sali. Na samym przedzie dostrzegła wiceprezesa Miernickiego; powinna później podejść i się przywitać. Była też Aleksandra Borewicz, to dobrze, z nią mogła chwilę porozmawiać.

Nagle rozległ się przenikliwy dzwonek telefonu, z miejsca psując całą atmosferę i powagę spotkania. Oczy wszystkich zebranych zwróciły się na Ewę przeszukującą w popłochu torebkę.

— Przepraszam najmocniej... — powiedziała, próbując precyzyjnie się przez tłum w stronę wyjścia. Myślała, że spali się ze wstydu, czuła, jak płoną jej policzki. Sama zawsze miała ochotę zamordować każdego, kto zapominał o wyciszeniu dzwonka, a dziś taka sytuacja!

Jakimś cudem udało jej się wyjść na korytarz i wyciągnąć wciąż dzwoniący smartfon, wysypując przy tym niemal całą zawartość torebki. W pierwszym odruchu miała zamiar odrzucić połączenie i wyłączyć telefon, ale gdy zerknęła na wyświetlacz, coś ją powstrzymało. Nieznany numer. Kto to może być? Jacek? Może coś ważnego? Lepiej będzie, jak odbierze.

— Halo? — odezwała się.

— Czy pani Ewa Zalewska? — Usłyszała w słuchawce donośny, zdecydowany kobiecy głos.

— Tak, to ja. Z kim mam przyjemność?

— Komisarz Agnieszka Kudyba. Pozwoli pani, że od razu przejdę do sedna. Czy zna pani Magdalenę Stawską?

Ewa zastanowiła się chwilę. Nazwisko coś jej mówiło, ale nie mogła sobie przypomnieć twarzy jego właścicielki. Zaczęła się plątać:

— Nie... chyba nie... to znaczy tak, skądś kojarzę...

— To zna pani czy nie? — policjantka przerwała ostro.

— Tak. — Ewie na szczęście z zakamarków pamięci zaczął się wyłaniać obraz krągłej blondynki. — Studiowałyśmy razem, ale od kilku lat nie miałyśmy żadnego kontaktu. Czy coś się stało?

— Właśnie w tej sprawie do pani dzwonię. Pani Stawska przed dwiema godzinami miała wypadek samochodowy, a pani nazwisko i numer telefonu zapisała w swojej książce adresowej jako kontakt *in case of emergency*.

— Ale dlaczego mnie? — Ewa dosłownie osłupiała.

— A skąd ja mam wiedzieć? — odburknęła komisarz Kudyba. — Ja tylko wykonuję swoje obowiązki. Informuję panią, że pani Stawska jest w tej chwili



w szpitalu, nie znamy jeszcze jej stanu. Jestem zmuszona panią poprosić, żeby pani tu jak najszybciej przyjechała.

— Ale po co? — Ewa nadal nie rozumiała, jaki jest jej związek z wypadkiem Magdaleny. Przecież nie były spokrewnione, może wpisała jej numer jako kontakt ICE przez przypadek? Inne wytłumaczenie nie przychodziło jej do głowy. — Ja nie jestem lekarzem, w szpitalu na pewno dobrze się nią zajmą.

— Owszem. Ale pani Magdalena ma córkę, jak zapewne pani wie. I nią już nie ma się kto zająć — wyjaśniła policjantka. — Ma pani coś do pisania? Proszę zanotować sobie adres szpitala. Czekam na panią przy wejściu na oddział ratunkowy — powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu i się rozłączyła, nie dając Ewie szansy na zgłoszenie jakichkolwiek uwag.

Ewa stała dłuższą chwilę na korytarzu, wpatrując się w trzymany w jednej ręce telefon i notes z zapisanym adresem w drugiej. Informacja, którą przed chwilą usłyszała, była dla niej jak grom z jasnego nieba. Kompletnie nie miała pojęcia, co powinna począć. Zrobiła krok w stronę sali, z której wciąż dobiegał głos mężczyzny przemawiającego z podwyższenia, a następnie przeklinając pod nosem, zawróciła i zrobiła dwa kroki w przeciwnym kierunku. Kierowana poczuciem obowiązku wobec firmy chciała wrócić na salę, porozmawiać z przełożonym, kupić coś na kiermaszu... ale intuicja podpowiadała jej, że być może jest bardziej potrzebna gdzie indziej. Być może to zwykła pomyłka, być może do Magdy już jedzie ktoś z rodziny... a być może kobieta naprawdę liczyła na jej pomoc. Wiedziała, że sumienie nie da jej spokoju, jeśli mimo wszystko nie sprawdzi, co z koleżanką. Może i była twarda, ale nie niewrażliwa. Wojciech zapewne nie będzie zachwycony, lecz zrozumie, gdy wytłumaczy mu jutro, co się stało. Kwotę na leczenie chłopca może przelać na konto w każdej chwili.

W samochodzie wklepała adres w nawigację, a gdy zobaczyła dystans dzielący ją od celu, jej twarz wykrzywił grymas. Szpital znajdował się prawie na drugim końcu Krakowa, o tej porze będzie tam jechała chyba z godzinę. Stojąc na pierwszych światłach i nie mając nic lepszego do roboty, zaczęła rozmyślać o dawno niewidzianej koleżance. Magdalena — naturalna blondynka, nieco puszysta, cicha, nieśmiała dziewczyna. Ewa nie miała zielonego pojęcia, dlaczego Magda wybrała akurat finanse, skoro zupełnie nie radziła sobie z przedmiotami ścisłymi. Zbliżyły się do siebie, gdy poprosiła Ewę o pomoc w przygotowaniu do egzaminu poprawkowego z matematyki. Dla niej to była bułka z masłem. Uczyły się razem w bibliotece i powoli odkrywały, że nieźle czują się w swoim towarzystwie. Obie pojawiały się na tych samych imprezach, a wolne popołudnia spędzały, wychodząc razem do kina czy na wystawy. Ewa pamiętała, że Magda nie miała lekko. Oboje jej rodzice zginęli w katastrofie lotniczej, gdy miała kilkanaście lat, a nią opiekowała się babcia. Choć pewnie bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że to Magda opiekowała się babcią, bo schorowana staruszka potrzebowała już

pomocy przy wykonywaniu najprostszych czynności. Gdyby się głębiej zastanowić, to rzeczywiście Magda była najbliższą koleżanką, jaką Ewa miała kiedykolwiek. A później coś jej strzeliło do łba i speprzyła sobie życie, dając się poderwać jakiemuś Francuzowi, który przyjechał do Krakowa na wymianę studencką. Przystojny, wygadany, zawrócił jej w głowie, opowiadając, jak elektryzująco działają na niego pulchne blondynki. Spędzili razem jedną noc i tyle go widziała. Żeby tylko na tym się skończyło... dwa miesiące później Magda wpadła do mieszkania Ewy, zalewając się łzami i wyznając, że jest w ciąży. Gdy już ochłonęła, nie pomogły żadne racjonalne argumenty, uparła się, że dziecko urodzi i jakoś wychowa. Sama. Ewa próbowała ją przekonać, że powinna odszukać faceta, który przecież był w równym stopniu za to wszystko odpowiedzialny, ale to było jak rzucanie grochem o ścianę. Magda uniosła się dumą, rzuciła studia i postanowiła poszukać stałej pracy. I tak z dnia na dzień kontakt między nimi zaczynał słabnąć. Magda z trudem wiązała koniec z końcem, pracując na pół etatu jako bibliotekarka i zajmując się malutkim dzieckiem, a Ewa właśnie rozpoczynała staż w wymarzonej firmie i nie potrafiła już znaleźć wspólnego tematu z młodą mamą zmęczoną nadmiarem zajęć.

Była ciekawa, jak Magda radzi sobie dziś. Nie miała konta na Facebooku, jak większość dawnych kolegów i koleżanek, którzy bez żadnych skrupułów chwalili się swoimi osiągnięciami, związkami, dziećmi, zdjęciami z podróży. „Ano właśnie — to ciekawe, jak bardzo ludzie się z czasem zmieniają”. Ewa miała świadomość, że sama też się zmieniła, z osoby mało towarzyskiej stała się, cóż... osobą jeszcze mniej towarzyską, ale za to odnoszącą sukcesy zawodowe. Zaraz po zakończeniu studiów spotkała się jeszcze kilka razy z niektórymi znajomymi, ale coraz trudniej było zebrać się w komplecie, a rozmowy niezbyt się kleiły. Zwykle podczas takich spotkań wspominali dawne czasy: „A pamiętasz, jak pojechaliśmy rowerami do Gdańska? A jaką Tomek miał fazę po tej flaszeczce? Co to była za impreza...”. Mieli jakąś wspólną historię, ale już jej nie tworzyli, nie robili niczego nowego razem. A później częstotliwość spotkań spadła praktycznie do zera. Nie widywali się tak długo, że na pytanie: „Co słyhać?” jedyną sensowną odpowiedzią wydawało się coś w stylu: „A wiesz, wszystko po staremu”, bo po prostu nie sposób opisać wszystkich wydarzeń, do których doszło w tym czasie. „Zresztą, szczerze mówiąc, kogo interesują opowieści o miejscach i ludziach, których w ogóle się nie widziało na oczy?” Ewa pomyślała w tej chwili, że z wiekiem zmieniają się również priorytety. Największy luzak i król podrywu, skończywszy studia, może nagle zamarzyć o własnym mieszkaniu, stabilnej pracy, kredycie hipotecznym i gromadce dzieciaków. A koleżanka „od pożyczania notatek” niespodziewanie spakuje swoje cztery litery i pojedzie autostopem w podróż dookoła świata. I choć spędziło się razem wiele świetnych chwil, to poza tymi wspomnieniami już nic praktycznie ich nie będzie łączyć. Czyjeś decyzje też

niekoniecznie muszą się spodobać dawnym znajomym. Ktoś osiągnie więcej, a inny mniej, może się pojawić zazdrość czy żal — ludzka rzecz. Ale co w takim razie teraz, po latach, łączyło ją z Magdą, że wybrała ją jako osobę do kontaktu w razie wypadku? Skąd wiedziała, że Ewa nie zignorowałaby prośby o pomoc i przybyła na miejsce? Szukała i szukała, ale nijak nie mogła znaleźć odpowiedzi na te pytania.

Gdy dotarła do szpitala, krążyła dobre kilka minut, zanim udało jej się wypatrzeć wolne miejsce parkingowe. Odpowiednio rozmieszczone tablice i strzałki informowały o lokalizacji oddziałów, dlatego bez większych problemów trafiła do odpowiedniego wejścia i niemal natychmiast wpadła na komisarz Agnieszkę Kudybę. Nie miała wątpliwości, że to ona, i to nie tylko ze względu na policyjny mundur — głos, który wcześniej słyszała w słuchawce, idealnie pasował do wysokiej, dobrze zbudowanej kobiety o kwadratowej szczęce i krótko ostrzyżonych włosach. W tej chwili rozmawiała z drobniutką, młodą pielęgniarką, która wyglądała, jakby miała ochotę rzucić się do ucieczki. Ewa również miała ochotę uciec, przemogła się jednak i podeszła się przywitać. Skoro już tyle czasu straciła, jadąc tutaj, to niech się przynajmniej dowie, jaka jest jej rola w tym wszystkim.

— Dzień dobry — odezwała się.

— Pani Zalewska? — Komisarz odwróciła się jej stronę. — Czas najwyższy — dodała, nie czekając na potwierdzenie.

— O tej porze są nieziemskie korki — Ewa wyjaśniła powód swojej długiej nieobecności i zaraz tego pożałowała, bo policjantka rzuciła jej groźne spojrzenie. Postanowiła nie odzywać się więcej, niż to konieczne, nie chciała dodatkowych problemów. Zauważyła, że kobieta jest okropnie blada i ma paskudne cienie pod oczami, zupełnie jak Ewa, jakby od dawna się porządnie nie wyspała. To po części tłumaczyło jej zły nastrój i wzbudziło w Ewie odrobinę wyrozumiałości.

— Pozwoli pani, że wyjaśnię. Magdalena Stawska dziś o godzinie 17.20 miała wypadek samochodowy przy rondzie Grzegórzeckim, jechała samochodem marki Fiat Panda od strony ronda Mogilskiego. Według świadków mężczyzna kierujący fordem fiestą przejechał na czerwonym świetle i wjechał w bok samochodu pani Magdaleny, nawet nie próbując hamować. Trwa dochodzenie, co było dokładną przyczyną wypadku. Pani Magdalena Stawska jest w stanie ciężkim, jej córka wyszła z wypadku bez większych obrażeń. Raport policyjny z miejsca wypadku będzie do wglądu, w tej chwili nie jestem w stanie ujawnić więcej szczegółów — wyrecytowała beznamietnie komisarz Kudyba, nawet nie patrząc na Ewę. Ewa, która sama przecież się nie patyczkowała, przekazując podwładnym złe wieści, była nieco zniesmaczona tym suchym tonem. A gdyby była kimś z rodziny? Jak przyjęłaby taką wiadomość pozbawioną choćby krzty współczucia?

— Ale co z Magdaleną? Wyjdzie z tego? — usiłowała się dowiedzieć czegoś

bardziej istotnego.

— W tej chwili została zabrana na tomografię głowy, lekarze podejrzewają wstrząs mózgu — wtrąciła się stojąca obok pielęgniarka. — Kręgosłup prawdopodobnie jest cały, nie stwierdzono też krwotoków ani silnych obrażeń wewnętrznych. Ale jej noga jest w paskudnym stanie, tak skomplikowanego złamania to jeszcze nie widziałam.

— A... aha. Dziękuję. — Ewa nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle. Podejrzała, że chyba mogło być gorzej. — Mogłaby mi pani wyjaśnić, w jakim celu zostałam tutaj wezwana? — zwróciła się ponownie do policjantki.

— Po przejrzeniu telefonu oraz dokumentów, które pani Stawska miała przy sobie, znaleźliśmy pani numer telefonu podany jako ICE. Nie natknęliśmy się na jakiegokolwiek wzmianki o krewnych poszkodowanej, zresztą to nie czas i miejsce na analizowanie jej stosunków rodzinnych. Grunt, że pani tu jest i może się zająć jej córką.

— Jej córką...

— No tak. — Policjantka wyraźnie się zniecierpliwiła. — Chyba pani wie, że poszkodowana ma córkę?

— Wiem. — Ewa przełknęła ślinę. — Czyli, że ja... miałabym ją ze sobą zabrać? Gdzie teraz jest?

— W pokoju pielęgniarek. Proszę za mną.

Szły długim, obskurnym korytarzem, zdecydowanie wymagającym remontu. Zanim dotarły na miejsce, skręciły kilka razy. Ewa za nic nie trafiłaby sama z powrotem do wyjścia. Pielęgniarka otworzyła przed nią drzwi do małego, skromnie wyposażonego pomieszczenia.

W pokoju były obecne dwie osoby. Na rozkładanym plastikowym krześle siedziała przeciętnej urody dziewczynka w wieku mniej więcej siedmiu lat. Miała niebieskie oczy otoczone wianuszkami mocno podkreślonych rzęs i długie, sięgające prawie do pasa włosy w mysim kolorze, teraz zebrane w kucyk. Na policzkach widać było jeszcze ślady niedawnych łez. Ubrana była w różowy T-shirt, dzinsy i białe tenisówki. Krótkie rękawy odsłaniały blade, chude ręce, teraz naznaczone licznymi ognistoczerwonymi zadrapaniami; żadne jednak nie było na tyle głębokie, aby wymagało szycia czy choćby opatrunku. „W ogóle niepodobna do Magdy... musiała wdać się w ojca” — przemknęło Ewie przez myśl. Obok krzesła leżał mały, dość wysłużony plecak.

Drugą osobą była sprawiająca sympatyczne wrażenie pielęgniarka troskliwie podsuwająca dziewczynce herbatę i drożdżówki. Wyglądało na to, że kilkulatka nie ma ochoty ani na picie, ani na jedzenie. Siedziała nieruchomo i wpatrywała się w nowo przybyłe szeroko otwartymi oczami.

— Julia — komisarz Kudyba jak zwykle nie siła się na żaden wstęp — czy rozpoznajesz tę panią? — zapytała dziewczynkę.

Ewa wstrzymała oddech, pewna, że to koniec rozmowy. Nie było szans, że zostanie rozpoznana. Gdy ostatni raz widziała to dziecko, było wrzeszczącym wniebogłosey, cierpiącym na kolki niemowlęciem. Nie pamiętała nawet, że ma na imię Julia. Mała jednak spojrzała jej prosto w oczy, przekrzywiając lekko głowę na bok, i po chwili namysłu odpowiedziała cicho, ale zdecydowanie:

— Tak. To ciocia Ewa.

— Znakomicie! — ucieszyła się policjantka. — W takim razie tę sprawę mamy załatwioną. Może pani zabrać Julię do domu.

— Ale chwileczkę... — Ewa zaczęła i zaraz urwała, niepewna, co właściwie chciała powiedzieć. Czy policja w ogóle może ot tak wydać dziecko osobie, która nie jest jego prawnym opiekunem? Przecież policjantka nawet nie sprawdziła jej dowodu osobistego! I co to znaczy, że może ją zabrać? Na jak długo? I co z jej matką? W ogóle była zła, że dała się wplątać w tę całą sytuację. Nie potrafiła i nie miała ochoty zajmować się dzieckiem, z którym przecież nic jej nie łączyło.

— Coś jeszcze? — warknęła rosła kobieta w mundurze, a Ewie z miejsca odechciało się dyskusji. Policjantka była wyraźnie zmęczona długą służbą, niewyspana, niezbyt przyjaźnie nastawiona i chciała jak najprędzej pozbyć się problemu.

— Nie. To wszystko.

— Świetnie. Tutaj jest moja wizytówka, może pani dzwonić, gdyby działo się coś pilnego — powiedziała, podając Ewie prostokątny kartonik i akcentując słowo „pilnego” dla podkreślenia, żeby ta nawet nie ważyła się zawracać jej głowy głupotami. — Do widzenia.

— Przepraszam, mamy wezwanie do jednego z pacjentów — odezwała się jedna z obecnych pielęgniarek. — Doktor, który dziś zajmował się panią Stawską, nazywa się Tomasz Michalski. Może się pani z nim jutro skontaktować. Czy jeszcze czegoś pani potrzebuje?

— Nie, chyba nie. Dziękuję.

Ewa została sama z Julią, która nadal wpatrywała się w nią w milczeniu i skubała nerwowo palce. Nie miała daru swobodnego rozmawiania z dziećmi, nigdy nie była pewna, co też może się dziać w tych małych głowach. Teraz tym bardziej — co powiedzieć dziewczynce, która dopiero przeżyła groźny wypadek samochodowy, a jej mama przebywa w szpitalu i nie wiadomo kiedy i czy w ogóle wróci do zdrowia? Czy będzie chciała z nią iść? Zapytała więc wprost, najdelikatniej jak potrafiła:

— Pojedziemy teraz do mnie, dobrze?

Julia kiwnęła głową dwa razy, wstała i ufnie wsunęła ciepłą, małą rączkę w dłoń Ewy. Ewa zamarła. Nie spodziewała się tego gestu, zaskoczył ją i rozczulił równocześnie. Poczuli się nagle odpowiedzialni za tą chudą, bladą istotkę, chociaż niezbyt potrafiła sobie wyobrazić, co miałyby z nią począć. Jednak machina już

ruszyła, podobnie jak kolejka w wesołym miasteczku, do której przecież wsiadamy dobrowolnie. Choćby jazda okazała się najmniej przyjemnym doświadczeniem, to nijak nie da się jej zatrzymać, trzeba dotrzeć do samego końca. Ruszyły korytarzem, zwracając uwagę na strzałki, a nawet raz zatrzymując jakąś pielęgniarkę i upewniając się, czy zjeżdżają we właściwym kierunku.

Gdy dotarły na parking, ostatnie promienie zachodzącego słońca odbijały się w szybach samochodów, niemal je oślepiając. Ewa otworzyła przed dziewczynką drzwi swojej toyoty i zauważyła, że ta się zawahała, zanim wsiadła. No tak, to dość typowa reakcja dla ofiar wypadków komunikacyjnych.

— Będę jechała powoli i bardzo ostrożnie — zapewniła ją, choć sama wątpiła, żeby te słowa mogły kogoś uspokoić. — Zapnij pasy.

Dziewczynka milczała całą drogę. Ewie po raz pierwszy to milczenie ciążyło. Chyba wołałaby, żeby Julia płakała, to byłoby bardziej naturalne. „A może wciąż jest jeszcze w szoku?” — zastanawiała się. Chcąc przerwać tę przejmującą ciszę, zapytała:

— Naprawdę mnie pamiętałaś? Ostatni raz widziałyśmy się, gdy byłaś jeszcze taka malutka.

— Nie pamiętałam. Ale mama kiedyś mi o tobie opowiadała, mówiła, że jesteście przyjaciółkami. I pokazała zdjęcie.

O, proszę, jaka niespodzianka. Ewie zrobiło się głupio. Zafascynowana nową pracą, dość szybko zapomniała o dawnej koleżance, podczas gdy dla Magdy ich znajomość najwidoczniej miała duże znaczenie. Nie było jednak czasu, aby się nad tym zastanawiać, bo właśnie wjechała na teren osiedla.

Poprowadziła Julię do klatki schodowej, następnie do windy i wskazała drogę do mieszkania. Dziewczynka, chociaż wciąż przygaszona, rozglądała się ukradkiem dookoła. W przedpokoju Ewa nareszcie zrzuciła niewygodne szpilki i zaprosiła swojego małego gościa do salonu.

— Usiądź, proszę. — Julia zajęła miejsce na białej kanapie. — Zrobimy tak. Zostaniesz dziś na noc u mnie, przyszykuję ci miejsce do spania w pokoju gościnnym. Jutro pojedziemy do szpitala i dowiemy się, jak się czuje twoja mama. Okej? — Kiwnięcie. — Super. Powiedz mi jeszcze, czy jest ktoś, kogo powinniśmy poinformować o... o tym wszystkim? — zapytała ogólnikowo, nie chcąc wprost wchodzić w temat ewentualnego partnera Magdy. Nie знаła przecież jej aktualnego stanu i nie chciała przez przypadek poruszyć jakiejś delikatnej struny.

— Nie.

— Hmm... Okej. A szkoła? Chodzisz do szkoły, prawda?

— Tak. Mogę jutro opuścić lekcje, już prawie koniec roku.

— Dobrze... — Do Ewy dotarło, że ona również będzie musiała opuścić dzień w pracy i oblał ją zimny pot na samą myśl, ile będzie miała później do

nadrobień. — Potrzebujesz może czegoś? Chciałabyś o coś zapytać?

— A Browar? I Hubert?

Ewie ciśnienie nieznacznie podskoczyło.

— Jaki Browar? I jaki Hubert?

— Pies. I chomik — wyjaśniła spokojnie dziewczynka.

Ewie nie była tak spokojna.

— Macie psa? I chomika? — dopytała.

— No tak, przecież mówię.

Tego Ewa nie przewidziała.

— I one zostały w waszym mieszkaniu? — Kiwnięcie. — Mają wodę, jakieś jedzenie? — Kiwnięcie. — To nie ma problemu, pojedziemy do nich rano.

— Ale Browar nie lubi zostawać na noc sam. Będzie szczekał i wył, a pani Genowefa znowu wezwie policję.

— To trudno, nic mu nie będzie, jak trochę poszczeka. Pani Genowefie również. — „Kimkolwiek ona jest” — dodała w myślach.

— Serio, naprawdę chcesz się użerać z policją? A jak ktoś zgłosi to do patrolu Animalsów? Obedrą cię ze skóry. — Dziewczynka popatrzyła na Ewę z niedowierzaniem.

Ewa nie sądziła, żeby organizacja pomocy zwierzętom stosowała tak drastyczne środki, ale zaskoczyła ją wypowiedź Julki. Ta mała, początkowo oszołomiona wypadkiem i na pewno przerażona, teraz zaczynała pokazywać swój charakter. A tego najwidoczniej jej nie brakowało.

— Zresztą ja nie zasnę bez Browara — dodała Julka, a Ewa sama nie wiedziała, czy bardziej chce jej się przeklinać, czy płakać. „Czemu nie ma tu teraz Jacka? Teraz, kiedy jest najbardziej potrzebny? On by wiedział, co robić” — pomyślała, po czym policzyła w duchu do dziesięciu i na głos oznajmiła: — Dobrze, pojedziemy po nich jeszcze dziś. Masz klucze do mieszkania? — Kiwnięcie. — Gdzie mieszkacie?

— Przy alei Pokoju.

— *Shit!* — wyrwało się Ewie. Przecież przejeżdżały tamtędy! A teraz znów musi wracać taki kawał drogi.

— Mama mówi, że nieładnie jest przeklinać — zwróciła uwagę Julka tonem osoby co najmniej dwa razy starszej od Ewy.

— Tak, mama ma rację. Chodź, bo już się robi późno. — Ewa chwyciła kluczyki do samochodu i po chwili znów były w drodze.

Julka pokierowała Ewę tak, że bez problemu udało jej się skręcić w odpowiedni wjazd i zaparkować przed blokiem. Ewa miała do zwierząt podobny stosunek jak do dzieci — nie potrzebowała własnych, ale nie zaważały jej, dopóki nie musiała mieć z nimi bezpośredniego kontaktu. Otwierając drzwi wejściowe mieszkania koleżanki, spodziewała się jakiegoś małego pieska, może kundelka, bo

raczej nikt o zdrowych zmysłach nie podjąłby się trzymania dużego psa w bloku na piątym piętrze. Wkrótce miała się przekonać, że los szykuje jej kolejną niespodziankę.

— Boże, zabierz to bydlę ode mnie!!! — wrzasnęła, ledwo utrzymując równowagę pod naporem ogromnego cielska.

— Boga tu nie ma — rezolutnie zauważyła Julka, choć zabrzmiało to dość niepokojąco. — Browar, spokój — powiedziała, usiłując odciągnąć za obrozę biszkoptowego labradora wciąż podskakującego i próbującego polizać Ewę po twarzy. Bez skutku — pies, widocznie stęskniony za towarzystwem, zupełnie zignorował swoją małą właścicielkę i nadal kręcił się wkoło. Ewa z rozpaczą zarejestrowała, że jej elegancka sukienka jest cała obśliniona i ozdobiona kępkami szorstkiej sierści, a na nogach niechybnie miała już kilka siniaków od mocnych uderzeń merdającego ogona.

— Julia, zrób z nim coś, zamknij go gdzieś! — krzyczała nadal, próbując precyzyjnie się w głąb mieszkania. Szybko oceniła, że jest dość ciasne — około czterdziestu metrów kwadratowych — i mocno zagrożone. Na bardziej szczegółowe oględziny nie miała czasu.

Euforia wywołana widokiem nowej osoby w końcu minęła i pies nieco się uspokoił, przynajmniej na tyle, by mogły spakować potrzebne rzeczy bez groźby stratowania przez podskakującego olbrzyma. Ewa znalazła jakąś reklamówkę i zgarnęła do niej stojące w kuchni psie miski oraz niedawno napoczęte opakowanie suchej karmy. Julia w tym czasie poszła zajrzeć do swojego drugiego zwierzaka. Po chwili była już z powrotem, podsuwając Ewie pod nos małą, szarą kulkę z ciemną pręgą na grzbiecie.

— Hubert, poznaj ciocię Ewę — dokonała prezentacji. Chomik patrzył bystrymi, czarnymi oczkami i poruszał komicznie wąsikami. Ewa, chcąc być miłą, wyciągnęła rękę w jego kierunku i niemal natychmiast ją zabrała.

— Au!!! — Spojrzała na swój palec, na którym widniał czerwony ślad. — Czemu to cholerstwo gryzie?!

— Nie cholerstwo, tylko Hubert. Nie lubi, jak się go głaszcze w ten sposób. Trzeba mu dać najpierw dłoń do powąchania, spróbuj.

Ewa jednak nie miała już ochoty próbować. Ponagliła Julkę:

— Pakuj się, masz jakąś torbę? O, świetnie, ta się nada. Weź jakieś ubrania, kosmetyki... co tam potrzebujesz. — Nie miała doświadczenia w pakowaniu rzeczy małych dziewczynek i liczyła, że rozgarnięta Julia sama zadba o niezbędne akcesoria. Nie zawiodła się, kilka minut później spakowana torba czekała przy drzwiach. Razem z merdającym wesoło ogonem Browarem i Hubertem w niebieskiej klatce.

— Masz smycz? — Julia kiwnęła głową i wskazała wieszak w korytarzu. — Super. Wezmę twoją torbę, a ty zabierz te zwierzaki.



— Ty musisz to zrobić. Ja nie utrzymam Browara na smyczy — oznajmiła dziewczynka, potwierdzając najgorsze przypuszczenia Ewy: pies nigdy nie uczestniczył w żadnym szkoleniu, nigdy nie był tresowany. Biorąc pod uwagę jego rozmiary, stanowiło to spory problem. Ewa westchnęła, zapięła psu kolorową smycz i otworzyła drzwi, po raz kolejny omal się nie przewracając. Browar, który najwidoczniej spędził w mieszkaniu sporo czasu, oszalał z radości, że nareszcie może wyjść na zewnątrz. Znów wykonał kilka szalonych podskoków, a następnie rzucił się w kierunku schodów, ciągnąc za sobą Ewę próbującą utrzymać równowagę. Nigdy w życiu nie zdarzyło jej się pokonać kilku pięter w tak zawrotnym tempie. Na dole odetchnęła z ulgą i uznała za cud to, że nadal jest w jednym kawałku. Zobaczyła, że Julia też już schodzi, mocno trzymając klatkę oburącz. Nie zdążyła jednak dotrzeć do samochodu i otworzyć Julce drzwi — pies biegał jak oszalały po całym parkingu, zatrzymując się tylko na kilka chwil przy jakimś drzewku lub słupie i wciąż ciągnąc Ewę uczeponą drugiego końca smyczy. Mimo wszystko nie to było najgorsze; zbierające się przez cały dzień chmury teraz już pokrywały całe niebo i zaczynał siąpić deszcz. Oczywiście Browar nic sobie z tego nie robił. Miał w nosie fakt, że Ewa i jego mała właścicielka mokną, i raz po raz wbiegał na mały przybłokowy trawnik, brudząc łapy mokrym piachem.

— Chodź tu! — Ewa, która zaczynała już tracić cierpliwość, pociągnęła smycz z całej siły. Zaskoczony Browar wreszcie na nią spojrział i dość opornie, ale dał się poprowadzić i wepchnąć na tylne siedzenie samochodu. Tam obrócił się kilka razy wkoło, zanim udało mu się przybrać wygodną pozycję, a Ewa jęknęła, widząc ślady błota na jasnej tapicerce swojej toyoty. Julka też się już usadowiła, cały czas szepcząc coś do krążącego po klatce zdezorientowanego Huberta.

— Wszyscy są? Pasy zapięte? — zapytała Ewa i ruszyła, nie czekając na odpowiedź. Chciała jak najszybciej znaleźć się we własnym domu, usiąść i pomyśleć. Co ona ma począć z tą trójką? Zaczęła ogromnie, ale to ogromnie żałować, że nie ma pod ręką Jacka. Biorąc pod uwagę jego pogodne usposobienie, pewnie rozładowałby atmosferę jakimś żartem. Wiedziałyby, jak się zająć przerażoną wypadkiem, a mimo to niezwykle opanowaną i rezolutną dziewczynką. Nie miała pojęcia, skąd niby miałby to wiedzieć, przecież też nie miał zbyt dużego doświadczenia w opiece nad dziećmi... jednak była przekonana, że poradziłby sobie lepiej od niej. Wciąż zachodziła w głowę, czemu to właśnie ją, najmniej odpowiednią osobę do udzielania pomocy w stanie kryzysu, spotkała taka sytuacja.

Gdy dotarli na miejsce, zaparkowała możliwie najbliżej wejścia i tym razem nie pozwoliła psu ciągnąć się po parkingu. Poczekala, aż załatwi swoje potrzeby, i trzymając smycz w obu rękach, powoli, ale konsekwentnie posuwała się z nim w kierunku windy na klatce schodowej. Na kolejny maraton po schodach również nie miała zamiaru mu pozwolić. Obejrzała się za siebie; Julia trzymała pod pachą klatkę i uginała się pod ciężarem torby. Ewę coś tknęło. Czy ciuchy na zmianę

i kilka drobiazgów ważą aż tyle? Co ona tam jeszcze zapakowała? Trzeba będzie później sprawdzić.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła w mieszkaniu, było zamknięcie drzwi do salonu i sypialni i wepchnięcie podskakującego psa do łazienki. Ani myślała pozwolić mu biegać po wszystkich pomieszczeniach, a już na pewno nie z łapami ubrudzonymi ziemią.

— Poczekaj, dobrze? — rzuciła w kierunku Julki. — Albo mi pomóż.

Znalazła jakiś stary, nienadający się już do użytku ręcznik i zamoczyła go w ciepłej wodzie. Julia przytrzymała Browara za obrozę, a Ewa podnosiła po kolei każdą z czterech łap i dokładnie ją wycierała.

— Uff! Gotowe. — Nie było idealnie, ale dużo lepiej niż wcześniej. — Chodź, pokażę ci pokój gościnny.

— Browar też może? — zapytała dziewczynka.

Ewa westchnęła.

— Może. — Jeśli już ma robić gdzieś bałagan, to niech będzie tam. W pokoju gościnnym było stosunkowo mało mebli i cennych rzeczy. — Rozpakuj torbę, rozgość się — poleciła dziewczynce. — Przygotuję świeżą pościel.

Browar natychmiast wskoczył na rozkładaną kanapę, zostawiając na narzucie kępki jasnej sierści. Julia stanęła na środku pokoju i rozglądała się z zaciekawieniem. Pokój miał około piętnastu metrów kwadratowych. Poza kanapą znajdowały się tu mały stolik, krzesło, lampa stojąca i szafa z przesuwными drzwiami, zajmująca całą ścianę przeciwległą do drzwi. Wszystko było utrzymane w odcieniach szarości i beżu, sprawiając bardzo eleganckie, ale mało przytulne wrażenie. Dla Ewy głównym atutem takiego wystroju była łatwość utrzymania pomieszczenia w czystości — żadnych dywanów, kwiatów i ozdób, na których tylko zbierałby się kurz. W zasadzie było jej wszystko jedno, czy Julce pokój się spodoba, przecież była tu tylko tymczasowo. Zostawiła dziewczynkę na chwilę samą, zakładając, że tak najłatwiej będzie jej się oswoić z nowym miejscem. Przygotowała szybką kolację z tego, co udało jej się znaleźć w lodówce: kanapki z żółtym serem i pomidorem. Psu naląła do miski świeżej wody, którą zwierzę zaraz łapczywie wychłęptało. Jadły w milczeniu, każda pogrążona w swoich myślach. Ewa zauważyła, że dziewczynka, choć musiało minąć wiele godzin od jej ostatniego posiłku, je jak ptaszek — podskubywała tylko chleb, zostawiając na talerzu twardą skórkę. Było już bardzo późno, czas najwyższy, żeby położyć się do łóżek, jeśli mają rano pojechać do szpitala. Ewa, nieco zmieszana, nie wiedziała jak zaproponować Julce kąpiel. Czy siedmiolatka jest już na tyle duża, że sama sobie radzi z wieczorną toaletą, czy może będzie potrzebowała pomocy? Na szczęście Julia sama rozwiązała jej wątpliwości:

— Pokaż mi tylko, jak się odkręca wodę. Masz tam dużo jakichś dziwnych przycisków — powiedziała i pomaszerowała do łazienki, trzymając pod pachą

wyciągnięte z torby różową piżamę i ręcznik.

Gdy drzwi za dziewczynką się zamknęły, Ewa wyczerpana rozsiadła się na kanapie w salonie i wreszcie wybrała numer Jacka. Odebrał po trzecim sygnale:

— Ewa? Co jest? — zapytał. W tle znów było słycać jakieś hałasy.

— Mam tu sytuację kryzysową — zaczęła bez żadnego powitania. — Chodzi o to, że Magda miała wypadek. Pamiętasz Magdę? Taka blondynka... — W tej chwili drzwi łazienki się otworzyły i Ewa usłyszała wołanie:

— Ciocia!!!

Zerwała się z kanapy, przysłoniła dłonią telefon i pobiegła sprawdzić, o co chodzi.

— Bo ja zapomniałam szczoteczki do zębów — wyjaśniła stojąca przed umywalką w samych majteczkach Julka.

— Nie szkodzi, mam kilka zapasowych. — Ewa wyciągnęła z szuflady nową, oryginalnie zapakowaną szczoteczkę. — Czegoś jeszcze potrzebujesz?

— Nie — powiedziała i odwróciła się do umywalki. — Dziękuję — dodała po chwili, przypominając sobie o dobrych manierach.

Ewa wróciła na kanapę. Pies, który jakimś cudem otworzył sobie drzwi do pokoju gościnnego, podbiegł do niej i rozwalił się na jej stopach. Nie miała siły, żeby go odgonić.

— No i chodzi o to, że... — próbowała dokończyć, ale tym razem mąż jej przerwał:

— Chwila! Tam jest jakieś dziecko czy się przesłyszałem?

— No jest, właśnie próbuję ci wyjaśnić... — Opowiedziała mu pokrótce o całej tej niecodziennej sytuacji: telefonie od policjantki, Julce, zwariowanym Browarze i chomiku. — I rozumiesz, ja w ogóle nie wiem, co mam z tym wszystkim zrobić. — Skończyła i czekała na reakcję męża.

W słuchawce zaległa cisza. Po chwili usłyszała stłumiony chichot, który zaraz przerodził się w niekontrolowany wybuch śmiechu. Jacek najwyraźniej nie był w stanie zapanować nad wesołością.

— Z czego się śmiejesz?! — wykrzyknęła oburzona. — Jak trzeba, to cię nie ma! A ja już ledwo żyję! — Jacek nadal się śmiał i ani myślał się uspokoić.

— Serio, Ewka, naprawdę dawno się tak nie ubawiłem. — Śmiech. — Ty to wiesz, jak człowiekowi poprawić humor na wieczór. — Śmiech. — Że też akurat tobie takie rzeczy się przytrafiają. — Śmiech.

— Ale co w tym jest takiego zabawnego?! — Ewa, bliska łez, była już u kresu wytrzymałości.

— Przepraszam... wyobraziłem sobie, jak biegasz za tym psem po parkingu w szpilkach i sukience. — Jackowi brakowało tchu. Ewa spróbowała na chłodno ocenić, jak musiała się prezentować poniewierana przez nieposłusznego Browara, i w końcu kąciki jej ust również się uniosły. Rzeczywiście, to musiało wyglądać

komicznie. Rozluźniła się trochę.

— Okej, już się nie śmieję. — Jacek wreszcie skupił się na problemie. — Ewa, nie ma rady, będziesz musiała jutro wziąć dzień wolnego i to wszystko poukładać. Dopóki się nie dowiesz, jaki jest stan twojej koleżanki, to tak naprawdę ciężko podjąć jakieś decyzje. Może z Magdą nie jest tak źle, uda ci się jutro z nią porozmawiać i zapytać, czy ta dziewczynka ma jakichś krewnych.

— Oby. — Ewa westchnęła. — Nie wyobrażam sobie, żeby miała tu zostać dłużej, i jeszcze te zwierzaki. Wiesz, że teraz mam urwanie głowy w pracy.

— Wiem. Ale zawsze mogło być gorzej. Wyobraź sobie, że trafiłoby ci się kilkumiesięczne niemowlę, którego nie mogłabyś spuścić z oka ani na sekundę i jeszcze musiałabyś zmieniać pieluchy.

— No tak, patrząc z tej strony, masz rację — przyznała. — Kiedy wracasz? — Zapytała z nadzieją, że może Jackowi uda się skrócić wyjazd.

— W niedzielę. Chciałbym ci pomóc, ale nie da rady, taki mamy plan. — Zrozumiała, doskonale wiedziała, co to znaczy odpowiedzialność za służbowe zobowiązania.

— Muszę kończyć — powiedziała, słysząc, że woda pod prysznicem przestała lecieć. Julka pewnie zaraz wyjdzie, a nie chciała, żeby słyszała jej rozmowę.

— Okej. Trzymaj się. — Jacek pierwszy się rozłączył.

Rozmowa z mężem nieco podniosła Ewę na duchu, czegoś jej jednak w niej brakowało. Zawsze, ale to zawsze, gdy pojawiały się jakieś problemy, głównie w pracy, Jacek mówił: „Dasz sobie radę. Kto jak nie ty?”. Te dwa zdania były jej oparciem, najlepszym motywatorem, z nich czerpała siłę, gdy tak naprawdę sił już brakowało. Dlaczego nie wypowiedział ich teraz? Próbowwała sama siebie przekonać, powtarzając w myślach: „Czym jest jedna kilkulatka i pies w porównaniu z finansowymi molochami? Przecież nie ma rzeczy, z którą nie byłabym w stanie sobie poradzić”. Odrobinę pomogło, ale nie tak, jak gdyby wyszło to od Jacka. Uzmysłowała sobie, że chodziło nie tyle o same słowa, ile o świadomość, że ktoś — najbliższa jej osoba — stale w nią wierzy i jej kibicuje. Przyszło jej do głowy, żeby zadzwonić jeszcze do mamy, zaraz jednak porzuciła ten pomysł. Nie miały zbyt dobrego kontaktu, ich stosunki były raczej poprawne niż serdeczne, a ostatnio rozmawiały ze sobą jakoś w okolicach Wielkanocy. Nie miałyby skrupułów, żeby pochwalić się matce jakimś kolejnym sukcesem, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, że ta doradzałaby jej w tej pokręconej sytuacji. Ewa żałowała, że nie ma siostry, której mogłaby się zwierzać. Zawsze wyobrażała sobie, że między dwiema siostrami istnieje mocna więź, pokrewieństwo dusz, nawet jeśli zdarzają się jakieś drobne konflikty. Niestety, miała tylko brata Artura, o dziesięć lat starszego buntownika, który zaraz po osiągnięciu pełnoletności wyruszył w podróż dookoła świata, fundując rodzicom pierwsze srebrne nitki we włosach.

Zwiedził Stany Zjednoczone, Chiny, Indie i większą część Europy, aby w końcu osiąść na stałe we Frankfurcie. Nigdy nie przejmował się opinią innych, miał własną wizję swojej przyszłości, nie interesowało go, co „wypada” — nie skończył studiów, nie założył rodziny. Ewa nigdy nie miała z nim bliskich relacji, nie rozumiała jego uporu w tym dążeniu do życia pod prąd, wbrew wszystkim ogólnie przyjętym zasadom. Ona nigdy nie zrobiła ani jednego kroku poza znany jej właściwie od dziecka plan, ale nie czuła się w żaden sposób ograniczona. Summa summarum jej obecne życie było przecież wypadkową jej własnych wyborów i nie miała powodu do jakiegokolwiek niezadowolenia. Siedziała jeszcze na kanapie przez kilka minut, wpatrując się w ciemny ekranik smartfona i drapiąc stopą psi grzbiet.

Julia, już w piżamie, wyszła z łazienki i położyła się do łóżka. Browar od razu się zerwał i pobiegł za nią. Ewa zajrzała do pokoju i stwierdziwszy, że dziewczynce najwyraźniej niczego nie brakuje, życzyła jej dobrej nocy. Jej samej ochota na długą, odprężającą kąpiel przeszła; chciała jak najszybciej położyć się spać. Postanowiła wziąć tylko szybki prysznic. Skrzywiła się na widok porozrzucanych na podłodze ciuchów Julki i sporej kałuży wody, jutro będzie musiała zwrócić jej na to uwagę.

Zwykle stres i nadmiar wrażeń powodowały, że Ewa miała spore problemy z zaśnięciem. Ale nie tym razem — zmęczenie dało jej się we znaki i sen przyszedł, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki. Nie dane jej było długo cieszyć się odpoczynkiem. Obudziły ją odgłosy szurania i stuk, jakby coś upadło. Po chwili usłyszała pukanie do drzwi i zanim zdążyła odpowiedzieć, w szparze w drzwiach ukazała się głowa Julki. Ewa nie zasunęła rolet do końca, do pokoju wpadało światło z ulicznych latarni i zauważyła, że dziewczynka ma policzki mokre od łez.

— Mogę się przytulić? — powiedziała smutnym, dziecinnym głosem.

— Chodź — odpowiedziała, wciąż niezupełnie rozbudzona.

Julce nie trzeba było dwa razy powtarzać, pokonała odległość od drzwi do łóżka dwoma susami i bezceremonialnie wpakowała się Ewie pod koldrę. Za nią do pokoju wpadł Browar, który kompletnie zignorował protestującą Ewę i również wskoczył na łóżko. Na szafeczce przy zagłówku spoczęła klatka z chomikiem Hubertem — byli wszyscy w komplecie. Ewie ten stan rzeczy wcale się nie spodobał, chciała wyrzucić zwierzęta z sypialni. Kiedy jednak spojrzała na zapłakaną buzię Julki, stwierdziła, że nie ma serca tego zrobić. Jedną noc jakoś wytrzyma, a jutro na pewno sytuacja się rozwiąże. Teraz miała inny problem: jak pocieszyć kilkulatek, której najwyraźniej tamy puściły i emocje związane z wypadkiem wreszcie znalazły ujście? Julka dzielnie starała się powstrzymywać płacz, ale raz po raz wyrywało jej się głośnie czknięcie.

— Proszę. — Ewa podała małej paczkę chusteczek. Dziewczynka wzięła jedną i głośno wydmuchała nos.

— Mama z tego wyjdzie, prawda? — zapytała cicho.

— Twoja mama jest bardzo silną kobietą — odparła Ewa, zdobywając się na jak najbardziej pozytywną, a jednocześnie dyplomatyczną odpowiedź.

— Wiem. Chciałam się tylko upewnić — powiedziała Julka i wtuliła się w Ewę. Ta zeszywniała. Dziewczynka nie zważała na dystans, jaki tworzyła opiekunka, i zbliżyła się do niej, jakby to było coś zupełnie naturalnego. Poczula się dziwnie. Pozwoliła na to z pewnym oporem, ale musiała przyznać, że nie jest to uczucie nieprzyjemne. Była potrzebna. Ta mała, chuda istotka zaufała jej od pierwszych chwil i całkowicie na niej polegała. Spróbowała sobie wyobrazić, co ona musiała przejść zaledwie kilka godzin temu: huk, szarpnięcie, mnóstwo odłamków szkła, zamieszanie, tłum ludzi, obce osoby wyciągające z samochodu jej mamę, najprawdopodobniej nieprzytomną. Ewa mimowolnie zadrżała. Nikt nie powinien przeżywać takiego koszmaru, a tym bardziej niewinne dziecko... choć bardzo dzielne i roztropne dziecko, tego nie mogła Julii odmówić. Z wahaniem wyciągnęła rękę i pogłaskała jej miękkie włosy. Poczula, że dziewczynka zaczyna się uspokajać, jej oddech stawał się coraz bardziej regularny, usta delikatnie się rozchyliły, aż w końcu odpłynęła w sen. Ewie za to tym razem zaśnięcie nie przyszło łatwo. Leżała w dziwnej pozycji, z jedną ręką pod ramieniem Julki, a za plecami słyszała głośne sapanie psa. Jakby tego było mało, ze stojącej obok klatki dochodził piskliwy, przeszywający dźwięk przypominający hamowanie rozpędzonego autobusu. To Hubert, aktywny nocną porą, biegł na kołowrotku ile sił w łapkach, a jego sprzęt do ćwiczeń wyraźnie wymagał przeglądu i naoliwienia niektórych elementów. Ewa zacisnęła zęby i liczyła w myślach do dziesięciu, do stu, do pięciuset...

\*

Była godzina 6.30, gdy Ewa została wyprowadzona na spacer przez Browara. Dokładnie tak to wyglądało: to nie ona prowadziła psa, to pies ciągnął ją między blokami, z entuzjazmem odkrywając nową okolicę. Miała na sobie swój standardowy zestaw do biegania: legginsy, koszulkę z oddychającego materiału, bluzę i niebieskie adidasy. To był jedyny sportowy strój w jej garderobie i zarazem jedyny, który nadawałby się na poranne wyjście z nieposłusznym olbrzymem. Na kawę, pełny makijaż i ułożenie włosów skomlący labrador już jej nie pozwolił i liczyła po cichu, że nie spotka nikogo z sąsiadów. Nie miała też ochoty tłumaczyć, skąd nagle wziął się u niej nowy lokator. Choć Ewa była przyzwyczajona do wczesnego wstawania, to raz po raz zasłaniała usta dłonią, tłumiąc ziewanie. Tej nocy nie zmrużyła oka, nie pomogło nawet wyniesienie klatki z hałasującym Hubertem do kuchni. Gdy Browar o szóstej zaczął drapać drzwi, domagając się wypuszczenia, poczuła niemal ulgę — na sen nie było już szans, może więc orzeźwi ją chłodne poranne powietrze. Za to Julia spała jak

zabita, leżała w poprzek łóżka, a spod kołdry wystawały jej obie stopy. Ewa nie miała sumienia jej budzić. Poprawiła kołdrę i zostawiła dziewczynce kartkę z informacją, że wyszła z psem, na wypadek gdyby się obudziła, zanim wróci.

Pies ciągnął ją coraz dalej, aż znaleźli się w pobliskim parku. Ewa bywała tu dość często, kiedyś nawet kilka razy w tygodniu biegała przez park wieczorami. Po raz pierwszy jednak znalazła się tutaj o poranku i teraz to miejsce wydało jej się w jakiś sposób inne. Nie licząc jeszcze jednej kobiety z psem i dwójki rowerzystów, w parku było zupełnie pusto. Ale nie cicho — ptaki dawały niesamowity pokaz swoich wokalnych umiejętności, a wokół rabatki z kwiatami brzęczały owady. Ewa spojrzała w górę: promienie słońca przebijały się przez gęste korony drzew, tworząc na ścieżce magiczną poświatę. Było ciepło, coraz cieplej, zapowiadał się upalny dzień. Już prawie lato. Nawet nie wiedziała, kiedy minęła wiosna. A przecież dawniej była to jej ulubiona pora roku! Przegapiła kwitnące magnolie, przegapiła pachnący bez. Nie zauważyła, kiedy dni zaczęły się stawać dłuższe, nawet nie zwróciła uwagi na moment, w którym rękawiczki i ciepłe botki powędrowały do szafy. W tym roku pracowała wyjątkowo ciężko, spędzała w biurze mnóstwo czasu. Zdawała sobie sprawę, że sama tego chciała i że ten wysiłek musi kiedyś zaprocentować. Jeszcze niejedna wiosna przed nią. Mimo to nie mogła się pozbyć uczucia przygnębienia, jakby ominęło ją coś bardzo ważnego.

Wracając, a raczej ciągnąc psa w kierunku bloku, zastanawiała się nad planem na dzisiejszy dzień. Chciała ułożyć sobie jakiś harmonogram i tym bardziej irytowała ją świadomość, że dopóki nie dowie się, jaki jest stan Magdy, nie może postanowić nic konkretnego. Zdecydowała przynajmniej załatwić kwestię dnia wolnego. Wiedziała, że Wojciech Miernicki jest rannym ptaszkiem i jej telefon o tej porze nie powinien mu w niczym przeszkodzić. Nie miała zamiaru podawać mu powodu nieobecności. Zawsze, gdy jej podwładni podawali mniej lub bardziej prawdopodobne wymówki, myślała, że to po prostu żenujące. Weźmie dzień wolny i tyle. Jej przełożony odebrał po pierwszym sygnale.

— Panie wiceprezesie, z tej strony Ewa Zalewska. Muszę wziąć dziś wolne. To zdarzenie losowe, koleżanka miała wypadek, powinnam pojechać do szpitala...

— Ze wstydem zarejestrowała, że jednak zaczyna się tłumaczyć. „*Shit*, jak to nieprofesjonalnie brzmi!”

— Nie tłumacz się — przerwał jej. — Dobrze, poinformuję zespół.

— Dziękuję. Wieczorem zaloguję się zdalnie, sprawdzę, czy wszystko jest na miejscu. W poniedziałek oczywiście zostanę dłużej...

— Zalewska, daj spokój. Dzień wolny na żądanie wszystkim się regulaminowo należy. Firma się nie zawali, gdy jeden piątek cię nie będzie. Jedź już do tego szpitala i nie myśl o robocie, damy radę.

Rozłączył się, zanim zdążyła cokolwiek dodać. Ewa poczuła ukłucie żalu.

Chyba wolałaby usłyszeć, że jest niezastąpiona, a przynajmniej że jej nieobecność będzie mocno odczuwalna. Cóż, mimo wszystko dobrze, że nie robił problemów.

Wchodząc do bloku, minęła się z kobietą ze średniej wielkości czarnym kundelkiem, którą widziała wcześniej w parku. Była chyba w wieku Ewy, szczupła szatynka, również ubrana na sportowo i bez makijażu. Wymieniły uśmiechy i Ewa poczuła do niej sympatię. To ciekawe, że nigdy wcześniej na siebie nie wpadły, skoro mieszkały tuż obok siebie. A może i wpadły, ale Ewa nie zwróciła uwagi na swoją sąsiadkę? Teraz pewnie też przeszłaby obok, nie poświęcając jej nawet spojrzenia, gdyby nie Browar entuzjastycznie nastawiony do nowego czworonożnego znajomego.

Po przekroczeniu progu Ewa usłyszała dochodzące z kuchni odgłosy krzątania, wyglądało na to, że Julia już wstała. Zamarła na widok tego, co właśnie robiła kilkulatka: z zapalem kroїła pomidora, trzymając w ręce ogromny nóż do mięsa. Tylko milimetry dzieliły go od jej palców.

— Julia, ostrożnie! — wykrzyknęła i czym prędzej zabrała dziewczynce nóż. Ta patrzyła na Ewę ze zdziwieniem, nie pojmując, co mogło ją tak przerazić.

— Cześć. Śniadanie robię — oznajmiła. — Zjemy i pojedziemy do mamy, tak?

— Tak... — Ewa dopiero teraz dostrzegła panujący wokół bałagan. Julia znalazła potrzebne artykuły spożywcze, nie znalazła natomiast deski do krojenia. Po całym blacie walały się więc okruchy, kawałki sera i kałuża z rozlanej herbaty. Mimo wszystko jak na siedmiolatkę była niezwykle samodzielna i zaradna. Pośrodku tego wszystkiego siedział Hubert, wcinając kawałek skórki od chleba i nic sobie nie robiąc z groźnego spojrzenia Ewy. Ewa zanotowała, żeby więcej nie zostawiać Julki samej, ani na sekundę. „Co by było, gdyby obcięła sobie palce tym nożem? Lepiej nie myśleć”. Dziewczynka była już po porannej toalecie i ubrana, miała na sobie te same džinsy co wczoraj i świeżą koszulkę, tym razem niebieską. Uczesana była dość niedbale, a koszulka aż się prosiła o wyprasowanie, ale Ewa wiedziała, że nie ma już na to czasu. Julia wyraźnie spieszyła się na spotkanie z mamą, chyba nawet nie przyjmowała do wiadomości, że mama może być w ciężkim stanie. „Jak ona może mieć tak dobry humor?” — zastanawiała się Ewa. „Widocznie dzieci nie zamartwiają się zbyt długo... Oby tylko w szpitalu czekały nas dobre wieści” — pomyślała. Nadgryzła szybko jedną z nieco koślawych kanapek, wzięła łyk zimnej i mocno przesłodzonej herbaty i już zbierały się do wyjścia. Po raz pierwszy zostawiła mieszkanie w takim stanie i po raz pierwszy wychodziła gdzieś, nie doprowadziwszy swojego wyglądu do perfekcji. „Pierwszy i ostatni raz”.

Po drodze Julia szczebiotała wesoło, opowiadając, co jej tylko ślina na język przyniosła. Ewę trochę ten potok słów męczył, ciężko jej było skupić myśli. Jednak nie przerywała dziewczynce, bo z tej paplaniny udało jej się wychwycić kilka dość



istotnych szczegółów. Jak na przykład to, że Magda zarabiała na życie, pracując jako fotograf. Pamiętała, że koleżanka dość często pojawiała się na uczelni z tanim, używanym aparatem w torbie, ale nie sądziła, że robienie zdjęć stanie się kiedyś jej zawodem. A tu taka niespodzianka.

Ewa nie miała pojęcia, gdzie powinna się zgłosić ani kogo pytać o Magdę. Pielęgniarka podała jej wczoraj nazwisko jakiegoś lekarza, ale Ewa, ufając swojej niezawodnej pamięci, go nie zapisała. I to był błąd. Stres, zamieszanie, nowa sytuacja sprawiły, że ta informacja wyleciała jej z głowy. Nie potrafiła odnaleźć się w szpitalu. Sama nigdy nie miała poważniejszych problemów ze zdrowiem, dzięki Bogu nikt z jej bliskich również. Nie było potrzeby, żeby zapoznawać się z działaniem poszczególnych szpitalnych jednostek. Z braku lepszego pomysłu skierowała się na SOR, tak jak wczoraj. Liczyła na szczęście.

I szczęście rzeczywiście jej dopisało, bo na korytarzu zaraz natknęła się na drobną pielęgniarkę, tę samą, która wczoraj rozmawiała z nią i komisarz Kudybą. Pielęgniarka od razu ją rozpoznała, sama podeszła do Ewy i zaczęła rozmowę.

— Dzień dobry. Pewnie do pani Stawskiej — powiedziała z uśmiechem.

— Tak. Czy mogłaby pani... — zaczęła Ewa.

— Oczywiście. Pani Stawska przebywa w tej chwili w zachodnim skrzydle, zaprowadzę panią. Doktor Tomasz Michalski udzieli wszystkich informacji.

No właśnie, Michalski. Teraz sobie przypomniała. Szła z pielęgniarką, znów pokonując tę skomplikowaną płataninę korytarzy, a Julia dreptała podekscytowana za nimi. Ewa starała się zbytnio nie rozglądać na boki. W szpitalu panował specyficzny zapach; mieszanina środków do dezynfekcji, leków, potu, zmęczonych chorobami ciał. Mimo uśmiechniętego personelu atmosfera była dość ciężka. Tu ludzie każdego dnia walczyli o życie, o zdrowie, tu rozgrywały się rodzinne dramaty, tu przekazywano smutne wieści. Żadne kolorowe plakaty, żadne optymistyczne hasła nie mogły zatrzeć tego przykrego wrażenia. Nikt nie chciałby tutaj trafić, a skoro już trafił, to zapewne myślał tylko o tym, żeby opuścić to miejsce jak najszybciej. Ewa, choć przecież nic jej nie dolegało, również nie miała zamiaru pozostać w szpitalu ani sekundy dłużej, niż to było konieczne.

Pielęgniarka zaprosiła Ewę i Julię do małego pomieszczenia, w którym znajdowało się tylko biurko, cztery plastikowe krzesła i sporych rozmiarów szafa. Było częściowo przeszklone, przez szybę można było zobaczyć pacjentów w szlafrokach spacerujących po szpitalnym korytarzu.

— Proszę chwilkę poczekać, zaraz poproszę doktora — powiedziała pielęgniarka i wyszła, zanim Ewa zdążyła jej podziękować. Drobną dziewczyna poruszała się niezwykle szybko i energicznie, pewnie specyfika jej pracy wymagała takiego tempa.

— Gdzie jest mama? — dopytywała Julia. — Chcę ją już zobaczyć.

— Moment. Zaraz przyjdzie doktor i wszystko nam powie.

Nie musiały czekać długo. Po kilku minutach drzwi się otworzyły i stanął w nich wysoki mężczyzna, mniej więcej czterdziestopięcioletni. Przypominał Ewie pewnego profesora, z którym kiedyś miała zajęcia z makroekonomii — jedyne, które musiała powtarzać z powodu oblanego egzaminu. Takie same szpakowate włosy, taki sam dodający powagi wąs. Mężczyzna trzymał w ręce białą teczkę, z której wystawał plik zadrukowanych kartek. Gdy tylko się odezwał, Ewa pomyślała, że jej koleżanka musiała trafić w dobre ręce. Doktor Michalski był bardzo rzeczowy, niemal surowy, ale budził zaufanie.

— Witam panie. Michalski. — Podał dłoń Ewie. Uścisk miał mocny, pewny.

— Ewa Zalewska, a to jest Julia, córka Magdaleny Stawskiej. Czy możemy...

— Wolałbym porozmawiać z panią na osobności — lekarz przerwał, a Ewie serce podskoczyło do gardła. Spodziewała się najgorszego. — Julia, czy możesz chwilkę poczekać na zewnątrz? To nie potrwa długo.

Na twarzy dziewczynki odmalowało się rozczarowanie, ale nie upierała się, żeby zostać, posłusznie wyszła na korytarz. Dobrze, że była ta szyba, dzięki czemu Ewa mogła ją cały czas widzieć. Doktor usiadł za biurkiem i otworzył teczkę, najpewniej była to dokumentacja dotycząca stanu Magdy.

— Pani pozwoli, że przedstawię, jak sprawa wygląda. Pani Stawska doznała lekkiego wstrząsu mózgu. Badanie tomograficzne nie wykazało żadnych uszkodzeń, ponieważ jednak poszkodowana zgłaszała silne bóle głowy, musi pozostać pod obserwacją.

— Czy to groźne? — zapytała Ewa.

— Dość częstym powikłaniem są krwaki mózgu, dlatego, jak mówiłem, konieczna jest obserwacja. Objawy takie jak ból głowy w końcu ustępują samoistnie, konieczny jest tylko odpoczynek w spokojnym otoczeniu. Poza tym mamy „smagnięcie biczem”... coś pani to mówi?

— Chodzi o uraz szyi, tak?

— Dokładnie tak, efekt nagłego i niekontrolowanego ruchu głowy, dość typowe przy wypadkach komunikacyjnych. W tej chwili pani Stawska otrzymała kołnierz ortopedyczny i środki przeciwbólowe. Czas pokaże, czy konieczna będzie rehabilitacja, osobiście zalecałbym masaż. Poza tym kilka niegroźnych otarć, jedna głębsza rana na lewej ręce wymagała założenia kilku szwów... — Doktor objaśniał niespiesznie, od czasu do czasu rzucając okiem w dokumentację.

— Czyli, jak rozumiem, Magdalenie nic poważnego nie grozi, tak? Możemy się z nią zobaczyć? — Ewę właściwie to interesowało najbardziej.

— Chwileczkę, jeszcze nie powiedziałem pani o tym, co nas martwi najbardziej. Lewa noga pani Stawskiej jest w paskudnym stanie. Zdjęcie RTG wykazało dwukostkowe złamanie goleni lewej z uszkodzeniem więzozrostu. — Równie dobrze mógłby zakomunikować, że na Ziemię najechali kosmici. Ewa

patrzyła na doktora Tomasza Michalskiego nierozumiejącym wzrokiem, ten jednak, niezrażony, kontynuował: — Konieczna była operacja, zastosowaliśmy znieczulenie częściowe zewnątrzoponowe. Dla lepszej stabilizacji dwie kostki zostały skręcone śrubami platynowymi.

— To nie brzmi dobrze.

— Nie będę ukrywał, to dość skomplikowane złamanie. Noga będzie musiała przez kilka tygodni pozostać w szynie, później raczej nie obędzie się bez rehabilitacji. Podajemy zastrzyki przeciwzakrzepowe, dzięki nim opuchlizna powinna szybciej zejść. I oczywiście środki przeciwbólowe.

— Ale... możemy zobaczyć Magdalenę? — zapytała z nadzieją Ewa. To wszystko brzmiało dość poważnie, ale złamana noga chyba nie przeszkodzi w rozmowie.

— Do tego zmierzam. Otóż w tej chwili nie. Pani Stawska niedawno została przewieziona z sali pooperacyjnej, z tego, co mi wiadomo, śpi. Zalecałbym, aby dziś po prostu wypoczywała.

Ewa nie wiedziała, co powiedzieć. Wyczuła stanowczość w głosie lekarza, prosiłby raczej na nic by się zdały. Ten, widząc jej zrezygnowaną minę, dodał:

— Myślę, że jutro już spokojnie będzie pani mogła złożyć wizytę. Sala trzysta jeden, drugie piętro. Jeśli pani sobie życzy, przekażę pani Stawskiej, że byliście tu dzisiaj. Pytała o córkę, gdy tylko odzyskała przytomność. Wiadomość, że jest w dobrych rękach, z pewnością ją uspokoi.

— Byłabym bardzo zobowiązana. Rozumiem, że nikt z rodziny jeszcze Magdaleny nie odwiedził. — Ewa próbowała wykorzystać okazję i dowiedzieć się czegokolwiek o potencjalnych krewnych koleżanki.

— Z tego, co mi wiadomo, nie.

— Cóż, dziękuję. — Ewa spojrzała przez szybę na Julkę przemierzającą korytarz w tę i z powrotem. — Nie mam pojęcia, jak jej powiedzieć, że nie zobaczy się dziś z mamą. Ogromnie na to liczyła — wyznała.

— Mogę to załatwić, jeśli pani pozwoli. Porozmawiam z nią.

— Oczywiście.

Lekarz zaskoczył ją tą propozycją, ale nie ukrywała, że sprawiła jej ulgę. Zawołała Julię, a sama wyszła z gabinetu. Próbowała się skupić na tablicach informacyjnych, ale nie mogła się powstrzymać przed zerkaniem raz po raz w kierunku szyby. Dziewczynka siedziała po drugiej stronie biurka, a doktor coś jej tłumaczył, pokazując obrazki w grubej książce wyjętej z szafy. Nagle zaczęła z zapalem kiwać głową, a smutek na jej twarzączce zastąpiony został przez szeroki uśmiech. Po chwili ucisnęła rękę doktora i wybiegła z gabinetu. Ewa nie potrafiła zgadnąć, co też Michalski jej powiedział, ale jedno jest pewne — była mu niesamowicie wdzięczna. Sam lekarz również wyszedł na korytarz, a przy uchu trzymał telefon. Ewa, nie chcąc mu przeszkadzać, wypowiedziała tylko

bezdźwięczne „dziękuję”.

W drodze powrotnej wstąpiły do supermarketu po szybkie zakupy. Jak się okazało, miały zupełnie różne pojęcie na temat tego, co jest „niezbędne” oraz co jest „zdrowe”. Ewa dość szybko skapitulowała i w jej koszyku pojawiło się kilka artykułów, których z własnego wyboru nigdy by nie kupiła: parówki, oranżada, kilka batoników. Skoro jednak miały uszczęśliwić Julię, to niech będzie. Z rozmowy z lekarzem wywnioskowała, że Magda będzie musiała spędzić w szpitalu co najmniej kilka dni. Przyszło jej do głowy, żeby w takim razie jeszcze raz wstąpić do jej mieszkania, zabrać więcej rzeczy Julki. A może lepiej jutro? Skoro jutro będą mogły porozmawiać, to dowie się, co konkretnie powinna spakować. Po cichu liczyła również, że może jednak istnieje ktoś bliski, kto mógłby zabrać dziewczynkę i zwierzaki. Dziś wzięła wolne w pracy, ale nie wyobrażała sobie zrobić tego po raz kolejny. Nie miała pomysłu, jak pogodzić pracę z tyloma nowymi obowiązkami. Wiedziała, że istnieją kobiety, które są matkami i realizują się zawodowo, ale w jej przekonaniu któryś z tych obszarów zawsze musiał na tym ucierpieć.

Dojechały dość szybko, o tej porze nie było zbyt dużego ruchu. W mieszkaniu panowała podejrzana cisza. Hubert, zwierzątko prowadzące nocny tryb życia, prawdopodobnie spał. Ale dlaczego na spotkanie nie wybiegł im Browar? Przecież on zawsze z każdym witał się, jakby nie widział żadnego człowieka co najmniej od kilku lat. Ewa weszła do salonu i od razu uzyskała odpowiedź na swoje pytanie.

Pies leżał na białej kanapie i z upodobaniem obgryzał 85-milimetrowe obcasy szpilek w kolorze nude, z czerwoną podeszwą. Był tak zajęty, że nawet nie zwrócił uwagi na ich właścicielkę.

— Cholera jasna! — wrzasnęła Ewa. — Oddaj to, potworze!!! — Podbiegła do kanapy, chwyciła but i próbowała wyszarpnąć go psu. Ten uznał, że to wspaniała zabawa; również szarpał i podskakiwał wesoło, jeszcze mocniej wbijając zęby w mięciutką skórę. Ewa była już bliska łez. Stało się dla niej jasne, że buty nadawały się tylko do wyrzucenia. To była jej ulubiona para, jedyne louboutiny, jakie miała, i zarazem najdroższy prezent (nie licząc torebki Korsa), jaki kiedykolwiek sama sobie zrobiła. W końcu odpuściła i zrezygnowana opadła na podłogę.

— Czemu tak krzyczałaś? — usłyszała. Julia wyszła zza futryny drzwi.

— Popatrz! — Ewa wskazała Browara, który wciąż trzymał w pysku but i merdał ogonem. — Wiesz, ile te buty kosztowały?! Wiesz, ile musiałam pracować, żeby było mnie na nie stać?! — krzyczała.

— Nie wiem — odpowiedziała dziewczynka zgodnie z prawdą. — Czyli nie masz pieniędzy, żeby kupić sobie nowe, tak? — próbowała zrozumieć, o co tyle hałasu.

— Nie no... mam pieniądze.

— To jaki problem? Gdyby to była twoja jedyna para i nie miałybyś pieniążków, żeby kupić nowe, toby dopiero była tragedia — oznajmiła, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem.

— Tak... toby dopiero była tragedia... — przyznała. — Ale to były louboutiny!

— Lu... co?

— Nieważne — machnęła ręką Ewa i wstała z podłogi. Będzie musiała jakoś przeboleć tę stratę.

Rozejrzała się po mieszkaniu. Dopiero co ta trójka się tutaj wprowadziła, a mieszkanie już przypominało miejsce po przejściu huraganu. I nie tylko mieszkanie — czuła, że jej opanowanie i zasady zaraz również szlag trafi, a na to nie mogła pozwolić. Zaczęła od tego, w czym była najlepsza: ułożenia planu działania. Szybkie porządki, następnie spacer z psem, który już zaczynał przebierać łapami przy drzwiach, obiad, później praca. Uporała się z tym dość szybko, również Julię zagoniła do pomocy. Na obiad przyrządziła proste danie, nie miała sił ani ochoty na nic wymyślnego — makaron z sosem serowym. Dziewczynka wcinała aż miło. Ciekawe, co też musiał powiedzieć jej lekarz, że była w tak dobrym nastroju, mimo że nie udało jej się zobaczyć z mamą.

— Ciocia Ewa, Ewa, ciocia, Ewa, cia... Ewcia. Mogę ci mówić Ewcia? — zapytała mała i nie czekając na odpowiedź, oznajmiła: — Będę ci mówić Ewcia. Co będziesz teraz robić? — zapytała Ewę, która właśnie wkładała naczynia do zmywarki.

— Muszę sprawdzić, co się dzieje w pracy pod moją nieobecność. I przygotować sobie kilka rzeczy na przyszły tydzień.

— To na laptopie będziesz robić, tak?

— Tak. Możesz pooglądać telewizję, pobawić się czy coś... — Ewa próbowała coś zaproponować, niestety nie miała pojęcia, jak spędzają czas wolny dzisiejsze siedmiolatki.

— A masz kredki? Albo pisaki? — zapytała Julka.

— Kredki nie, niestety. A cienkopisy mogą być? I zakreślacze?

— Dobra, niech będą. I dużo kartek mi daj.

Ewa podała dziewczynce wszystkie potrzebne artykuły, nareszcie zaparzyła sobie kawy i rozłożyła się z laptopem w swoim ulubionym, najwygodniejszym miejscu — przy stole w salonie. Jak nigdy potrzebowała chwili spokoju. Założyła, że Julia pójdzie do pokoju gościnnego i tam będzie rysować albo cokolwiek tam sobie zamierzyła z całą ryzą papieru do drukarki. Tym większe było jej niezadowolenie, gdy spostrzegła, że dziewczynka również rozkłada się w salonie, po drugiej stronie stołu. Chyba zauważyła groźne spojrzenie Ewy, bo zaraz zapewniła:

— Spoko, nie będę ci przeszkadzać.

Ewa szczerze w to wątpiła, jednak dała dziewczynce szansę. W końcu w każdej chwili może ją wyprosić. Zalogowała się i w pierwszej kolejności przejrzała skrzynkę e-mailową. Jak zwykle była zapchana, ale na szczęście nie znalazła w niej nic, co nie mogłoby poczekać do poniedziałku. Otworzyła okno komunikatora i napisała krótką wiadomość do Agnieszki Okońskiej, jej nieoficjalnej zastępczyni:

**Ewa Zalewska:** *Cześć. Wszystko okej?*

I zaraz otrzymała odpowiedź:

**Agnieszka Okońska:** *Hej, tak, wszystko gra, wyjątkowo spokojny dzień.*



**Ewa Zalewska:**

Ewie nieco ulżyło. Obawiała się, że podczas jej nieobecności może wyniknąć jakieś zamieszanie, a wtedy nie wybaczyłyby sobie, że do tego dopuściła. Na chwilę zatrzymała wzrok na ikonce „Sebastian Ćwikła — *available*”. Kusilo ją, żeby do niego napisać. Sama nie wiedziała po co; czego miałyby od niego potrzebować? Nie potrafiła sama swobodnie zacząć rozmowy i przyłapała się na tym, że szuka prawdopodobnie brzmiącej wymówki. Była ciekawa, czym się w tej chwili zajmuje. Czy myślał jeszcze o niej od czasu ich ostatniego spotkania? Czy zdaje sobie sprawę, jak sprzeczne emocje w niej budzi? Rozmarzyła się, wspominając wieczór spędzony nad projektem, który okazał się tylko zastawioną na nią pułapką. Tak łatwo dała się złapać! W końcu przywołała się do porządku i zwinęła okno komunikatora do paska zadań. Przecież już postanowiła, że z Sebastianem koniec. Nie chciała problemów.

Następne dwie godziny ślęczała nad agendą meetingu w sprawie Albatrossa. Już niebawem wszyscy zajmujący się przejęciem mieli wziąć udział w wideokonferencji z przedstawicielami klienta. Jako liderka musiała zadbać o to, żeby każdy był odpowiednio przygotowany, musiała każdemu przydzielić zadania i materiały do przyswojenia. Chciała, żeby wypadli profesjonalnie. Doskonale zdawała sobie sprawę z wagi pierwszego wrażenia i nie zamierzała tego spieprzyć.

Po dwóch godzinach jeszcze raz przeczytała stworzony plan i stwierdziła, że może być z siebie zadowolona. Rozesłała plik wszystkim zainteresowanym, teraz zostało tylko czekanie na feedback. Ewa była tak pochłonięta pracą, że zupełnie zapomniała o Julce. Znad swojego laptopa widziała tylko czubek głowy dziewczynki, która rzeczywiście zachowywała się bardzo cicho. Zerknęła ponad monitorem. Po drugiej stronie piętrzył się cały stos kartek, teraz ozdobionych przedziwnymi, kolorowymi kształtami.

— Rysujesz? — zagadnęła.

— Tak. Dla mamy. Pan doktor mówił, że w jej pokoju nie ma żadnych obrazków i przydałoby się coś do przyklejenia na ścianach — wyjaśniła.

— To świetnie. A co to jest? — zapytała, biorąc do ręki pierwszy rysunek i nijak nie mogąc odgadnąć, co przedstawia.

— Glisty. I dinozaur.

— A... aha. A to? — wskazała kolejne dzieło.

— Żółw w traktorze.

„Hmm”.

\*

Wstały dość późno, a gdyby nie Browar koniecznie domagający się spaceru, pewnie spałyby jeszcze dłużej. Ewa nareszcie odkryła, co zawierała zastanawiająco ciężka torba Julki: było w niej mnóstwo książek. *Kubuś Puchatek*, *Muminki*, *Doktor Dolittle i jego zwierzęta...* i jeszcze kilka innych tytułów. Dziewczynka czytała w łóżku do późna i na nic zdały się prośby Ewy, żeby zgasila światło. Z jednej strony podziwiała, że kilkulatka tak długo potrafi skupić uwagę na jednej czynności, a z drugiej strony, tak jak przewidywała, Julka dziś raz po raz ziewała.

Do szpitala dotarli dopiero po jedenastej. Bez większych problemów znalazły salę trzysta jeden. Ewa stwierdziła, że już coraz lepiej porusza się po szpitalnych korytarzach. Jeszcze kilka wizyt i będzie umiała trafić z zamkniętymi oczami.

Zapukała cicho do drzwi, ale zanim usłyszała odpowiedź, podekscytowana Julka nacisnęła klamkę i wbiegła do środka. Była to sala dwuosobowa, bardzo skąpo wyposażona, ze ścianami w brzydkim, smutnym odcieniu zieleni. Na łóżku przy ścianie spała jakaś kobieta przykryta szpitalną kołdrą po same uszy. A na drugim, pod oknem...

— Mama! — Julka, nie zważając na nie najlepszy stan leżącej kobiety, rzuciła się na nią z rozpostartymi ramionami.

— Julcia! Ależ ja się za tobą stęskniłam! — Magdalena tuliła córkę, choć sprawiało jej to widoczny ból. Niewątpliwie odczuwała radość, mimo to nie udało jej się ukryć grymasu na twarzy.

Powitanie trwało długo, matka i córka nie mogły się sobą nacieszyć, mówiły jedna przez drugą. Obie chyba poczuły ulgę, że ta druga wyszła z wypadku bez bardzo poważnych obrażeń, w każdym razie niezagrażających życiu. Ewa stała w kącie sali niepewna, jak się zachować. Nie chciała przeszkadzać w tej prywatnej, intymnej scenie, z drugiej strony wiedziała, że musi z Magdą porozmawiać. Czekala więc spokojnie, ukradkiem przyglądając się koleżance. Nadal była blondynką, nadal miała o kilka kilogramów za dużo. Tak przynajmniej się Ewie zdawało, bo luźna szpitalna koszula skutecznie ukrywała mankamenty figury. Poza tym Magda nie wyglądała najlepiej. Wokół szyi miała kołnierz ortopedyczny, a jej lewa noga w gipsie spoczywała na specjalnie ustawionym podwyższeniu. Na jednej ręce zauważyła opatrunek oraz mnóstwo drobnych zadrapań i siniaków. Szara cera i opuchnięte oczy świadczyły o nieprzespanej nocy. Czyżby płakała? Bardzo możliwe.

Julka jakby nie widziała gipsu ani kołnierza, wpakowała się na łóżko i nadal mówiła chaotycznie, o wszystkim naraz:

— Mamusiu, bo ja się bałam, a Ewcia przyjechała, Browar zjadł jej buty, nie byłam wczoraj w szkole, Ewcia ma takie duże mieszkanie, a ja chciałam, żebyś ty



też przyjechała, pan doktor mówił, żeby ci coś narysować, to ja narysowałam...

Magdalena, wciąż tuląc córkę, w końcu przerwała ten potok słów i spojrzała na Ewę.

— Ewa... Dziękuję — powiedziała po prostu i wyraz jej twarzy się zmienił; w jej oczach Ewa dostrzegła prawdziwą wdzięczność.

— Nie ma za co. Każdy na moim miejscu... — zaczęła, ale koleżanka zaraz jej przerwała:

— Nie. Nie każdy. Dziękuję, że tak dobrze zajęłaś się Julką — wskazała stojące w przeciwnym rogu krzesło. — No, nie stój tak, usiądź.

Ewa przysunęła więc sobie plastikowe, nieco chybotające się krzesło i usiadła przy łóżku. Znowu poczuła się niezręcznie. Nie widziała Magdy tak dawno... Nie wiedziała, o czym rozmawiać, jak zacząć, jak najdelikatniej zapytać o kwestie, które były dla niej najbardziej istotne. Na przykład jak długo ma się jeszcze opiekować jej dzieckiem i zwierzyńcem. Magdalena jednak sama rozwiązała jej wątpliwości. Z szafeczki przy łóżku wyjęła portfel, dała córce dwadzieścia złotych, wytłumaczyła jej, jak dotrzeć do szpitalnego sklepiku. Poprosiła, żeby kupiła jej wodę mineralną i coś słodkiego. Gdy Julia ochoczo wybiegła, zwróciła się do Ewy:

— Ewa, czy byłoby możliwe, żeby Julia została u ciebie jeszcze kilka dni? Nie wiem dokładnie, kiedy stąd wyjdę, ale mam nadzieję, że nie później niż w przyszły piątek. Wiesz, ta noga... i wciąż mam silne bóle głowy. Lekarz kazał mi zostać na obserwacji. — Westchnęła głośno i potarła palcami skronie, jakby na potwierdzenie swoich słów.

— Jasne. — Dla Ewy stało się w tej chwili oczywiste, że Magda na nikogo innego nie może liczyć. Inaczej przecież by jej o to nie prosiła. — Pomogę, jak tylko będę potrafiła — obiecała, choć wypowiedzenie tych słów nie przyszło jej bez wysiłku.

— Nie koliduje ci to z niczym? Tak dawno się nie widziałyśmy, nawet nie wiem, czym się teraz zajmujesz.

— Koliduje — przyznała zgodnie z prawdą Ewa, myśląc o Albatrossie. Nie miała jednak wyjścia; powiedziała A, to musi powiedzieć B. Oznajmiła więc już bardziej zdecydowanie: — Ale damy sobie radę. — „Jakoś wytrzymamy jeszcze tydzień. Jacek wróci, pomoże, może jemu uda się zapanować nad tym zwariowanym psem. Zawsze lubił zwierzęta. Jakoś to będzie” — uspokajała się w myślach.

— Nie wiem, jak ci dziękować. Kamień z serca, teraz mogę sobie chorować spokojnie — oznajmiła z uśmiechem.

— Raczej wracać do zdrowia — poprawiła Ewa i obie się roześmiały. Lody zostały przełamane.

— Opowiedz mi w takim razie, co u ciebie. Sporo mamy do nadrobienia —

zachęciła ją Magda.

Nieprzywykła do zwierzania się komukolwiek, Ewa niezbyt wiedziała, od czego zacząć opowieść. Mówiła powoli, rozważnie, czasami robiła przerwę i zerknęła ukradkiem na twarz koleżanki, próbując z niej wyczytać, jakie wrażenie robią jej słowa. Opowiadała głównie o pracy w korporacji, która dla Magdy była czymś zupełnie nieznanym. Mimo to Magda słuchała cierpliwie, czasami wtrącała jakieś pytania, przytakiwała. Wyglądało na to, że rzeczywiście interesuje ją to, co Ewa ma do powiedzenia, i autentycznie się cieszyła, słysząc o jej sukcesach. Sama zadała Magdzie kilka pytań i uzyskała potwierdzenie tego, co wcześniej usłyszała od Julki: koleżanka była fotografem, zajmowała się głównie fotografią rodzinną i okolicznościową. Magda się ożywiła, gdy opowiadała o ślubnych plenerach, sesjach zdjęciowych dzieci, sesjach narzeczeńskich. Widać było, że naprawdę kręci ją to, co robi.

— Akurat teraz, gdy sezon ślubny w pełni, będę musiała zrobić sobie przerwę. Ech, złośliwy ten los. — Westchnęła ciężko.

— Pewnie masz ochotę udusić tego idiotę, który cię tak załatwił — stwierdziła Ewa, mając przed oczami obraz jakiegoś młodego chłopaczka, który dopiero co otrzymał prawo jazdy i poczuł się zbyt pewnie za kierownicą. Tacy są najniebezpieczniejsi.

— A wiesz, że nawet nie? Okazało się, że to jakiś starszy pan, prawdopodobnie zasłabł i dlatego stracił panowanie nad kierownicą. Jest w dużo gorszym stanie niż ja. Jego syn zajrzał do mnie dziś rano, cała rodzina jest załamana. Wyrzucają sobie, że pozwalali mu prowadzić w tym wieku.

Wkrótce wróciła Julia, która na zakupach nieco zaszalała i kupiła dodatkowo paczkę żelków, ciasteczka, batoniki i dużą tabliczkę czekolady. Ewa dostrzegła, że koleżanka jest zmęczona, najwidoczniej ból głowy się nasilił. Wciąż podtrzymywała rozmowę, oglądała rysunki przyniesione przez córkę, ale zdradziły ją przymknięte oczy i ukradkowy grymas. Czas było się zbierać, zanim przyjdzie lekarz i dostaną reprimendę, że tak długo ją męczą.

— Powiedz, czego potrzebujesz — odezwała się Ewa. — Skoro i tak musimy wstąpić do waszego mieszkania po więcej rzeczy dla Julii, to i tobie możemy coś zapakować.

— Ojej, byłoby super! Jestem tu dopiero dwa dni, a już mam dość tych szpitalnych ciuchów i mydła. Masz coś do pisania? — zapytała i podyktowała Ewie listę potrzebnych przedmiotów, wyjaśniając za każdym razem, gdzie je znajdzie. Koszula nocna, bielizna, kapcie, ręcznik, kilka kosmetyków i książki. — Coś do czytania koniecznie mi przywieź. Zwariuję, leżąc beczynn timer. I wiesz co? Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę, to naprawdę ważne. W kuchni na stole leży laptop, włącz go, nie ma żadnego hasła. Na pulpicie znajdziesz plik z listą zleceń na najbliższy miesiąc. Mogłabyś mi ją wydrukować? Będę musiała zadzwonić do

klientów i odwołać sesje — poprosiła.

— Jasne. A może ja ci tego laptopa przywiozę, co? — zaproponowała Ewa.

— Ani mi się waź! — zaproponowała gwałtownie. — Tak sobie myślę, że ten wypadek to może kara za mój pracoholizm. Albo biegałam z aparatem w ręce, albo ślęczałam po nocach nad laptopem. No i teraz mam, dograłam się. Robię przerwę od pracy, nie chcę widzieć ani aparatu, ani laptopa przez minimum tydzień. — Magda zakończyła stanowczo.

W uszach Ewy zabrzmiało to dość niepokojąco. „Co by było, gdyby mi zdrowie w tej chwili nawaliło i nie dałabym rady pracować?” Zadrżała na samą myśl i czym prędzej pozbyła się jej z głowy. Wstała i zaczęła się szykować do wyjścia.

— Julia, pożegnaj się z mamą. Przyjedziemy jutro, o podobnej porze, okej?

— Pewnie, będę czekać. — Magda się lekko uśmiechnęła. — Ewa, wiesz co? Cieszę się, że znów się spotkałyśmy. Szkoda, że w takich okolicznościach, ale się cieszę.

— Ja też — odpowiedziała Ewa, patrząc gdzieś ponad ramieniem koleżanki. — A powiedz mi jeszcze jedno. Dlaczego akurat mnie miałaś wpisaną jako kontakt ICE? Skąd wiedziałaś, że będę mogła pomóc? Nie widziałyśmy się tyle lat. — W końcu zdobyła się na pytanie, które męczyło ją od samego początku.

— Wiedziałam, że w razie czego nie zawiedziesz. Ty nigdy nie zawodzisz — oznajmiła, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem.

„Hmm, nie byłabym tego taka pewna” — pomyślała Ewa. To prawda, w pracy nigdy nie nawaliła. Ale co z tą felerną rocznicą ślubu? Czy rzeczywiście nigdy nikogo nie zawiodła? Kolejna rzecz, o której nie miała ochoty rozmyślać.

\*

Dopiero teraz Ewa miała okazję przyjrzeć się bliżej mieszkaniu Magdy. Dwupokojowe, z mikroskopijną kuchnią, usytuowane od południowej strony, przez co temperatura w lecie musiała w nim sięgać trzydziestu stopni. Jak Magda i Julka wytrzymują w te upały? Poza tym było dość oszczędnie urządzone, Ewa zgadywała, że im się nie przelewało. Proste, niedrogie meble noszące widoczne ślady użytkowania. I każdy z innej bajki, z innego kompletu, jakby znaleziony przypadkiem, upolowany podczas wyprzedaży. Julia chyba też nie miała zbyt wielu zabawek. Ewa dostrzegła tylko jedną lalkę, kilka pluszaków i jakieś gry planszowe. W porównaniu z tym, co widziała w pokojach dzieci siostry Jacka, był to zbiór bardzo skromny. Rozglądała się dalej: w rogu pokoju, na podłodze piętrzył się stos akcesoriów fotograficznych, statyw, jakieś lampy... nie znała się na tym. Skrzywiła się, widząc wszechobecny bałagan: brudne naczynia w zlewie, ślady psich łap na posadzce, stertę ciuchów w koszu na brudną bieliznę. Mimo to musiała przyznać, że mieszkanie wydawało się przytulne. Jakby wszystkie sprzęty wołały: „Usiądź,

odpocznij, napij się herbaty, opowiedz swoją historię”. Czy to za sprawą zdjęć porozwieszanych gdzie popadnie? Ścian pomalowanych na ciepłe, radosne kolory? A może to te kwiaty albo zioła suszące się w kuchni? Trudno powiedzieć. W każdym razie Ewa rzeczywiście znalazła filiżankę w jednej z kuchennych szafek i zrobiła sobie herbatę. Kursowała niespiesznie pomiędzy pomieszczeniami, po kolei realizując wszystkie punkty z listy i wkładając do torby rzeczy koleżanki. Julia w tym czasie pakowała szkolne podręczniki, zeszyty i swoje ubrania.

Ewie udało się znaleźć prawie wszystko. Coś jeszcze? A tak, książki. Zauważyła, że regał zajmuje całą ścianę niewielkiego pokoju. To po matce Julia musiała odziedziczyć miłość do książek. Były starannie ułożone i odkurzone, całkowite przeciwieństwo tego, co działo się na podłodze czy w kuchni. Przebiegła wzrokiem po ich grzbietach, ale większość tytułów nic jej nie mówiła. Zerknęła na kartkę z zapisanymi tytułami, o które prosiła koleżanka, i po kolei wyjmowała je z regału, i kładła na stole. Jedna książka przyciągnęła jej uwagę, a to dlatego, że wystawało z niej całe mnóstwo samoprzylepnych karteczek. Jakaś powieść, sądząc po notce na okładce, zwykle babskie czytadło o niespełnionej miłości. Usiadła na krześle i przekartkowała ją szybko. Na marginesach było mnóstwo notatek, niektóre zdania zostały podkreślone ołówkiem. Magdalena widocznie należała do osób, które czytają „aktywnie”, starają się jak najwięcej zapamiętać i wyciągnąć z książki, nawet jeśli na pierwszy rzut oka nie jest to jakaś wybitna lektura.

— Ewcia, idziemy? Ja już się spakowałam. — Podskoczyła na dźwięk głosu Julki i z trzaskiem zamknęła książkę, natychmiast o niej zapominając. To nie był jej gatunek.

— Tak, tak. Wszystko masz, na pewno? — zapytała, krzątając się i wrzucając ostatnie rzeczy do torby.

— Mam. Chodź, jeszcze placek musimy dzisiaj upiec — oznajmiła dziewczynka.

— Pla... co? Ja nie piekę! — zaprotestowała Ewa.

— No placek. Zawsze w niedzielę musi być placek. Jak to tak, żeby nie było? Ale możemy upiec już dzisiaj i jutro zawieźć kawałek mamie. Możemy? — Popatrzyła na Ewę błagalnie, a ją po raz kolejny opuściła cała stanowczość.

— Możemy. Ale to musi być coś prostego. I lekkiego.

— Jogurtowy jest prosty.

Prawda, jogurtowy był prosty. Znalazły przepis w internecie i dwie godziny później, po szybkim spacerze z Browarem, który widocznie już się stęsknił za towarzystwem, Ewa wkładała blachę do piekarnika i modliła się w duchu, żeby ciasto wyrosło. Do wypieków jakoś nigdy nie miała szczęścia. Choć tym razem mogło być inaczej — Julka dzielnie jej pomagała, mieszając ciasto, a później układając na wierzchu jabłka i widać było, że dziewczynka nie po raz pierwszy asystuje w kuchni. Nastawiła stoper na czterdzieści minut i wreszcie usiadła przy

stole z laptopem. Dziś już nie miała zamiaru pracować, zabrakło jej sił. Chciała tylko sprawdzić pocztę, może przeczytać wiadomości. Julka rozwaliła się na kanapie z jakąś książką, a labrador ułożył się pod jej stopami. Właściwie zapowiadał się całkiem przyjemny wieczór. O ile Browar znowu czegoś nie zbroi.

Nagle pies podniósł łeb, postawił czujnie uszy. Usłyszały szcęk klucza w zamku i zaraz później wesoły głos z przedpokoju:

— Co tak pachnie?

Julia spojrzała niepewnie na Ewę, ta jednak wyglądała na jeszcze bardziej zaskoczona. Przecież jej mąż miał wrócić dopiero jutro!

Tymczasem Jacek tarosił podskakującego psa, który tradycyjnie witał się na swój bardzo entuzjastyczny sposób.

— Co za bestia! — powiedział, śmiejąc się. — I to w naszym mieszkaniu... Jak się wabi?

— Browar — odpowiedziała Julia.

— Browar? Podoba mi się. — Jacek cmoknął z uznaniem. — O, przepraszam, gdzie moje maniery. Jacek jestem. A pani to pewnie Julia? — Podszedł do dziewczynki i staromodnie pocałował podaną przez nią dłoń, aż Julka pisnęła z uciechy. Rozsiadł się obok niej na kanapie i zapytał prosząco:

— Czy serwuje się tutaj kawę? Poprosiłbym filiżankę... albo nie, wiaderko. Skonany jestem. Tyle godzin w podróży, mam dość.

— Co ty tutaj robisz? — wypaliła Ewa, nalewając już wody do czajnika, i natychmiast tego pożałowała. To nie tak miało zabrzmieć.

— He? Mam sobie iść? Przez telefon brzmiałaś, jakby potrzebna ci była pomoc. — Jacek nie krył irytacji jej chłodnym powitaniem.

— Nie... To znaczy tak, potrzebuję pomocy... — próbowała wybrnąć.

— Pomocy... A może choć: „Cieszę się, że cię widzę”? Zresztą nieważne. — Machnął ręką i sięgnął do leżącej obok Julki paczki żelków. — Witek zgodził się mnie dziś zastąpić, sam poprowadzi warsztaty. Mówcie, co tu tak pachnie. Pieczecie coś?

— Placek! Jogurtowy — wyjaśniła Julka, która przez cały czas przyglądała się Jackowi uważnie.

— Placek? No nie może być! To musiał być twój pomysł, co nie? No jasne, że twój, Ewa nie piecze. Kiedy będzie gotowy?

— Za piętnaście minut.

— To jeszcze kupa czasu. Co ty na to, żebyśmy przez ten czas lepiej się poznali? Znasz zabawę w „złap żelka albo mów”? — zapytał, jednocześnie podrzucając do góry żelkowego misia i łapiąc go ustami.

— Nie! Na czym to polega? — Dziewczynka wierciła się podekscytowana.

— Ja też nie znam. Teraz to wymyśliłem, dasz wiarę? Zrobmy tak: rzucasz żelka do góry i łapiesz do buzi. Jak nie złapiesz, to ja ci zadaję pytanie. A później

zamiana, jeśli ja nie złapię, to ty pytasz. — Powiedział i jeszcze raz zademonstrował technikę rzucania i łapania.

— I mogę pytać o wszystko? — upewniła się Julka.

— Pewnie. I odpowiadamy szczerze, jasne?

Dziewczynka pokiwała energicznie głową i czym prędzej nabrała pełną garść żelków. Ewa czekała w kuchni, aż zagotuje się woda na kawę, i jednocześnie przysłuchiwała się dobiegającym z salonu śmiechom i piskom. Raz po raz padały pytania o ulubione kolory, filmy, muzykę, miejsca... wyglądało na to, że ta dwójka świetnie się ze sobą bawi. Jacek od razu odnalazł się w roli genialnego wujka. Tego właśnie najbardziej Jackowi zazdrościła: daru zjednywania sobie ludzi, swobody, luzu, humoru. Ona nigdy nie wpadłaby na pomysł, jak rozbawić dziecko, a tym bardziej nie potrafiła sobie wyobrazić, że się wygłupia w ten sposób. Starła się, opiekowała Julką, zamartwiała, jak zorganizować wszystko, a koniec końców i tak wyjdzie na to, że mała będzie wolała spędzać czas z błaznującym wujkiem. Choć może to i dobrze — Jacek teraz się nią zajmie, a Ewa będzie mogła znów skupić się na pracy. Mimo wszystko nie tak to sobie wyobrażała; nie mogła się oprzeć jakiemuś dziwnemu rodzajowi smutku... Jacek wrócił, ale jej nie pocałował, nie objął, nie powiedział, że się stęsknił. Ona też nie zareagowała na jego widok tak, jak powinna reagować stęskniona żona.

Wróciła pamięcią do dnia, w którym się poznali. Tyle lat, a ona wciąż miała ten obraz przed oczami jak żywy. Czerwiec, punkt ksero, ona z imponującym stosem notatek i podręczników. Patrzyła na kolejne kartki wyskakujące z kopiarki, a za nią formował się już coraz dłuższy i coraz bardziej zniecierpliwiony ogonek. W końcu zebrała zbindowane pliki i sięgnęła do swojej pojemnej, skórzanej torby po portfel. Złoty sześćdziesiąt dziewięć — dokładnie tyle jej zabrakło. Piekące policzki, konsternacja, ciekawskie spojrzenia studentów stojących za nią. Próbowała się tłumaczyć, obiecywała dziewczynie za ladą, że jeszcze dziś wróci i odda brakującą kwotę, po prostu nie sprawdziła wcześniej, ile ma przy sobie. Nagle usłyszała głos tuż nad swoją głową:

„Ja zapłacę”.

Wysoki chłopak rzeczywiście zapłacił i jeszcze mrugnął do niej figlarnie. Uśmiechnęła się zakłopotana, wyszła na zewnątrz i na niego zaczekała. Nie pozwolił nawet sobie podziękować.

„Daj spokój, przecież to grosze. Jacek jestem” — powiedział i wyciągnął rękę.

„Ewa” — odparła, a jej drobna dłoń zniknęła w mocnym uścisku.

„To waży z tonę” — stwierdził, wskazując stos pięttrzący się u jej stóp.  
„Gdzie mieszkasz?”

„Przy Łokietka”.

„To chyba okolice Wrocławskiej, dobrze kojarzę?” — Skinęła głową. —

„Kawał drogi! Wow, dziewczyno, i ty sama chciałaś to tam taszczyć?! Nie no, szacun. Podziwiam twoją wiarę we własne siły” — powiedział i bez większego wysiłku podniósł pierwszą torbę z książkami. „Idziemy, prowadź”.

Odprowadził ją przed sam blok. Uparła się, że część książek będzie niosła sama i choć była to zaledwie ćwierć tego, co miała, i tak dotarła na miejsce nieźle zmęczona. Ręce bolały ją od tego ciężaru, rzeczywiście sama nie dałaby rady. Co za szczęście, że Jacek pojawił się akurat w tym momencie! Po drodze rozmawiali — swobodnie — i okazało się, że studiują na tej samej uczelni, mają nawet wspólnych znajomych.

„Nie wiem, co bym bez ciebie dziś zrobiła” — przyznała, gdy dotarli na miejsce. — „Czy mogę ci się jakoś odwdzińczyć?”

„Właściwie... to tak. Możesz” — odpowiedział i wyjął ze swojego plecaka teczkę. „To są ankiety, potrzebne mi do prezentacji u Sowy. Masz jakieś zajęcia z Sową?” — Przytaknęła. „No, to wiesz, jakie to ważne. Wypełniłabyś? Pytania głównie o zwyczaje konsumenckie. Możesz jakimś koleżankom podrzucić, będę wdzięczny. Im więcej zgromadzę tych ankiet, tym lepiej”.

Tak właśnie wyglądał ich początek. Dwa dni później odnalazła go na uczelni, zwróciła mu ankiety. Wymienili się numerami i umówili na pierwszą randkę, choć oboje się zarzekali, że to nie randka. Po prostu chcieli obejrzyć wystawę jakiegoś mało znanego malarza. Wstęp był wolny, więc żał nie skorzystać, a we dwoje raźniej. Później wybrali się do kina, również nie na randkę. I na lody. I Jacek namówił Ewę na weekendową wycieczkę rowerową, to przecież nie randka. I tak, sami nie wiedzieli kiedy, stali się parą. Ewa i Jacek, Jacek i Ewa. Zamknięta w sobie, ambitna perfekcjonistka. I misiowaty, roztrzepany optymista. „Teraz i na zawsze” — to było ich ulubione powiedzenie.

Ewa zastanowiła się nad tym, co ją w mężu najbardziej pociągało. Chyba głos, a raczej sposób, w jaki się wypowiadał. Tak spokojnie, z uśmiechem na ustach i patrząc rozmówcy prosto w oczy. Był pewny siebie, to jej się podobało. Czasami twierdziła, że ją denerwuje, ale w rzeczywistości kochała też jego poczucie humoru. Zawsze potrafił ją rozbawić. Bez trudu mógł rozładować napięcie, obracając wszystko w żart. A tak czysto fizycznie? Cóż, nie był specjalnie przystojny, ale... dłonie. Tak, to — duże i silne dłonie, takie męskie. Doskonale pamiętała ten dzień, gdy po raz pierwszy ją objął. Juwenalia, koncert, prawie północ, oni stali tuż przy scenie. Noc była dość chłodna, delikatnie siąpił deszcz. Jacek położył dłonie na jej talii, za uchem czuła jego gorący, pachnący piwem oddech. Poczula się przy nim taka mała, a jednocześnie bezpieczna, jakby wszystko było na swoim miejscu. Chciała, żeby ta chwila trwała wiecznie, uwielbiała, gdy tak za nią stawał i zamykał ją w swoich ramionach. Nigdy mu o tym nie powiedziała. Kiedyś robił to często, z własnej inicjatywy, a teraz? Gdzie się podziały te drobne gesty, ta czułość, to poczucie bezpieczeństwa?

Z przerażeniem zauważyła, że dziś, przebywając w towarzystwie męża, czuła się raczej, jakby stąpała tuż nad przepaścią. Jeszcze jeden nierozważny krok i może stracić wszystko, na czym jej kiedyś zależało.

Nagle z zamyślenia wyrwało ją delikatne uderzenie w ramię. Obejrzała się i dostała żelkiem.

— Jacek pyta, gdzie ta kawa — powiedziała Julka i wycelowała jeszcze jednego żelkowego misia w stronę Ewy. — Łap!

Ewa połknęła żelka, choć jeszcze kilka minut temu zarzekała się w myślach, że to nie w jej stylu.

\*

Magda wyglądała dziś znacznie lepiej. Wciąż w szpitalnej koszuli, unieruchomiona przez gips i kołnierz, ale za to z umyтыми włosami i jasnym błyszczkiem na ustach, uśmiechała się promiennie na widok koleżanki i córki. Żartowała, ścisnęła Julkę, wypytywała o psa i w zasadzie nic nie wskazywało na to, że wypadek w jakikolwiek sposób ją podłamał. Obejrzała zawartość torby spakowanej przez Ewę, dziękowała raz po raz i natychmiast kazała sobie nałożyć sporą porcję placka na talerzyk.

— Palce lizać! — pochwaliła. — Ewka, zdecydowanie powinnaś piec częściej, masz talent!

— Oj tam, raz mi się udało. Julka pomagała. — Ewa sprawiedliwie wspomniała o zasługach dziewczynki.

— Co racja, to racja, Julka sporo rzeczy potrafi przyrzadzić — przyznała Magda. — Zawsze mi pomaga.

Do współlokatorki Magdy, Anity, również przyszli goście, wśród nich dziewczynka w wieku Julii — córka pacjentki. Julka nie miała najmniejszego problemu z nawiązywaniem nowych znajomości, zagadnęła dziewczynkę o lalki z jakiejś modnej serii, które ta miała ze sobą, i po chwili bawiły się w najlepsze na korytarzu. Dzięki temu Ewa i Magda znów miały chwilę na rozmowę. Magda mówiła o tym, co planuje zrobić, gdy tylko wyjdzie ze szpitala. Sesje zdjęciowe nie wchodziły w grę, przynajmniej przez jakiś czas, ale za to będzie mogła wreszcie odświeżyć swoją stronę internetową i zaprojektować nowe wizytówki. Opowiadała Ewie o planowanych zmianach w ich małym mieszkanku: zamierzała odmalować kuchnię, a Julce obiecała nowe, wygodne biurko, przy którym będzie mogła odrabiać lekcje, czytać i rysować. Mówiła o wyjeździe do bardzo dalekiej krewnej, wycieczkach i zajęciach wakacyjnych dla Julki w jakimś klubie działającym przy szkole. Stwierdziła, że jej panda już od dawna nadawała się do remontu i teraz już nie ma wyjścia, będzie musiała się rozejrzeć za nowym samochodem. Energia wręcz ją rozpierała, zdawało się, że zaraz zejdzie z łóżka mimo gipsu i zacznie wprowadzać to wszystko w czyn. Ewa słuchała koleżanki i nie mogła uwierzyć



w to, co widzi. Nie taką Magdę zapamiętała. Tamta Magda ze studiów zwiesiłaby smutno głowę i stwierdziła, że znów prześladowuje ją pech i wypadek musiał się przytrafić właśnie jej. Pewnie siedziałyby jak kupka nieszczęścia i nijak nie mogła zabrać do jakiegokolwiek działania, tak właśnie postępowała w wypadku każdej złośliwości losu. Siedziała smutna i czekała, aż sytuacja sama się rozwiąże. Tak też było, gdy zaszła w ciążę — nie szukała ojca dziecka, nie walczyła, robiła tylko to, co musiała, aby obie jakoś przetrwały. A teraz wyglądała jak ktoś, komu nic nie jest straszne, mało tego, jakby najlepsze wciąż miała przed sobą. W końcu Ewa nie wytrzymała i rzuciła z przekąsem:

— Widzę, że wypadek nie przeszkodził ci w twoich planach i nie zepsuł nastroju. To dobrze.

Magdalena nieco się zmieszała.

— Ewka... to nie do końca tak.

— To znaczy?

— Pewnie, że wypadek pokrzyżował mi szyki. W pierwszym odruchu, gdy odzyskałam przytomność, miałam ochotę strzelić sobie w łeb. Ale wiesz, w piątek wieczorem przyszła do mnie taka młoda dziewczyna, świeżo po studiach, psycholog — wyjaśniała. — Myślałam, że ze mną porozmawia, walnie mi jakąś motywującą gadkę przygotowaną specjalnie dla ofiar wypadków, tak jak ją na tych studiach uczyli. A wiesz, co ona mi powiedziała? „Płacz. Ile sił, ile łez. Wypłacz to wszystko. A później przestań płakać”. I wyszła, a ja dokładnie tak zrobiłam. Całą noc płakałam. A rano... był taki słoneczny dzień. I wy przyjechałyście. Widzę, że Julka ma się dobrze.

Teraz to Ewa się zmieszała, jak zwykle w takich sytuacjach zabrakło jej odpowiednich słów. Racja, niemożliwe, żeby takie nieszczęście nikogo nie ruszyło. Magda po prostu dość szybko się po tym otrząsnęła. Nastąpiła cisza, nieco niezręczna, przerywana tylko chichotem i piskami bawiących się za ścianą dziewczynek. Obie koleżanki chyba myślały o tym samym: jak wiele w ciągu ostatnich lat się u nich zmieniło i jak one same się zmieniły. Ewa pierwsza zdobyła się na wyznanie:

— Podziwiam cię. Mówię szczerze.

— Ale za co? — Magda nie kryła zaskoczenia.

— Za to, że tak świetnie sobie radzisz. Nie masz nikogo do pomocy, a udaje ci się wychowywać córkę, ogarniać zwierzyniec, masz własne mieszkanie, pracę, którą lubisz... — Magda otworzyła usta, jakby chciała coś wtrącić, ale Ewa jej nie pozwoliła. — Tak, wiem, małe mieszkanie, ale jednak własne. Nie obraż się, ale gdy urodziłaś Julię, myślałam, że utkniesz w tej bibliotece i wynajmowanej klitce babci na zawsze. Rozumiesz, jakby to był koniec życia dla samej siebie, koniec rozwijania się, przyjemności. Tylko dziecko i mało ambitna praca — zakończyła niepewna, jak koleżanka zareaguje na te słowa.

— Kochana, macierzyństwo to nie żaden koniec! Trochę mi zajęło zrozumienie tego, ale to za ledwie początek. I jedna, ale na pewno nie jedyna z ról, jakie kobieta może pełnić — powiedziała Magda z uśmiechem.

— Łatwo ci mówić. Tobie łączenie tych ról wychodzi... doskonale.

— Mylisz się, bynajmniej nie doskonale. Każda matka ci powie, że ten prawdziwy egzamin dojrzałości, nie chodzi mi o maturę, zdecydowanie łatwiej oblać niż zaliczyć. Ale się staram. I chyba właśnie o to chodzi, żeby ciągle, każdego dnia się starać, z całych sił. — Magda zamilkła na chwilę. — Zresztą ja też mogłabym powiedzieć, że genialnie sobie radzisz w tym korporacyjnym ulu. Ja bym tam pewnie nie wytrzymała ani jednego dnia.

— Korporacja to nie jest złe miejsce — zaprotestowała Ewa.

— Nie — przyznała. — Ale to też nie jest miejsce dla każdego.

Rozmowę przerwało im nadejście lekarza i dwóch pielęgniarek. Doktor Michalski tylko skinął uprzejmie głową w stronę Ewy, natomiast na widok Magdy wykrzyknął z szerokim uśmiechem:

— Pani Madziu, rewelacyjnie pani dziś wygląda!

— Dziękuję pięknie. I pan niczego sobie — roześmiała się Magda.

— O samopoczucie chyba nie muszę pytać. Stwierdzić, że pani promienieje, to byłoby za mało. — Doktor puszczał oczko, a Magda się rumieniła i ze śmiechem ripostowała.

Ewa nie wierzyła własnym oczom. Ten poważny mężczyzna, który rozmawiał z nią tak rzeczowym tonem, teraz w najlepsze podrywał jej koleżankę. Nie ją — elegancką, szczupłą, jak zwykle w szpilkach i pełnym makijażu, ale nieco puszystą, wystrojoną w szarą koszulę matkę siedmiolatki. Najciekawsze było to, że Magdzie nijak nie przeszkadzał gips, siniaki, zadrapania i paznokcie z odpryskującym lakierem. Przyjmowała komplementy, dziękowała i kokieteryjnie przygryzała dolną wargę. Pielęgniarki chyba też to zauważyły, bo za plecami doktora wymieniły porozumiewawcze spojrzenia, jedna z nich głośno westchnęła. Michalski zaznaczył kilka rzeczy w karcie, życzył im miłego dnia i wreszcie opuścił salę, najpewniej udając się na wizytę u kolejnego pacjenta. Po drodze jeszcze zagadnął o coś Julkę, chyba pochwalił któryś z jej rysunków przyklejonych taśmą przy łóżku Magdy, bo dziewczynka zaraz przybiegła i oznajmiła, że koniecznie musi narysować coś „dla miłego pana doktora”.

Ewa nie skomentowała tego, czego właśnie była świadkiem. Dla niej pan doktor nie był miły ani czarujący, po prostu uprzejmy. Stwierdziła, że najwyższy czas się zbierać.

— Powinnam coś wiedzieć na temat szkoły Julii? — zapytała jeszcze, z obawą myśląc o zbliżającym się poniedziałku.

— Zaraz ci wszystko powiem. Do szkoły najłatwiej dojechać tak...

Magda tłumaczyła, a Ewa skrupulatnie notowała godziny rozpoczęcia

i zakończenia lekcji, koła zainteresowań, do których należała Julka, kontakt do nauczycielki, listę książek do oddania w bibliotece, miejsce i czas zebrania Rady Rodzicielskiej, której Magda była członkiem, instrukcje co do zbiórki funduszy na prezent dla grona pedagogicznego z okazji zbliżającego się końca roku szkolnego, termin jakiegoś konkursu recytatorskiego...

— Sporo tego — stwierdziła Ewa i zamknęła notes, do tej pory tak rzadko używany.

— Rzeczywiście — potwierdziła Magdalena. — Ale spokojnie, dasz radę. Mówiłaś, że Jacek już wrócił.

— Tak. Pomoże, przynajmniej z wyprowadzaniem psa. Wygląda na to, że przypadli sobie do gustu. I może będzie odbierał Julkę ze szkoły, on wraca z pracy wcześniej niż ja.

— To git. Dzięki raz jeszcze.

To była kolejna cecha Magdy, która uległa zmianie: nie bała się prosić o pomoc i dziękowała za nią, jakby to było coś naturalnego. Dawna Magda miała opory przed przyjmowaniem pomocnej dłoni, krępowało ją to. Czyżby macierzyństwo nauczyło ją również tego, że są w życiu ścieżki, których nie da się przejść w pojedynkę? Cóż, Ewa nie miała o tym pojęcia. Poza zwykłym podziałem obowiązków z mężem, nie znalazła się do tej pory w takim położeniu. I oby nie musiała, zdecydowanie lepiej się czuła, będąc jedyną panią swojego losu.

\*

— To co dziś robimy? — zapytała Julka, odkładając talerz do zlewu.

Podczas gdy były z wizytą w szpitalu, Jacek zabrał Browara na dłuższy spacer i przygotował obiad. Było spaghetti, a jakże — Ewy wcale tym nie zaskoczył.

— Nie wiem. A co byś chciała? — Ewa nie miała żadnego konkretnego planu. Niedzielę zwykle spędzała, pracując, czytając, czasami wybierała się na zakupy, wieczorami biegała, jeśli pogoda na to pozwalała. Nic specjalnego. Liczyła, że jej podopieczna zajmie się rysowaniem, czytaniem, oglądaniem telewizji czy czymkolwiek, co małe dziewczynki lubią robić w wolnym czasie.

— Jedźmy na rynek! — wykrzyknęła Julia.

— Na rynek?! Po co?

— No jak to po co, pospacerować. I na lody.

— Ale czemu na rynek? Nie możemy iść tu, do parku? — Ewie wyprawa do centrum niezbyt się uśmiechała.

— A ja bym pojechał — wtrącił się Jacek. — Kto chce na rynek, ręka w górę. — Podniósł obie ręce, Julia również. — Widzisz, przegłosowane. Szykujcie się.

Ewa, zrezygnowana, poszła poprawić makijaż i przebrać się w wygodniejsze

ciuchy. Nie była na rynku od... chyba od czasu studiów. Później zdarzyło jej się raz czy dwa uczestniczyć w imprezie firmowej w jakimś lokalu położonym przy rynku, ale nie zawracała sobie głowy spacerami. Jak przez mgłę pamiętała krakowskie sukienice, kościół Mariacki i pomnik Mickiewicza — tradycyjne miejsce, w którym umawiała się ze znajomymi. Może rzeczywiście ten powrót do przeszłości nie będzie taki zły? Miła odmiana, zresztą to trochę wstyd mieszkać w Krakowie i choć raz na jakiś czas nie odwiedzić starówki.

Pojechali tramwajem, uznali, że będzie to wygodniejsze niż szukanie miejsca parkingowego w okolicach rynku. Ewa w zasadzie nie znosiła komunikacji miejskiej: tłum ją przytłaczał, brudne siedzenia brzydziły, hałas i szarpanie przy każdym zakręcie powodowały ból głowy. Niemniej Julia była tak podekscytowana, że i jej udzielił się ten entuzjazm. Na szczęście w niedzielne popołudnie tramwaj świecił pustkami, mogli swobodnie usiąść i przyglądać się nielicznym pasażerom. Nawet Browar grzecznie warował przy nodze Jacka. Ewa przysłuchiwała się szepczącej Julce i Jackowi. Wymyślili sobie jakąś nową grę, która polegała na odgadywaniu, kim są wsiadający do wagonu pasażerowie. I tak podróżowali razem z Babą Jagą, Elsą z Krainy Lodu, wilkołakiem i siedmioma elfami.

Wysiedli przy Basztowej i skierowali się do Bramy Floriańskiej. Julia ciągnęła Ewę i Jacka do obrazów, koniecznie chciała je obejrzeć. Mówiła, że zawsze z mamą zatrzymują się przy galerii i wybierają najbrzydszy.

— Moim zdaniem ten koń. Wygląda, jakby się naćpał, no nie?

— Julka! Jak ty się wyrażasz?! — upomniała ją Ewa.

— No ale powiedz, Ewcia, nie wygląda tak? Jacek, co myślisz?

— Rzeczywiście jest jakiś dziwny. Ale ja bym stawiał na te kwiatki, tam, po lewej. Te jaskrawe kolory zupełnie nie pasują, malarz musiał najeść się grzybków.

Chichotali oboje, ale Ewa już ich nie słuchała. Zapatrzyła się, szczególnie jeden pejzaż przyciągnął jej uwagę: polna droga, w oddali jakieś wiejskie gospodarstwo, czyste błękitne niebo. Widziała wyraźnie każde pociągnięcie pędzla, zagłębienie pozostałe po szpachelce, niemal czuła woń terpentyny. Widziała siebie na wakacjach u dziadków, sztalugi rozłożone pod starą jabłonią, rudą kotkę płaczącą się pod jej stopami...

— Idziemy? — głos dziewczynki przywołał ją do rzeczywistości.

— Tak. Prowadź.

Julka twierdziła, że zna kawiarnię, w której podają najlepsze lody na świecie. Pewnie poruszała się wśród tłumu turystów, wybiegała naprzód i zaraz wracała do Ewy i Jacka, w końcu skręciła w którąś z uliczek. Musiała często tutaj bywać z mamą. Po chwili znaleźli się tuż pod szyldem: „Słodki Kącik”. Zajęli stolik na zewnątrz, pod parasolem. Rattanowe meble, ceramiczne donice z kwiatami, świece. Faktycznie było tutaj bardzo przytulnie i cicho, oprócz nich w ogródku siedziało tylko jakieś starsze małżeństwo i dwie młode dziewczyny. Tak blisko rynku, a tak

spokojnie. Widocznie mało osób znało to miejsce, trafić tutaj wcale nie było tak łatwo.

Julia od razu zażyczyła sobie pucharek lodów czekoladowych, Jacek tak samo. Ewa oznajmiła, że weźmie tylko kawę.

— Czemu tylko kawę? — chciała wiedzieć dziewczynka.

— Nie jem czekolady. W ogóle staram się unikać słodczy — odparła Ewa.

— Jak to nie jesz czekolady?! — Julia wykrzyknęła przerażona.

— Po prostu nie jem.

— Ale dlaczego?

— Czekolada jest kaloryczna. Nie po to biegam, żeby później zaprzepaścić cały ten wysiłek, zapychając się czekoladą — wyjaśniła Ewa.

— Oj tam, gdybyś zjadła kilka kosteczek albo gałkę lodów, to nic by ci się nie stało.

— Być może. Ale bez czekolady można się obejść.

— Jej, no można, ale po co? — Julka dalej kręciła głową z politowaniem.

Gdy kelnerka postawiła przed nimi kawę i dwa pucharki ozdobione bitą śmietaną, polewą czekoladową i herbatnikami, Ewa zaczęła odrobinę żałować swojego wyboru. Zarówno Julia, jak i Jacek demonstracyjnie mlaskali, oblizywali łyżeczki i zachwalali niesamowite walory smakowe wyjątkowego deseru. Nawet Browar dostał herbatnika umaczanego w lodach. W końcu nie wytrzymała, wyciągnęła łyżeczkę w kierunku Jackowego pucharka i nabrała odrobinę.

— Spróbowałam. Macie rację, pyszne. Zadowoleni? — warknęła i wróciła do swojej kawy, nie rozumiejąc, dlaczego ta dwójka uśmiecha się do siebie porozumiewawczo.

Po skończonym posiłku zrobili sobie spacer wokół rynku. Ewa początkowo rozglądała się nerwowo za podskakującą wokół Julką, bojąc się, że może stracić ją z oczu w tłumie turystów. Choć, po prawdzie, tych turystów jeszcze wcale nie było tak wielu, szczyt sezonu wakacyjnego był przed nimi. Mniej więcej po kwadransie Julia znudziła się bieganiem, a gdy Jacek kupił jej ogromny, różowy kłębek waty cukrowej, maszerowała spokojnie tuż obok. Teraz Ewa miała czas na to, żeby odetchnąć i trochę się rozejrzeć. Szybko stwierdziła, że krakowski rynek, mimo upływu lat, prezentuje się niemal tak, jak go zapamiętała. Miasto o tej porze tętniło życiem — dzieci tłoczyły się przy pierwszych straganach z pamiątkami, studenci raczyli się piwem w kawiarnianych ogródkach, całe rodziny robiły sobie pamiątkowe zdjęcia na tle kościoła Mariackiego, słychać było terkotanie dorożek i stukot końskich kopyt na nierównym bruku. Mało tego, właśnie rozpoczął się jakiś konkurs muzyczny, „Śpiewaj z nami — młodzieżowy wieczór z piosenką”, jak przeczytała na plakacie. Na środku rynku rozłożono scenę, pod którą już zebrała się spora grupka zainteresowanych. Uczestnicy konkursu, młodzież w wieku czternaście–osiemnaście lat, przypinali do koszulek plakietki ze swoimi

numerami i dreptali w miejscu, walcząc z tremą.

— Chodźmy! Posłuchamy, okej? — Julia złapała Ewę i Jacka za ręce i pociągnęła ich w kierunku tłumu. Najwidoczniej dziewczynka nie potrafiła odpuścić, gdy działo się coś interesującego.

Pierwszy na scenę wyszedł wysoki, chudy chłopak, z zaawansowanym trądzikiem na twarzy. Uśmiechał się nerwowo i drapał po czuprynie, gdy prowadząca zapowiedziała jego piosenkę: „Stevie Wonder — *I Just Called to Say I Love You*”. Nikt nie spodziewał się niczego specjalnego, pod sceną wciąż trwało zamieszanie. I wtedy popłynęły pierwsze dźwięki, chłopak zaczął śpiewać.

Oczy wszystkich natychmiast skupiły się na młodym wokaliście, jego niezbyt atrakcyjny wygląd zszedł na dalszy plan. Brakowało mu doświadczenia, ale miał mocny, zmysłowy głos, który idealnie pasował do melodii i słów piosenki. Ewa poczuła ciarki na plecach. Do tego właśnie utworu pięć lat temu tańczyli z Jackiem pierwszy taniec na swoim weselu. Nie była sentymentalna, ale akurat ten moment na zawsze utkwił jej w pamięci. Nigdy nie zapomni tego uczucia szczęścia i spokoju, gdy wtuliła się w ramiona swojego męża i wirowali niespiesznie, a cały świat jakby przestał istnieć. Byli tylko Ewa i Jacek, Jacek i Ewa. „Teraz i na zawsze”.

Słońce schodziło już coraz niżej, cienie stawały się coraz dłuższe. Popołudniowa, niemal magiczna gra światła sprzyjała nostalgicznemu nastrojowi. Pomiędzy zebranymi przeciskała się dziewczyna z ogromnym, wiklinowym koszem pełnym czerwonych róż. Raz po raz któryś z panów wyciągał portfel i obdarowywał swoją drugą połówkę kwiatem, który okazywał się idealnym dopełnieniem romantycznej atmosfery, o czym świadczyły wymieniane pocałunki i uściski.

Ewa popatrzyła tęsknie na swojego męża, ale nie napotkała jego spojrzenia. Jacek całą swoją uwagę koncentrował na psie, znudzonym długim czekaniem w jednym miejscu. Tarmał go za uszy i klepał po grzbiecie, zupełnie nie zważając na pogrążoną we wspomnieniach żonę. Ewa przywołała się do porządku i czym prędzej wyrzuciła tkliwy obrazek ze swojej głowy. Co z tego, że kiedyś było inaczej? Teraz nie miało to żadnego znaczenia.

\*

Ewa szykowała się do pracy. Jak zwykle w poniedziałek miała ochotę pojawić się przed czasem, spokojnie się przygotować i uporządkować niektóre sprawy, tym bardziej że w piątek była nieobecna w biurze. Niestety, dziś musiała odwiedzić Julię do szkoły, a później ją odebrać. Jacek miał tego dnia spotkania z kilkoma klientami w różnych rejonach Krakowa, poza tym musiał się pojawić w firmie i nie było szans, żeby ze wszystkim zdążył. Ogarnięcie siebie i kilkulatki, a następnie odstawienie jej na czas na lekcje i dotarcie do J&S International

traktowała jako wyzwanie. Teraz nakładała na rzęsy drugą warstwę tuszu, gdy rozległo się pukanie do łazienki.

— Ewcia! Mogę? Potrzebuję grzebienia. — Julia weszła, zanim Ewa zdążyła odpowiedzieć, żeby jej nie przeszkadzać. „Będę musiała zacząć zamykać się na zasuwkę”.

Dziewczynka wzięła z półki grzebień, jednak nadal nie wychodziła. Oparła się ramieniem o futrynę drzwi i przyglądała się uważnie Ewie nakładającej makijaż. Ewa próbowała poprawić eyelinerem kreskę na powiece, niestety ręce zaczęły jej drżeć, jak zawsze, gdy ktoś się w nią wpatrywał. Wyjechała poza linię, syknęła zirytowana i sięgnęła po waciki i płyn do demakijażu.

— *Shit!* Co tak patrzysz? — warknęła. — Twoja mama się nie maluje?

— Maluje, ale mniej — odpowiedziała Julia. — Tylko jak nadarza się jakaś okazja. Do czego to jest? — spytała, wyciągając z szuflady konturówkę do ust, a następnie gąbeczkę do nakładania podkładu.

Ewa pobieżnie wyjaśniała, dziwiąc się samej sobie, dlaczego właściwie nie wyrzuciła smarkuli za drzwi. Spóźniła się jak nic. Przed wyjściem zajrzała jeszcze do plecaka dziewczynki, sprawdziła, czy ma wszystkie potrzebne podręczniki, strój na wychowanie fizyczne i kanapkę. Nie chciała mieć problemów z nauczycielką zarzucającą jej nieprzygotowanie. Postawiła sobie za punkt honoru zostać najlepszą ciocią, jaką można być, Julce niczego nie może brakować. „Skoro Magda sama dawała sobie radę i z wychowywaniem dziecka, i z pracą, to i ja przez tydzień jakoś dam radę” — przekonywała samą siebie.

Do szkoły na szczęście dotarły bez problemu, udało im się nawet ominąć korki, bo zmyślnie wybrała okrężną drogę — jak się okazało, o wiele szybszą. Julia powiedziała, że wystarczy, jak Ewa wysadzi ją przed wejściem, nie musi odprowadzać jej do szatni. Ewa zignorowała te słowa; zaparkowała na szkolnym parkingu i zaczęła, aż sylwetka dziewczynki zniknie w drzwiach szkoły. Chciała być pewna, że mała bezpiecznie dotrze na miejsce.

W pracy była równo o 8.00. Gdy tylko przeszła przez bramki, poczuła się jak ryba, która po wyciągnięciu z rzeki na powrót została wrzucona do wody. Z miejsca zapomniała o Magdzie, Julii, Jacku oraz zwierzakach. Po raz pierwszy dotarła do swojego biurka, gdy prawie cały zespół już był obecny i choć wszyscy się jej przyglądali, a kilka osób dodatkowo wyraziło troskę z powodu jej nieobecności, nie czuła się skrępowana. Od razu rzuciła się w wir pracy, była w swoim żywiole. Samopoczucia nie zepsuło jej nawet odkrycie kilku kępek jasnej sierści na czarnych spodniach, które musiała przeoczyć, wychodząc w pośpiechu. Stos sprawozdań i raportów piętrzących się na jej biurku wyjątkowo jej nie przeraził, zabrała się do niego niemal z ulgą — pogrążona w dokumentach nie musiała myśleć o problemach. Podpisywała, odpowiadała na maile, odbierała telefony, faksowała. Do jej biurka co chwila ktoś podchodził, ośmielony tym, że

dziś Ewa porzuciła swój oschły ton, nie próbowała nikogo zabić wzrokiem i cierpliwie odpowiadała na pytania. Mimo nawału zadań i zwykłego poniedziałkowego zamieszania to był całkiem spokojny dzień: jak dotąd nie wypłynęły żadne błędy i skargi od klientów, żaden deadline nie został rażąco przekroczony. Dostała wiadomości zwrotne od osób zaangażowanych w projekt „Albatross”, które w większości zgadzały się z jej propozycją rozdysponowania zagadnień na meeting, co również wpłynęło pozytywnie na jej nastrój. Do godziny 14.00 uporała się z większością tasków niecierpiących zwłoki, dzięki czemu mogła trochę zwolnić i zrobić sobie króciutką przerwę na lunch.

Gdy wracała z kuchni, skręciła w wąski korytarzyk, na którego końcu znajdowało się znieawidzone przez większość miejsce — archiwum. Pracownikom zwykle kojarzyło się ono z pracą fizyczną, układaniem stosów pudeł, mozolnym szukaniem zaginionych dokumentów, czyli niczym przyjemnym. Ewa natomiast czuła się tutaj wyjątkowo dobrze. Pomieszczenie było przestronne, urządzone w bardzo oszczędny sposób: tylko jeden niewielki stół, wysokie szare regały i kartonowe pudła opatrzone naklejkami z opisem zawartości. Panował tu porządek, ład, pudła ułożone były według jasnego systemu, a to sobie bardzo ceniła. Powodem jej dzisiejszej wizyty w archiwum był e-mail otrzymany rano od dziewczyny, która na bieżąco kontaktowała się z zewnętrzną firmą audytową. Znalaziono jakieś rozbieżności pomiędzy podpisami z raportów sprzed dwóch miesięcy a tymi z dziennych checklist. Postanowiła więc sama to sprawdzić. Doskonale wiedziała, że nikt z jej zespołu nie palił się do przeglądania archiwalnych papierów, a jej szło to nad wyraz sprawnie, mogła z zamkniętymi oczami poruszać się między regałami. Poza tym dobrze było choć na chwilę uciec od zgiełku panującego na piętrze, dzięki czemu później łatwiej było zebrać myśli.

Ewa szła wzdłuż pierwszego regału, przesuwając dłonią po grzbietach pudeł i sprawdzając daty na naklejkach. Wyglądało na to, że to, którego szukała, znajdowało się na wyższej półce, tuż nad jej głową. W rogu pomieszczenia stała drabina, Ewa jednak najpierw spróbowała dosięgnąć go bez żadnej pomocy, stając na czubkach palców. Już prawie miała...

— Dziewczyno, chcesz, żeby ci to spadło na głowę? — usłyszała i aż pisnęła ze strachu. Nie wiedziała, że ktoś tutaj jest. Wykładzina skutecznie stłumiła kroki, zresztą takie też było jej zadanie. Ewa odwróciła się gwałtownie i niemal zderzyła ze stojącym tuż za nią Sebastianem. Dzieliło ich tylko kilka centymetrów, które zresztą mężczyzna szybko pokonał. Próbowwała się odsunąć, ale za plecami miała regał — nie było dokąd uciec. Stali chwilę w kompletnej ciszy, napięcie między nimi było wręcz namacalne. Seba podniósł rękę i zaczął sunąć powoli palcem po pudle za jej głową, udając, że czyta opis. Po chwili jego dłoń zeszła na jej kark, wsunął swoje szczupłe palce w jej włosy, a drugą dłoń położył na jej talii. Bawił się włosami, wodził po ramionach, szyi, podbródku... Ewę przeszedł dreszcz. Stała jak



zahipnotyzowana, poddawała się jego pieszczotom, jednocześnie walcząc w środku z głosem, który nakazywał jej natychmiast go odepchnąć, zanim ktokolwiek mógłby ich zobaczyć. Kątem oka zarejestrowała, że zostawił otwarte drzwi, to nie mogło się dobrze skończyć. Sebastian nic sobie z tego nie robił, spokojnie kontynuował, konsekwentnie przybliżając swoją twarz do twarzy Ewy i w końcu delikatnie muskając ustami jej usta. Bawił się, pieścił, napierał mocniej, aby znów zwolnić. Doskonale opanował sztukę rozpalania kobiet do czerwoności, wiedział, jak sprawić, by ogarnięte falą pożądania same błagały o więcej. Ewa przymknęła oczy, delectowała się jego zapachem, dotykiem szorstkiego policzka. Smakował kawą. Chciała mu się poddać, chciała znów poczuć, co to znaczy prawdziwa namiętność, chciała czuć się piękna. Ale gdy sięgnął dłonią w kierunku guzików jej koszuli, w głowie zapaliła jej się lampka. Nie zaprzepaści swojej kariery w tak bezmyślny sposób.

— Nie — powiedziała głośno.

— Nie... nie tutaj i nie teraz czy nie w ogóle? — chciał wiedzieć Sebastian.

— Nie... nie wiem... — odparła, spoglądając mu przez ramię. Mogłaby przysiąc, że ktoś przechodził korytarzem, mignęło jej coś różowego.

— To może inaczej. — Sebastian najwyraźniej nie miał zamiaru odpuścić tak łatwo. — Co powiesz na to, żeby dokończyć nasz mały projekt dotyczący usprawnienia tasku z *record dates*? Na przykład... dziś po pracy?

— Nie mogę. Muszę odebrać dziecko ze szkoły — powiedziała i natychmiast pożałowała, że nie ugryzła się w język. Przecież Seba nic nie wiedział o Julii!

— Dziecko?! — wykrzyknął z przerażeniem i zrobił krok do tyłu. — Masz dziecko?!

— Nie, to nie tak! To córka koleżanki, ona miała wypadek i ja się opiekuję małą, tylko tymczasowo — tłumaczyła pospiesznie.

— Uff, co za ulga. Nie bardzo potrafiłbym wyobrazić sobie ciebie z dzieckiem, nie pasujesz na mamuszkę — stwierdził i się roześmiał.

Cały nastrój prysł jak bańka mydlana. Ewa poczuła złość, która dla niej samej nie do końca była zrozumiała. Przecież nie chciała mieć dzieci, a już na pewno nie teraz. Dlaczego więc uwaga, że nie nadaje się na mamę, tak ją zabolala? Nie skomentowała tego jednak w żaden sposób, przełknęła tę gorzką pigułkę i szybko zmieniła temat. To nie czas i miejsce na takie rozważania.

— Mógłbyś? — wskazała pudło, które od początku było jej celem.

— Jasne. — Sebastian bez większego wysiłku zdjął je z regału i położył na stole. — W takim razie nie przeszkadzam ci już, dokończ to, po co tu przysłaś. *Have a nice afternoon.*

— Dzięki — odpowiedziała zajęta przeglądaniem grubych plików kartek.

Kolega jeszcze odwrócił się w drzwiach i rzucił w jej stronę:

— Zalewska? Wiedz, że mi nie uciekniesz.

Uśmiechnęła się tylko, zwieszając głowę, aby nie widział jej rozpalonych policzków. Ucieknie albo nie ucieknie, ale już tak niewiele brakowało, żeby dała mu się złapać. Wyciągnęła potrzebne checklisty, zamknęła pudełko, poprawiła zwichrzone włosy i nadal drżąc z emocji, również opuściła pomieszczenie. Jak długo tutaj zabawiała? Co najmniej dwadzieścia minut. Teraz będzie musiała się spręzać, żeby móc wyjść przed 17.00 i odebrać Julię ze szkolnej świetlicy.

Wracając do biurka, zerknęła w stronę Tomka i Pauliny, którzy razem pracowali nad analizą dla jednego z ich pierwszych klientów. Paulina miała dziś na sobie obcisłą, różową sukienkę i gdy dostrzegła swoją szefową, posłała jej jeden ze swoich lukrowo-słodkich uśmiechów.

Ewa była prawie stuprocentowo pewna, że to Paulina przechodziła obok archiwum.

\*

Ewa sprzątała w kuchni, Jacek oglądał wiadomości w telewizji, Browar siedział na balkonie i monitorował parking, Hubert słodko spał w swoim drewnianym domku, a Julia w pokoju gościnnym odrabiała lekcje. Ewa uśmiechnęła się na wspomnienie ich drogi powrotnej. Mała lubiła się uczyć i chodzić do szkoły, co do tego nie było wątpliwości. Jednym tchem zrelacjonowała jej wydarzenia całego dnia, a nawet wybrała sobie Ewę na swoją powierniczkę sercowych spraw, oznajmiając zniecka:

— Chłopiec z I b mnie lubi.

— Skąd wiesz?

— Powiedział mi. I zapytał, czy chciałabym siedzieć przy jego stoliku w świetlicy.

— Wow, brzmi poważnie. A ty go lubisz?

— Jak koloruje, to wyjeżdża za linie. Musi się bardziej przyłożyć.

Trudno było z tym dyskutować. Gdy dotarli do mieszkania, Julia skorzystała z telefonu Ewy, zadzwoniła do swojej mamy i powtórzyła jej to samo, słowo w słowo. Opowiadała też o nowej nauczycielce, która zastępowała chorą wychowawczynię, o zadaniu z matmy, z którym świetnie sobie poradziła przy tablicy, o swoich dwóch najbliższych koleżankach. Ewa złapała się na tym, że lubi jej słuchać, była autentycznie ciekawa, jak dziewczynka sobie radzi. Poza tym dziecięca szczerłość i entuzjazm szybko udzielały się słuchaczowi, łatwo było przy tym zapomnieć o wszystkich trudnych sprawach. Na przykład o tym, co dziś wydarzyło się między nią a Sebastianem.

Julia najwyraźniej już się uporała z zadaniami, bo pojawiła się w kuchni z zeszytem pod pachą.

— Ewcia? Sprawdzisz, czy dobrze? — zapytała i wyciągnęła w kierunku

Ewy dłoń z zeszytem w małe, słodkie kociaki.

— Jasne. — Ewa przeszła do salonu, usiadła przy stole, otworzyła zeszyt i od razu się przeraziła.

— Julka! Przecież tego nie da się odczytać! Czemu tak niestarannie piszesz?

— Taką czcionkę sobie wybrałam. — Dziewczynka wzruszyła ramionami.

— Radzę zmienić — powiedziała Ewa i z trudem zaczęła czytać na głos:

— „Napisz zdanie, w którym użyjesz wyrazu z ó”. „Zygmunt miał dwanaście córek: Genowefę, Luizę, Kunegundę, Aldonę, Mariannę, Teresę, Alojzę, Kornelię, Pelagię, Mirosławę, Wiesławę i Konstancję”.

Ewa i przysłuchujący się Jacek wybuchnęli śmiechem. Kreatywności nie można było Julii odmówić.

— Obrotny chłop z tego Zygmunta — wystękał Jacek, trzymając się za brzuch i ocierając łzy. — Serio, podziwiam gościa.

— A ja jego żonę — dodała Ewa. — Ciekawe, jak wygląda po tylu ciążach... — Dawno już tak się nie śmiała.

— A ja nie wiem, co w tym śmiesznego — naburmuszyła się Julia. — Mam zmienić?

— Nie, zostaw. Jest w porządku — odparł Jacek, ciekawy, co na takie zdanie powie jutro nauczycielka. Wykaże się poczuciem humoru czy nie?

Ewa sprawdziła jeszcze kilka innych zdań, tym razem mniej wyszukanych, i oddała zeszyt Julii. Sądziła, że to już koniec, a dziewczynka tak jak poprzedniego dnia weźmie kąpiel i pójdzie spać, ewentualnie jeszcze chwilę poczyta w łóżku. Julka jednak miała inne plany. Wzięła pilota, wyłączyła telewizor i nieznośnym sprzeciwu głosem powiedziała:

— Siadajcie. Będę recytować, muszę poćwiczyć.

— Co recytować? — zainteresował się Jacek.

— Wiersz, *Lalkę* Leśmiana. W czwartek mam konkurs.

Teraz Ewa przypomniała sobie, że rzeczywiście Magda wspominała o jakimś konkursie, nawet zapisała informację w swoim kalendarzu. Zupełnie wyleciało jej to z głowy.

— *Lalkę*? A to dla ciebie, hmm, nie za trudne? — wyraziła swoją wątpliwość, odgrzebując w zakamarkach pamięci listę szkolnych lektur. Motyw śmierci, uprzedmiotowienia, nawiązanie do pradawnych baśni, Boga... kto przy zdrowych zmysłach wybrałby taki wiersz dla siedmiolatki? Sama nie czytała wiele, nie miała rozeznania, ale raczej zasugerowałyby Tuwima, Brzechwę, może Konopnicką.

Julia zignorowała komentarz Ewy. Stała na środku pokoju, podniosła głowę i po chwili pełnej oczekiwania, zaczęła recytować:

— „Jam — lalka. W mych kolczykach szkli się zaświat dżdżysty. / Suknia jawą atlasu ze snem się kojarzy. / Lubię fajans mych oczu i zapach kleisty / Farby,

rumieńcem śmierci młodziącej mat twarzy”.

Ewa nigdy by nie przypuszczała, że w tym chudym, bladym ciałku może się chować tak potężny głos. Julia mówiła głośno i pewnie, wyraźnie wypowiadając każde słowo, w odpowiednich momentach przerywając, by za chwilę zaakcentować istotny fragment. Od czasu do czasu pozwalała sobie na jakiś nieznaczny gest, który dodawał występowi dramatyzmu, nie odwracając przy tym uwagi od właściwego przesłania. Doskonale sobie radziła z udawanym przerażeniem, smutkiem, tragizmem i groteskowością sytuacji tytułowej lalki. Patrzyła gdzieś ponad głowami Ewy i Jacka, wydawała się nieobecna duchem. Na chwilę zniknęły msysie włosy, zniknął szczerbaty uśmiech, patykowate ręce. Przed nimi stała prawdziwa artystka, aktorka o wyjątkowym talencie. Gdy skończyła i z rozmachem się ukloniła, nie potrafili znaleźć właściwych słów, które wyrażałyby, jak ogromne wrażenie na nich zrobiła.

— No i? — zniecierpliwiła się dziewczynka. — Powiedzcie coś!

Jacek pierwszy się otrząsnął i zaczął bić brawo, Ewa zaraz do niego dołączyła. Julia wyglądała na w pełni usatysfakcjonowaną.

— Będziecie, no nie? — upewniła się. Oboje skinęli głowami, choć nie sprawdzili jeszcze gdzie i o której godzinie powinni się stawić. To, że będą kibicowali Julce, rozumiało się samo przez się. Obiecali również, że zrobią mnóstwo zdjęć i jeśli będzie to możliwe, nakręcą filmik. Dziewczynka rozumiała, że jej mama nie będzie mogła jeszcze opuścić szpitala, ale bardzo jej zależało na tym, żeby zobaczyła chociaż zdjęcia z występu.

Gdy Julia znalazła się już w swoim łóżku, Ewa wygooglowała informację o konkursie. Czwartek, 17.00, szkoła Julki. Jak się okazało, to nie był byle jaki konkurs; brali w nim udział uczniowie czterech krakowskich szkół podstawowych, z każdej po sześć osób, po dwie z klas I–III. Na miejscu mieli być obecni reporterzy, wzmianka o konkursie miała się pojawić w kilku krakowskich gazetach — to była wieloletnia tradycja, można powiedzieć, że w ten sposób odkrywano nowe talenty. Fakt, że Julia znalazła się w tym nielicznym gronie reprezentującym jej szkołę, świadczył o ogromnym potencjale, jaki dostrzegła w niej nauczycielka. Ewa nie sądziła, że kiedykolwiek będzie jej tak zależało na powodzeniu jakiegoś dziecka. Początkowo zakładała, że po prostu spełni swój obowiązek wobec dawnej koleżanki, zapewniając jej córce przez tydzień dach nad głową, prowiant i odwożąc ją do szkoły. To i tak było aż nadto, zważając na jej napięty grafik. A tu proszę — gotowa była po raz kolejny wyjść wcześniej z pracy, ryzykując spore zaległości i nieprzychylnie spojrzenia współpracowników. „Świat staje na głowie”.

Wpadła na jeszcze jeden pomysł. Julia niewątpliwie będzie świetna na scenie, ale Ewa chciała, żeby mała dosłownie błyszczała. Z doświadczenia wiedziała, że talent talentem, ale nieodpowiedni wizerunek może znacząco wpłynąć na ocenę jury. Zauważyła, że dziewczynka nie ma w swojej szafie

żadnych szykownych ciuchów, poza jedną wysłużoną czarną spódniczką i bluzką z bufkami, które być może nadałyby się na imieniny jakiejś starszej ciotki, ale na pewno nie na tak prestiżowy konkurs. Ewa w tym momencie przypomniała sobie o zaproszeniu na wesele Joasi, młodszej siostry Jacka, które zbliżało się wielkimi krokami. Było jej to zupełnie nie po drodze, niestety nie miała żadnego wyboru — musi się tam pojawić wraz z mężem, inaczej całkowicie zepsułaby już i tak nie najlepsze stosunki z jego rodziną. Wciąż nie miała odpowiedniej sukienki. A gdyby tak upiec dwie pieczenie na jednym ogniu i poszukać czegoś i dla Julki, i dla siebie? Oby tylko starczyło na to czasu.

\*

— Julia! Zabierz stąd tego gryzonia! — wrzeszczała Ewa, trzymając w dłoniach przegryziony kabel od ładowarki. Hubert, zupełnie tym nieprzejęty, siedział na stole i wpatrywał się w nią swoimi czarnymi, podobnymi do drobnych koralików oczkami. „A przecież prosiłam, żeby zaraz po zabawie zamykać go w klatce” — westchnęła. Kolejna szkoda wyrządzona przez zwierzyńiec.

Wtorek nie zapowiadał się zbyt przyjemnie. Ewa również tego dnia miała odwiedzić Julię do szkoły i wyglądało na to, że się spóźnią. Była już 7.40, a dziewczynka nadal siedziała zamknięta w łazience i odmawiała otworzenia drzwi „dopóki nie skończy”, cokolwiek tam robiła. Dobrze, że Jacek chociaż przejął na siebie obowiązek wyprowadzania Browara, jemu łatwiej było zapanować nad rozpuszczoną bestią. Miał również odebrać Julię po lekcjach, jednak Ewy to nijak nie urządziło. Tak czy inaczej musiała wyjść z pracy wcześniej, bo obiecała, że zajrzą dziś do Magdy, a odwiedziny w szpitalu dozwolone były do godziny 20.00.

Gdy zasoby cierpliwości Ewy były już na wyczerpaniu, Julia wreszcie wyszła z łazienki. Swoim wyglądem omal nie przyprawiła swojej opiekunki o atak serca. Usta miała w kolorze ognistej czerwieni, a niezbyt umiejętnie użyte cienie do powiek sprawiły, że przypominała pandę. I ten zapach — wyglądało na to, że przetestowała większość stojących na półeczce perfum.

— Ładnie? — zapytała. — Chciałam być taka elegancka jak ty. Chłopiec ze świetlicy padnie z wrażenia.

— Nie wątpię... — jęknęła Ewa i bezceremonialnie zaczęła trzeć buzię Julki wacikiem nasączonym w płynie do demakijażu, nie zważając na jej protesty. Później uraczy ją kazaniem na temat korzystania z cudzych rzeczy bez pytania i stosowności mocnego makijażu u małych dziewczynek. Teraz nie było czasu.

Do szkoły zajechały kwadrans po ósmej. Julia, naburmuszona, nie odzywała się przez całą drogę. Ewa uznała, że będzie lepiej, jeśli tym razem odprowadzi ją do klasy i szepnie nauczycielce słówko wyjaśnienia. Okazało się, że niepotrzebnie. Młoda nauczycielka skwitowała jej przeprosiny machnięciem ręki i kazała Julii zająć swoje miejsce. Ewa do raz pierwszy w swoim życiu miała się spóźnić do

pracy. Jechała jak wariatka, próbowała ominąć korki, skracając sobie drogę, i w rezultacie wpakowała się w jeszcze większe bagno — nie wiedziała, że wybrana przez nią ulica jest akurat remontowana. Stojąc podczas zmiany świateł w wahadełku i klnąc jak szewc, zmarnowała kolejny kwadrans. W rezultacie do firmy dotarła tuż po dziewiątej.

W windzie natknęła się na Agnieszkę Okońską, widocznie zdenerwowaną, z którą umówiona była na krótkie spotkanie. Dziewczyna odetchnęła z ulgą, widząc swoją szefową całą i zdrową.

— Jesteś. Czy aktual...

— Tak — przerwała jej Ewa. — Zajrzę do zespołu i zaraz do ciebie dołączę.

Agnieszka miała jej przedstawić wstępny zarys swojego projektu, nad którym pracowała przez ostatnie tygodnie. Podjęła się stworzenia czegoś, co nazwały roboczo *Clients overview* — zestawienia wszystkich klientów serwisowanych przez Team 5, z uwzględnieniem, ile czasu zajmują poszczególne procesy. Obie wierzyły, że pozwoli im to na efektywniejsze rozdzielenie zadań pomiędzy pracowników, pomoże uniknąć nakładania się na siebie deadline'ów, a być może nawet zmniejszy liczbę nadgodzin. Ewa lubiła pracować z Agnieszką. Przypominała jej ją samą, kilka lat temu, gdy zaczynała pracę w J&S International. Agnieszka była również ambitna, dokładna i nie bała się nowych wyzwań. Teraz też nie zawiodła Ewy, kładąc przed nią kartki wypełnione drobiazgowymi tabelami i diagramami.

— Dobra robota — pochwaliła swoją podwładną, a ta pokraśniała z dumy. Usłyszeć komplement od szefowej to nie było co.

Gdy po czterdziestu minutach wróciły na swoje piętro, obie od razu wyczuły, że coś jest nie tak. To nie było zwykłe zamieszanie. Dziś wszyscy uwijali się jak w ukropie, pokrzykując, przerzucając stosy dokumentów i stukając w klawiatury z prędkością światła. Ewa czym prędzej odblokowała swój komputer i otworzyła zespołową skrzynkę mailową. Tak jak przypuszczała, była pełna, a bez przerwy spływały kolejne e-maile. Co roku, na przełomie maja i czerwca, trafiał im się taki dzień, czasami kilka. Że też musiało się to stać właśnie dziś...

— Ewa, *help*... — usłyszała z drugiego rzędu. Było naprawdę źle, skoro Marek odważył się prosić ją o pomoc.

Rzuciła się w wir pracy, odkładając tymczasem mniej naglące sprawy organizacyjne zespołu, przygotowywanie śródrocznych ocen, nawet zapominając na chwilę o zbliżającej się wideokonferencji w sprawie Albatrossa. Pomyślała z przekąsem, że zespół ma szczęście — na ogół liderzy zespołów nie zwracają sobie głowy obsługą klientów, nie potrafią wykonać najbardziej podstawowych czynności. Ona jednak знаła każdy najdrobniejszy szczegół dotyczący nawet najmniej znaczącego klienta. Z zamkniętymi oczami przygotowałyby każdą kalkulację, każdy raport. Po kilku godzinach pracy przyszła jej do głowy pewna

myśl i puknęła się w czoło, że nie wpadła na to wcześniej: da się wykazać Paulinie. W tej chwili każda para rąk do pracy była na wagę złota. Nowa pracownica miała szansę pokazać, czego się nauczyła w ciągu ostatnich dni. Ewa rozejrzała się, jednak nigdzie nie dostrzegła idealnie ułożonych blond włosów. Uruchomiła komunikator i odnalazła ikonkę Tomka.

**Ewa Zalewska:** *Gdzie Paulina?*

**Tomasz Wadecki:** *Na lunchu.*

**Ewa Zalewska:** *Przyprowadź ją.*

**Tomasz Wadecki:** *Ale nie w kuchni... na Lunchu Wysokich.*

**Ewa Zalewska:** ...

Ewie po raz kolejny tego dnia podskoczyło ciśnienie. Lunch Wysokich, nazwany tak skrótowo od „wysokich stanowisk”, był niczym innym jak fundowanym przez firmę raz w miesiącu spotkaniem prezesów, wiceprezesów i menedżerów w jednej z droższych restauracji. Panowały niepisane zasady, że podczas tego lunchu nie rozmawia się na typowe biznesowe tematy, można jednak było przedstawiać swoje luźne pomysły, sugestie, spostrzeżenia na temat atmosfery w zespołach czy podczas firmowych eventów. Czasami zdarzało się, że zapraszano jakiegoś pracownika niższego szczebla, ale nie schodzono poniżej tytułu „senior”. Jakim więc cudem znalazła się tam Paulina Lisiak, świeżutka *new hire*? Ta dziewczyna widocznie wszędzie potrafiła się wcisnąć. Ewa była wściekła. Po pierwsze, sama dostąpiła tego zaszczytu dopiero po dwóch latach pracy i nie potrafiła opanować zazdrości. Po drugie, dlaczego Paulina nie skonsultowała z nią swojej nieobecności? Ten lunch mógł potrwać dobre dwie godziny, a akurat teraz przydałaby się jej pomoc. Kolejny punkt dla Pauliny. Miała wrażenie, że to jakaś śmieszna gra pod tytułem „Sprawdźmy, gdzie przebiega granica cierpliwości szefowej”.

Do 15.00 sytuacja została nieco opanowana, ale i tak nie zapowiadało się na to, żeby ktokolwiek wyszedł z firmy przed 19.00. Nie było szans, żeby Ewa pojechała dziś z Julią do szpitala. Teoretycznie mogła wyjść, przecież to ona była szefową i sama ustalała godziny pracy, ale nie wyobrażała sobie, żeby zostawić zespół na pastwę losu w jeden z najgorętszych dni w roku. Woląca trzymać rękę na pulsie. Była sterem, niezastąpioną częścią teamu i poczuwała się do odpowiedzialności. Poza tym nie zniosłaby tych oskarżających, pełnych zawiści spojrzeń. Z głośnym westchnieniem zablokowała komputer, wzięła komórkę i wyszła na korytarz przy toaletach. Prywatne rozmowy na piętrze były zabronione, a ona zawsze ściśle trzymała się regulaminu.

— Jacek? — odezwała się, gdy jej mąż odebrał po czwartym sygnale. — Nie przeszkadzam?

— Nie, właśnie jem kanapkę. — Rzeczywiście, słychać było odgłosy przeżuwania. — Co jest?

— Nie dam rady dziś wyjść wcześniej. Urwanie głowy, mówię ci. Dałbyś radę pojechać z Julką do Magdy? Choć na kwadrans, żeby zobaczyła mamę, inaczej żyć nam nie da.

— Chyba nie mam wyboru, co nie? — zaśmiał się.

— No właściwie to nie. Dzięki. — Ewie kamień spadł z serca. — Julka wytłumaczy ci, jak dojechać i trafić na oddział, dobrze się tam orientuje.

— Rozgarnięta smarkata. Sprzedałaby nas wszystkich.

— Co racja, to racja. Muszę kończyć, do zobaczenia wieczorem.

— Trzymaj się.

Wracając do biurka, natknęła się na Paulinę, która szła wyprostowana jak struna, kręcąc zalotnie krągłym tyłeczkiem i uśmiechając się wyniośle. Zaraz zetrze jej z twarzy ten fuksjowy uśmiech. Ewa zatrzymała ją, ale na razie powstrzymała się od komentarzy na temat Lunchu Wysokich.

— Paulina, pozwól ze mną — powiedziała. — Weź swoje rzeczy i usiądź, proszę, tutaj — wskazała wolne biurko tuż obok swojego.

— Dlaczego? Czy coś zrobiłam nie tak? — W głosie Pauliny zabrzmiała nutka niepokoju. Najwyraźniej wyczuwała, że możliwość siedzenia przy szefowej to nie przywilej, ale raczej forma kary.

— Ależ nie, wszystko w porządku. Tyle że mamy dziś nawał pracy, dlatego chciałabym, żebyś sama zajęła się większym klientem, Omegą. Do deadline'u zostało półtorej godziny. Oczywiście zapoznałaś się ze specyfiką tego klienta, tak jak prosiłam, prawda? Masz wydrukowany *job-aid*?

— Tak... — Paulina mimowolnie się skrzywiła.

— Znakomicie. Jeśli coś będzie dla ciebie niejasne, możesz zapytać mnie. Nie Tomka — zakończyła Ewa triumfalnie, pewna, że tym razem dziewczyna nikogo nie zmanipuluje i nie wymiga się od pracy.

\*

Gdy Ewa dotarła do mieszkania, była całkiem wypompowana. Julia już spała, najpewniej z Browarem, bo pies nie wybiegł się z nią przywitać. Jacek leżał na kanapie z laptopem na kolanach. Ewa od razu skierowała się do lodówki i wyciągnęła wino. Lampka lub dwie na rozluźnienie, dzięki temu łatwiej zaśnie. Musi się wyspać, bo nic nie zapowiadało, że jutro będzie luźniej.

— Jak tam? Poradziliście sobie? — zagadała.

— Się wie. Fajna ta Magda, szkoda, że tak wam się kontakt urwał — stwierdził Jacek.

— Szkoda — przyznała. — A w szkole? Wszystko okej?

— A, w szkole było ciekawie. Pytam Julkę, co nauczycielka na to zdanie z Zygmuntem. Zaliczyła. I mówi mi tak: „Ta nowa pani to taka trochę podobna do Ewci. Uduje, że jest zła, często się czepia, ale w sumie to fajna”.



— To nieźle mnie podsumowała — zaśmiała się Ewa. To dziecko miało niesamowity zmysł obserwacji.

Widziała, że Jacek jest czymś zajęty, więc już o nic nie wypytywała. A gdyby tak jeszcze przygotować listę pytań na meeting? Planowała, że jutro tuż po szkole zabierze Julię na zakupy, chciała jej wynagrodzić dzisiejszą nieobecność, poza tym pamiętała o czwartkowym konkursie. Tak, musiała dziś jeszcze wykrzesać choć odrobinę siły i nadrobić wszystkie zaległości. Powstrzymała ziewanie, dołała sobie wina, wyciągnęła z torby służbowego laptopa i usiadła z nim przy stole. Jacek spojrzął na nią spode łba, ale się nie odezwał.

Pracowała do północy, a o piątej rano była już na nogach. Poprosiła Jacka również o odwiezienie dziewczynki do szkoły, dzięki temu sama mogła się pojawić w biurze o ekstremalnie wczesnej porze i dokończyć wklepywanie do Centrum Dowodzenia ocen pracowników. Oczy ją piekły... prawdopodobnie potrzebowała okularów, będzie musiała w końcu zapisać się do okulisty i skorzystać z dofinansowania na szkła oferowanego przez firmę. Kręgosłup również dawał już o sobie znać. Mimo to po popołudniu stwierdziła, że było warto. Do 16.00 wyrobiła się ze wszystkimi bieżącymi sprawami i choć dzień był niewiele mniej pracowity od poprzedniego, ze spokojnym sumieniem mogła wyjść, poinstruowawszy wcześniej Agnieszkę Okońską o konieczności sprawdzenia na koniec dnia wszystkich checklist i sprawozdań. Pojechała po Julię, wyobrażając sobie, jak dziewczynka zareaguje na wieść o niespodziance.

— Dokąd jedziemy? — zapytała Julia, zauważając, że nie kierują się prosto do domu.

— Do galerii. Poszukamy dla ciebie nowej sukienki, w której będziesz mogła jutro wystąpić. Co ty na to?

— Ojej! W dechę! — Dziewczynka piszcziała i podskakiwała na siedzeniu, co tylko utwierdziło Ewę w przekonaniu, że warto było wcześniej się spać. Zajęła wolne miejsce na podziemnym parkingu i udały się w stronę ruchomych schodów.

W pierwszej kolejności poszły coś zjeść. Ewa zamierzała wziąć dla siebie sałatkę z kurczakiem, ale Julka szybko storpedowała jej plany i pociągnęła ją w stronę stoiska z zapiekankami. Po raz kolejny pluła sobie w brodę, że uległa jej zachciankom, nie potrafiła jednak długo się gniewać. Musiała przyznać, że radość dziewczynki sprawiała jej jakąś bliżej nieokreśloną przyjemność.

Szybko się zorientowała, że mają zupełnie inny gust. Julka wzdychała z zachwytem na widok wzorzystych, kolorowych strojów, ale Ewa za każdym razem kręciła przecząco głową. Zależało jej na tym, żeby kupić dziewczynce ciuch dobrej jakości, elegancki, a zarazem uniwersalny. Coś, co będzie mogła założyć więcej niż tylko ten jeden raz, na konkurs. Niestety, okazało się, że — pomijając już różne gusta — znalezienie czegoś odpowiedniego graniczyło z cudem. Julia nie była szczupłą, była po prostu chuda i większość ubrań wisiała na niej bezkształtnie.

Gdy odwiedziły już większość stoisk z odzieżą dziecięcą, a Ewa miała się poddać i oznajmić, że chyba jednak czarna spódniczka będzie musiała posłużyć Julce również jutrzejszego wieczoru, dostrzegły na manekinie TĘ sukienkę. Granatowa w drobne białe kwiatuszki, które z daleka wyglądały jak groszki. Z dekoltem w łódkę, krótkim rękawem i fantazyjną falbanką stanowiła komplet z granatową opaską do włosów. Była bardzo dziewczęca, a jednocześnie wystarczająco elegancka. Czym prędzej weszły do sklepu.

— Przymierz. — Ewa wybrała odpowiedni rozmiar i podała dziewczynce. Sukienka pasowała jak ulał. Julka szczyrzyła zęby, kiwała głową na tak i kręciła się w kółko, patrząc w lustrze, jak falbanka oplata jej kościste kolana. Najchętniej już by tej sukienki nie zdejmowała. Udały się do kasy, nawet nie zwracając uwagi na cenę. Ewa chciała zrobić Juli prezent, cieszyła się, że dzięki niej będzie miała coś ładnego, na co pewnie jej mama nie mogłaby sobie pozwolić. Zdawała sobie sprawę, że wszystkiego kupić się nie da, ale nie miała pomysłu, jak inaczej wynagrodzić dziewczynce ten czas, w którym była nieobecna. I wczorajszego popołudnia, i przez całe siedem lat. Tymczasem szykowałą kolejną niespodziankę.

Poprowadziła Julię do drogerii i lawirowała pomiędzy regałami, udając, że szuka czegoś dla siebie, aż stanęły przed półkami wypełnionymi kosmetykami dla „małych dam”.

— Co byś chciała? — zapytała Ewa i wzięła do ręki różowy flakonik z perfumami. — Mmm, pachnie obłędnie, powąchaj!

Julia była wniebowzięta. Otwierała kolejne testery, wahała, sprawdzała kolory szminek, malując kreski na grzbiecie dłoni. W końcu wybrała bezbarwny błyszczyk, łatwo zmywalny jasnoróżowy lakier do paznokci i perfumy o słodkim, malinowym zapachu. Czym prędzej pomalowała usta błyszcznikiem, mlaskając, robiąc prześmieszne miny i przeglądając się w każdej napotkanej szybie. Ewa również była zadowolona — Julia przestanie podbierać jej kosmetyki, a przy tym nie wystraszy nikogo makijażem czy zapachem nieadekwatnym do swojego wieku.

— Uff, mamy to za sobą. To teraz poszukamy czegoś dla mnie, na wesele. Pomożesz? — zapytała Julii.

— Idziecie na wesele? Jej, jak super! Mama w lecie chodzi na wesela w prawie każdy weekend, dwa razy mnie zabrała. Na weselach jest wdechowo!

Ewa nie podzielała tego zdania, powstrzymała się jednak od komentarza. Nie chciała psuć Julce zabawy.

Zajrzały do dwóch sklepów, w których Ewa dość często robiła zakupy, ale nie znalazły nic godnego uwagi. W trzecim wypatrzyła dwie sukienki — jedna ciemnopopielata, ołówkowa, a druga czarna, o bardzo klasycznym kroju. Mogłaby później zakładać je do pracy. Tym, że czarny kolor może się nie spodobać niektórym gościom, a zwłaszcza teściowej, nie zwracała sobie głowy. Nie wierzyła w przesady. Założyła pierwszą, a wtedy Julia odsunęła zasłonę

przymierzalni.

— I jak? — zapytała.

Julka się skrzywiła.

— Nie podoba mi się — powiedziała wprost.

— Czemu? Jest prosta, do wszystkiego pasuje, ciemna... — Ewa wyliczała zalety.

— No właśnie. Taka nijaka. A ty wyglądasz w niej jak... jak... jak wrona!

Ewa poczuła się dotknięta. Jakim prawem ta smarkula mówi jej, w co ma się ubierać? Czyżby znała się na modzie lepiej od niej?

— W takim razie znajdź mi coś lepszego — rzuciła z ironią, ale dziewczynka potraktowała jej słowa poważnie.

— Rozmiar S, tak? — upewniła się i już jej nie było.

Po chwili wróciła z trzema sukienkami. Pierwszą Ewa odrzuciła od razu — z asymetrycznym dołem, w kolorowe geometryczne wzory, była totalnie nie w jej stylu. Druga, w beżowo-brązowe wzory, nie układała się jej w pasie. Nie robiąc sobie większych nadziei, przymierzyła trzecią, właściwie tylko po to, żeby sprawić Julce przyjemność.

Sukienka była w ciepłym, koralowym odcieniu. Bez rękawów, przed kolano, leżała świetnie. Jej jedyną ozdobą, jedyną ekstrawagancją było efektowne wycięcie na plecach. Ewa nigdy nie miała niczego w takim kolorze i z zaskoczeniem stwierdziła, że chyba jej pasuje. Gdy się przebierała, kilka kosmyków wymknęło się z ciasnego kucyka i opadały jej teraz miękko na ramiona. Zniknął gdzieś wizerunek sztywnej, pedantycznej menedżerki. Nawet zimne, ostre światło jarzeniówek w przymierzalni nie zatarło tego wrażenia: jej blada twarz nieco nabrała kolorów, wyglądała bardziej świeżo, młodo. Spojrzały na siebie z Julią i wymieniły uśmiechy.

— No widzisz? Bierzemy.

\*

Uprasowana sukienka wisiała na wieszaku zahaczonym o drzwi pokoju gościnnego, odpowiednio wysoko, aby rozpędzony Browar jej nie dosięgnął i nie zabrudził. Przy łóżku Julii stały kremowe balerinki, odświeżone wczorajszego wieczoru przez Ewę. Dziewczynka co chwilę podchodziła do sukienki i gładziła dłonią granatowy materiał, wyraźnie nie mogąc się doczekać, aż ją włoży. Cały rano powtarzała cicho słowa wiersza. Nie wiedziała, co to trema — była wyłącznie podekscytowana. Zdawała sobie sprawę, że jest dobra, i zamierzała wykorzystać tę szansę, zabłysnąć, dla mamy, dla cioci i wujka. Myślami była już na scenie szkolnej auli i Ewa zastanawiała się, jak siedmiolatka usiedzi i utrzyma koncentrację na lekcjach.

Plan na dzisiejszy dzień mieli taki: Ewa odwiezie Julię do szkoły. Jacek

wyjdzie wcześniej z ZKG Consulting, odbierze ją o 13.00, zjedzą obiad, pójdą na krótki spacer z psem, Julka się wyszykuje i pojedą na konkurs. Ewa dołączy do nich prosto z pracy. Brzmiało dobrze, nie mogła więc dojść do źródła dziwnego uczucia niepokoju, podobnego do tego przed burzą, choć przecież czyste niebo wcale nie zapowiada deszczu. Tłumaczyła sama sobie, że widocznie udziela jej się zaaferowanie konkursem. Bo cóż mogło się stać?

Pierwszym, najważniejszym punktem tego dnia był Albatross. Ewa szybko uporała się ze sprawami organizacyjnymi swojego zespołu — od przyszłego miesiąca planowano wprowadzić politykę *hot desking*, kolejna nowość i kolejne wyzwanie dla team liderów. Jeszcze nie zdążyła poinformować o tym pracowników, dlatego teraz przygotowała krótką notkę i przesłała do wszystkich ogólny zarys projektu. Przewidywała, że nie będą zachwyceni. Jej zmiana miejsca nie przeszkadzała, nie gromadziła osobistych drobiazgów w miejscu pracy. „Nie to, co one” — pomyślała, spoglądając na zawalone biurka koleżanek. Ciekawe, jak poradzą sobie w sytuacji, gdy będą musiały opuścić swoje gniazdko, a nawet każdego dnia pracować przy innym biurku. „Szykuje się niezły cyrk”.

Ewa odpowiedziała na kilka e-maili i jeszcze raz przejrzała materiały przygotowane na meeting. Dochodziła 10.00, już czas. Udała się do sali konferencyjnej zarezerwowanej na najbliższe trzy godziny. Miała nadzieję, że tyle czasu wystarczy na dokonanie podstawowych ustaleń. Była pierwsza — to dobrze. Wyciągnęła z teczki kartki z agendą, każdą opatrzoną logo Albatrossa, i rozłożyła po jednej przy każdym miejscu wokół długiego stołu. Pozostali zaangażowani w projekt powoli zaczęli się schodzić, nalewali sobie wody z dystrybutora, zajmowali najwygodniejsze miejsca. Byli już obecni wiceprezes Wojciech Miernicki, Aleksandra Borewicz, Mariusz Raczyński, Arkadiusz Lipiec i kilku wybranych przez nich pracowników, których Ewa nie знаła zbyt dobrze, jedynie z widzenia. W trakcie meetingu miał się z nimi połączyć aktualnie przebywający w Londynie Charles Morrow. Wojciech dał Ewie znak, że mogą zaczynać. Wstukała zapisany wcześniej numer, zaczekała na sygnał. Po chwili na ekranie zajmującym prawie całą ścianę ukazały się twarze pięciu przedstawicieli klienta. Obraz i dźwięk nie były zbyt dobrej jakości, ale wystarczające, by swobodnie się porozumiewać. Wiceprezes przedstawił wszystkich zebranych, wyraził nadzieję owocnej współpracy i oddał głos Ewie.

Ewa, choć przemawianie nie było jej mocną stroną, poradziła sobie wyciszenie. Doskonale posługiwała się językiem angielskim, była opanowana, a co najważniejsze — dobrze przygotowana. Omówiła zmiany w systemie informatycznym, niezbędne, aby praca z danymi klienta przebiegała bez zarzutu — na tyle, na ile mogła przed uzyskaniem szczegółowych informacji i wizytą w Dublinie. Zaproponowała, jak ma wyglądać transfer danych. Wymieniła działy, które w jej mniemaniu powinny jako pierwsze rozpocząć proces przejęcia. Po kolei

prosiła kolegów o przedstawienie swoich wniosków, nad którymi pracowali w ostatnich dniach. Arkadiusz wyłożył krótko, jak widzi współpracę z Departamentem Sprawozdawczości Finansowej, kluczową jednostką firmy. Aleksandra Borewicz zajęła się sporządzeniem analizy porównawczej. Ponieważ wyłapano pewne nieścisłości, wszyscy byli zgodni, że najlepszym pomysłem będzie zastosowanie strategii *parallel run* — stopniowego wprowadzania nowych zadań, polegającą na tym, że specjaliści ze strony klienta równoległe będą wykonywali swoją pracę aż do momentu, gdy kolejne działy firmy zaczną radzić sobie bez zarzutu. Na koniec wspólnie wyznaczyli osoby odpowiedzialne za przygotowanie szkolenia on-line dla całego personelu, który powinien się zapoznać ze specyfiką pracy i polityką prywatności Albatrossa. Zarówno Ewa, jak i przedstawiciele klienta mieli kilka pytań, rozgorzała dyskusja, którą przerwało im dopiero pukanie do drzwi — Kasia, recepcjonistka, przypomniała o kończącym się czasie, kolejna grupa czekała już na korytarzu. Ustalili więc pospiesznie datę kolejnego meetingu — za dwa tygodnie — i wstępny termin wylotu do Dublina. Koniec pierwszego etapu.

Gdy połączenie zostało zerwane, wszyscy odetchnęli. Ewa dostrzegła uniesione kciuki Wojtka — mogli być z siebie dumni. Naprawdę sporo udało im się wypracować w ciągu zaledwie trzech godzin, więcej, niż się spodziewała. Nie dało się nie zauważyć, że mężczyźni, z którymi rozmawiali, byli pod wrażeniem ich przygotowania i zaangażowania, to dobrze rokowało. Justyna, dziewczyna polecona przez Aleksandrę, przez cały czas robiła notatki i obiecała jeszcze dziś przesłać je do wszystkich w formie sprawozdania. Ewa cierpiała na lekki ból głowy wywołany napięciem, ale wewnątrz czuła jakąś dziką radość. Da radę, doprowadzi ten projekt do końca, odhaczy kolejny sukces na liście swoich osiągnięć. Choć na świętowanie było jeszcze zdecydowanie za wcześnie, nie pogardziłaby lampką szampana, tak dla uczczenia dobrego początku.

Gdy wracała do swojego biurka, od razu zauważyła poruszenie. Założyła, że powtarza się sytuacja z przedwczoraj, pewnie znów zasypało skrzynkę e-mailową i wszyscy się uwijają, aby nie przekroczyć deadline'ów. Takie w każdym razie było jej życzenie — nic przyjemnego, ale do ogarnięcia. Pomoże, ile tylko będzie mogła, później zapomni o wyrzutach sumienia i wyjdzie z pracy przed 17.00, tak jak obiecała Julii. Odblokowała komputer, jednak okazało się, że to nie to — skrzynka była pusta. Skąd więc ta ogólna nerwowość? Dziwne wrażenie niepokoju, które towarzyszyło jej od samego rana, teraz uderzyło z podwójną siłą, jakby jakaś niewidzialna ręka złapała ją za gardło. Zaczęła obawiać się najgorszego.

Kliknęła ikonkę Commandera, wstukała szybko swój Employee ID, numer z tokena i hasło. Do samego końca miała nadzieję, że program zaraz się załaduje... aż na ekranie pojawił się komunikat, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości:

*PLEASE, TRY AGAIN LATER...*

Ewa ukryła twarz w dłoniach. Ostatni raz widziała coś takiego w pewien piątek, prawie rok temu. Nigdy nie zapomni tej nocy — tak, nocy — kiedy cały zespół został w pracy prawie do samego rana, starając się odtworzyć ręcznie raporty i sprawozdania, które w programie generowało się zaledwie kilkoma kliknięciami. Żeby tylko ta noc wystarczyła... ale nie, wielu z nich pojawiło się w firmie również w sobotę. Oczywiście kalkulując wszystko ręcznie, nie dało się uniknąć błędów, dlatego choć do wtorku Commander odzyskał sprawność, kolejny tydzień był najgorszym koszmarem każdego pracownika. Do tej pory nie знаła dokładnej przyczyny zawieszenia się programu. Błędy, poprawki, wykonywanie po dwa razy tego samego, telefony od niezadowolonych klientów, stres, olbrzymi bałagan i KPI zmieniające barwę z zielonej na czerwoną.

I teraz znów się to działo.

— Ewa. Commander... — usłyszała nad sobą głos Marka. Czym prędzej podniosła głowę, pracownicy nie mogli zobaczyć, że się łamie.

— Wiem. Zaraz wyślę do wszystkich e-maila z instrukcjami — oznajmiła.  
— Na razie róbcie wszystko, co da się zrobić bez konieczności używania Commandera.

Starła się napisać wiadomość, która byłaby jak najbardziej pokrzepiająca: „To tylko chwilowy problem, zaraz na pewno go rozwiążą, skontaktuję się z IT i dam znać”. W ciągu ostatniego roku w J&S International pojawiło się sporo nowych twarzy, oni mogli dać się na to nabrać. Niestety, starzy wyjadacze już dobrze wiedzieli, co prawdopodobnie ich czeka. Panika lub rezygnacja — te dwie reakcje na piętze można było zaobserwować najczęściej.

Ewa nie mogła się dodzwonić do działu IT, a gdy już się dodzwoniła, po drugiej stronie słuchawki usłyszała tylko: *We are working on it*. I pracownik się rozłączył.

— *Shit!* — zaklęła i ze złością uderzyła dłonią w klawiaturę. Dlaczego musiało się to stać akurat dziś? Nagle zadzwonił jej telefon. Spojrzała na wyświetlacz: wiceprezes Miernicki.

— Ewa? Wiesz...?

— Wiem — potwierdziła.

— No, hmm. Nie jest za ciekawie. Pracują nad tym, ale nie zanoszą się, żeby Commander szybko zaczął działać — powiedział Wojciech zupełnie niepasującym do sytuacji spokojnym głosem.

— Masz w takim razie jakąś propozycję, jak dziś poprowadzić biznes? — zapytała Ewa.

— Wiem tyle, że nie powtórzymy akcji z zeszłego roku. To się ciągnęło za wszystkimi jak smród po gaciach, za przeproszeniem. Ludzie powysiadali psychicznie. Kilka osób nam się zwolniło, i to cennych osób. — Zamilkł na chwilę. — Słuchaj, Ewa, zróbmy tak: działajcie, przygotujcie to, co da się zrobić

ręcznie. Wiem, że macie przygotowane makra w razie w, spróbujcie ich użyć. Nie przejmujcie się deadline'ami, to naturalne, że będzie spore opóźnienie. Nie zrobicie raportów zbiorczych na koniec dnia. Wyników finansowych dla wszystkich klas aktywów i analizy porównawczej względem indeksów pewnie też nie. I trudno. To samo przekażę pozostałym zespołom. Do klientów pójdą wiadomości, to sytuacja niezależna od nas. Ryzyko operacyjne.

— Jesteś tego pewny? — Ewa odważyła się zakwestionować decyzję przełożonego. — Już sobie wyobrażam, co się tutaj stanie jutro, jeśli klienci będą bazowali na nieaktualnych danych.

— Lepiej na nieaktualnych niż błędnych. Powtarzam: zróbcie to, co da się zrobić, i nic ponadto. Ewa, żeby było jasne: wypuść dziś swoich pracowników nie później niż o 20.00. To polecenie służbowe.

— Jasne, przyjęłam.

— Dam znać, jeśli coś się zmieni.

Ewa wzięła kilka łyków wody, wezwała do siebie Agnieszkę i zaczęły razem kreślić na kartce ogólny plan na najbliższe godziny. Po lewej stronie wypisywały taski, które mogli wykonać, na środku te, które przynajmniej spróbują, a po prawej te do odpuszczenia. Ostatnia kolumna wyszła niepokojąco długa. Ewa nadal nie mogła pojąć, jak to jest możliwe. Taka firma, gigant pośród firm outsourcingowych, a wystarczy awaria jednego głupiego programu i straty można liczyć w milionach euro. Żadnego planu B. Zwołała szybko całą załogę Teamu 5, wytłumaczyła, kto ma się czym zająć, i zabrali się do pracy.

W pewnym momencie zorientowała się, że od jakiegoś czasu nie widziała Pauliny Lisiak. Gdzie ona znowu się podziała? I to teraz, gdy jej pomoc w ręcznym wklepywaniu danych tak bardzo by się przydała? W ogóle miała wrażenie, że nowa pracownica spędza w firmie zastanawiająco mało czasu. Chociaż Ewa miała co robić, oderwała się od swojego zajęcia i zalogowała do Centrum Dowodzenia sprawdzić godziny pracy Pauliny. Szybko zaznaczyła w kalendarzu aktualny tydzień i kliknęła Enter.

Paulina była dziś nieobecna od godziny 13.00. Wybrała nadgodziny (skąd w ogóle miała tyle nadgodzin?!). Ale nie to było najciekawsze. Nadgodziny w systemie mogła jej zatwierdzić tylko Ewa lub Wojciech. Ewa nie przypominała sobie, żeby podwładna przynosiła jej papierowy wniosek w tej sprawie, a już na pewno, żeby cokolwiek jej zatwierdzała. Stało się jasne: Paulina miała świadomość, że u Ewy nic nie wskóra, więc zwróciła się wyżej, wykorzystując swoje atuty w kontaktach z mężczyznami. A Wojciech skupiony na kuszących krągłościach, z miejsca zapomniał o niepisanej zasadzie niewtrącania się w politykę zarządzania Teamem 5. W Ewie po raz kolejny się zagotowało, była wściekła jak nigdy dotąd. Jej autorytet został podważony, czuła się wręcz ośmieszona, zlekceważona i oszukana. Poza tym znalazła się w sytuacji między

młotem a kowadłem. „Gdyby tylko był to ktoś inny, nie Wojciech...” Nie zostawiłaby na nim suchej nitki. Ale wchodzić w konflikt z własnym szefem, którego w dodatku do tej pory szanowała i z którym miała całkiem dobre stosunki? Unieść się honorem i walczyć, czy... podwinąć ogon i udawać, że nic się nie stało? Zaczęła się obawiać, że grunt może się jej osunąć spod nóg, i to przez pustą, ale przebiegłą i ponętą blondynkę. Oczywiście, zdawała sobie sprawę, że takie sytuacje są w korporacjach na porządku dziennym, nie urodziła się wczoraj. Ile razy widziała, jak faworyzowano lub obsadzano na kierowniczych stanowiskach ludzi, których kompetencje obejmowały jedynie ładny wygląd bądź koleżeńskie stosunki z zarządem... Ale po raz pierwszy zetknęła się z tą niesprawiedliwością w tak bezpośredni sposób.

Jej rozważania przerwało nadejście połączenia — smartfon leżący obok jej dłoni zaczął delikatnie wibrować. Jacek? „*Shit*, która to godzina?!”

— Gdzie jesteś? Czekamy, Julia pyta o ciebie.

Zakryła telefon dłonią i wybiegła na korytarz. Rozejrzała się, czy nie ma nikogo w pobliżu, i dopiero teraz odpowiedziała:

— Jacek, nie dam rady... Program nie działa, mamy tu urwanie głowy.

— Czyli, jeśli dobrze rozumiem, dziś nie powinniśmy na ciebie liczyć.

— Nie mogę, rozumiesz? Nie planowałam tego! Przekaż, proszę, Julce...

— Sama jej przekaż. — Wyczuła w jego głosie chłód. Chwila ciszy i usłyszała głos dziewczynki:

— Ewcia, gdzie jesteś? Zaraz moja kolej! Wiesz, ta Pola, co recytowała przed chwilą, się pomyliła i tak jej było wstyd, że uciekła! A ja się nie pomyłę, powtarzałam tekst z tysiąc razy i znam go na pamięć. A wiesz, że żadna dziewczynka nie ma takiej sukienki? Ola ma zieloną, ze swoimi wyłupiastymi oczami wygląda w niej jak żaba! Kiedy będziesz?

Ewa przygryzła dolną wargę i poczuła niemal fizyczny ból w klatce piersiowej. Tak bardzo chciała zobaczyć Julię na scenie, być przy niej w tym wyjątkowym momencie. Chciała się z nią cieszyć, celebrować zwycięstwo czy choćby wyróżnienie. Była pewna, że Julka powali jury na kolana, była świetna. Wyobraziła sobie dziewczynkę wchodzącą na podwyższenie i szukającą wzrokiem ciotki i wujka na widowni, którzy przecież obiecali swoje wsparcie. Jak jej powiedzieć, że nie...? Zaczęła cicho:

— Julka, kochanie... ciocia ma bardzo dużo pracy...

Julia nie dała jej dokończyć.

— Wiedziałam! Ty zawsze masz bardzo dużo pracy! — I połączenie zostało przerwane.

Ewa wpatrywała się w milczący telefon otępiała i rozbita. Do rzeczywistości przywołał ją głos Marka zaglądnącego na korytarz — najwyraźniej jej szukał:

— Możemy cię prosić? Wygląda na to, że mamy kolejny problem.



„Tak, jakbyśmy wciąż mieli za mało problemów”. Szybko przywołała się do porządku, wzięła głęboki oddech i ruszyła za Markiem.

— O co chodzi? — zapytała, mocno obawiając się odpowiedzi.

— Pamiętasz to makro, które stworzył dla nas Maciek z Teamu 4? Do analizy elementów składowych portfela finansowego klienta? Na podstawie wygenerowanego raportu można było dość łatwo zrobić *stress testing*, wyliczyć wszystkie wskaźniki.

— Jasne, że pamiętam. Dziś mieliśmy z niego skorzystać i wygenerować raporty, zamiast tych zbiorczych z Commandera. Co z tym makrem? — zapytała Ewa, zaniepokojona jego uciekającym wzrokiem.

— Nie działa. Wyskakuje jakiś błąd, nie możemy sobie z nim poradzić.

„To na pewno jakaś głupotka, nieodpowiednie ustawienia, może wystarczy przełączyć język z German na British? Albo jakiś szczegół w formule, przecież makro jeszcze niedawno śmigało aż miło” — Ewa próbowała przekonać samą siebie, podświadomie spodziewając się najgorszego. Podeszła do komputera Marka, wokół którego dumało już kilka osób, i spojrzała na czerwony napis „Error”.

Próbowała wszystkiego, co tylko przyszło jej do głowy. Znała wiele excelowskich trików, niestety nie mogła o sobie powiedzieć, że jest w tym mistrzem. Wciąż „Error”. Po kilkunastu (a może kilkudziesięciu?) próbach wreszcie się poddała i zapytała słabo:

— Gdzie jest Maciek?

— Na plaży w Hiszpanii.

Odpowiedź najmniej pozytywna z możliwych. Skoro twórca makra jest poza zasięgiem, wątpliwe, że ktokolwiek inny je naprawi. Próbowała się dodzwonić do IT, ale i tam nikt nie był w tej chwili osiągalny. Krzysiek, prowadzący szkolenia z Excela i jej ostatnia deska ratunku, akurat przebywał na L4. Musiała to przyznać: sytuacja była beznadziejna.

— Jesteśmy w czarnej dupie — powiedziała na głos. Gdzieniedzie pojawiły się uśmiechy, szefowa rzadko mówiła w ten sposób. Nie dostrzegła ich. W tej chwili przyszło jej do głowy, aby sprawdzić jeszcze jedną rzecz.

Ostatnio dokument edytowała Paulina Lisiak. Dokument główny, *template*. A przecież Ewa prosiła, by na własny użytek zawsze pracować na kopii. Znów Paulina. Znów nieposłuszeństwo, niechlujstwo, niezamierzony błąd, a może i celowy? Trzeba samozaparacia i talentu, aby aż tak namieszać w gotowym pliku. Ewa na pewno tego tak nie zostawi. Tego i działania za jej plecami, nieuczciwych zagrywek, wymigiwania się od pracy. Za punkt honoru postawiła sobie postaranie się o to, aby blondi wyleciała z firmy, zanim narobi więcej szkód. I to z hukiem.

Rozważania, jak pozbyć się kłopotliwej pracownicy, zostawiła sobie na później. Teraz musieli działać, czas mijał.

— Róbcie. Po prostu róbcie, co możecie. Ja biorę Omegę i Siriusa.

Wszyscy się rozeszli, Ewa również wróciła do swojego biurka. Zajęła się ręcznym opracowywaniem raportów dla dwóch większych klientów. Praca żmudna, wymagająca ogromnej dokładności i skupienia. A jej coraz trudniej było zachować trzeźwość umysłu, traciła koncentrację. Nagle pojawił się przed nią kubek parującej, aromatycznej kawy, nie tej zalewajki z firmowej kuchni. Skąd...?

— Chyba ci się przyda. — Za jej krzesłem stał Sebastian z drugim, identycznym kubkiem w dłoni.

— Jak nigdy. Dziękuję — powiedziała. Znów wiedział, jak ją podejść; za taką kawę dałaby się pokroić. Tym razem jednak nie próbował się do niej zbliżyć.

— Lecę do swoich — oznajmił. — Wiesz, jak jest.

— Wiem.

Kopiowała z wczorajszych raportów ISIN-y — dwunastoznakowe kody identyfikacyjne papierów wartościowych — przeskakiwała pomiędzy oknami, sprawdzała opisy, emitentów, *record dates*. Na podstawie wiadomości mailowych odtwarzała transakcje z całego dnia, zmieniała wartości, wyliczała wskaźniki ryzyka. Gdyby tylko to cholerne makro działało! Kilka kliknięć i dostałaby gotowy dokument, w którym wystarczyłoby zmienić parę pól i po prostu go sprawdzić.

Dochodziła godzina 20.00, kolejne osoby porządkowały swoje miejsca pracy i wychodziły, zdając wcześniej swojej szefowej relację z tego, co udało im się zrobić. Ewa zgodnie z obietnicą daną Wojciechowi nie mogła ich zatrzymać. Powiedział, że ma wypuścić zespół, ale nic nie mówił o niej samej. Zamierzała siedzieć tak długo, aż skończy. Nie tylko tych dwóch klientów, wszystkich! Zrobi wszystko ręcznie, choćby miała tu wyzionąć ducha. Na rano klienci dostaną swoje raporty i jutro cały biznes będzie funkcjonował tak, jakby dziś nic się nie wydarzyło. Tym samym po raz kolejny udowodni przełożonemu swoje oddanie firmie. Paulinka, kombinująca tylko, jak zrobić wrażenie i oddelegować na kogoś innego swoją pracę, niech się schowa. Wojciechowi jeszcze będzie wstyd, jeszcze ją przeprosi. Już widziała jego minę, gdy w piątek jej zespół jako jedyny będzie spokojnie pracował, a inne w stanie kompletnego chaosu będą odpierały ataki wściekłych przedstawicieli klientów. „Sama to zrobiłaś?” „Sama. I Albatrossa sama, i oceny, i *hot desking*, i szkolenia, i *client overview*, i...”

Piknął jej smartfon. Dostała ememesa, od Jacka. Cały ekran wypełniało zdjęcie jakiegoś papieru — powiększyła. Dyplom, Julia Stawska, drugie miejsce. No proszę, świetnie! Kolejne piknięcie, jeszcze jedna fotka. Tym razem zrobili sobie selfie, jej mąż i dziewczynka uśmiechnięci od ucha do ucha, nieco zniekształceni przez aparat trzymany w bliskiej odległości. I jeszcze jedno — Julia na scenie. Pięknie wyglądała, sukienka była strzałem w dziesiątkę. „Gratulacje!” — odpisała krótko. Poszła do kuchni po kolejną kawę i wróciła do pracy.

Przy jej miejscu znów pojawił się Seba. W ręce trzymał marynarkę, na

ramieniu zwisała mu torba. Najwyraźniej już zbierał się do wyjścia.

— Jeszcze tutaj? — zagadnął.

— Jeszcze. Skończę.

— Ewa, ty tak serio? Przecież tego nie da się skończyć. Nawet gdyby cały twój zespół pracował, i tak nie skończylibyście tego do rana.

— Założysz się? — odparła przekornie.

Kolega nie potraktował jej słów poważnie.

— Daj spokój. Chodź, pojedziemy gdzieś na drinka. Po takim dniu odrobina alkoholu jest wręcz wskazana — zaproponował.

— Seba, czy ty mnie słuchasz? Nie mogę. Powiedziałam, że chcę to skończyć. — Nie kryła irytacji. Kto jak kto, ale on powinien ją rozumieć, jechali na tym samym wózku.

— Zatem... powodzenia — rzekł z przekąsem i pokręcił z niedowierzaniem głową. Błysk w oku i zaczepny uśmiech, z którym zwykle patrzył na Ewę, gdzieś zniknął. Odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia. Czyżby uważał, że coś z nią nie tak? „Pieprzyć to” — pomyślała. Jutro będzie się jeszcze przed nią czołgał, błagając o pomoc.

Piętro opustoszało, światła zaczęły gasnąć. Ciszę przerywało tylko delikatnie szuranie ekipy sprzątającej — kilka pań dyskretnie przemykało pomiędzy rzędami, opróżniały kosze na śmieci, przecierały ściereczkami odsłonięte fragmenty biurek. Ewa zupełnie ich nie dostrzegała, pochłonięta swoim zajęciem. Nawet nie przeszło jej przez myśl, żeby przerwać, wrócić do domu, choć zrobiła już tak wiele. To było jak nałóg, słodki, wciągający, do którego przecież nikt się nie przyznaje, a jednak zwyczajnie nie może bez tego funkcjonować. „Porażka” — to słowo w ogóle nie występowało w jej słowniku. Dzisiejsza awaria była dla wszystkich tragedią, dla niej kolejną szansą, żeby się wykazać. Skończy to, co zaczęła. I nie popełni przy tym żadnego, najmniejszego nawet błędu.

Kolejna kawa. Zupełnie odechciało jej się spać, za to zaczęła wiercić się nerwowo i coraz trudniej było jej skupić wzrok na przeskakujących liczbach. Serce jej kołatało, dłonie drżały, stukanie w klawiaturę sprawiało coraz więcej kłopotu. Doskonale wiedziała, co jest przyczyną; przesadziła z kofeiną, to nie pierwszy raz. Jakiś czas temu zrezygnowała z napojów energetycznych, ale i samą kawę można przedawkować. Wstała, przeszła się po korytarzu, wzięła kilka głębokich oddechów i wypila duszkiem szklankę wody. Powinno pomóc.

Sprawdziła pocztę, choć o tej porze nie spodziewała się żadnych nowych wiadomości. A tu niespodzianka — jest e-mail. I to od Jacka, zastanawiające. Jej mąż właściwie nigdy nie pisał na jej firmowy adres, poza jednym jedynym razem, gdy rozładował się jej telefon i nie miał innego pomysłu, jak się z nią skontaktować. On też nie śpi? Ciekawa była, co ma jej do przekazania.

**Jacek:** Według *Encyklopedii zdrowia i higieny pracy [ILO 2001]* „*Karoshi*

*nie jest terminem czysto medycznym. To socjomedyczne określenie odnosi się do przypadków zgonów lub poważnych uszczerbków na zdrowiu spowodowanych schorzeniami krążeniowo-sercowymi (jak zawał mięśnia sercowego), których przyczyną jest sprężenie nadciśnienia i miażdżycy z bardzo silnym przeciążeniem pracą”.*

*Powodzenia, J.*

Bardzo śmieszne. Nie odpowiedziała, po prostu nacisnęła Delete.

Pracowała dalej. Kopiowała, przeliczała, przeciągała formuły, drukowała i sprawdzała po raz enty, czy się gdzieś nie pomyliła. Czasami wystarczy jedna głupia literówka, jedna zmieniona cyfra, aby cały wysiłek poszedł na marne. Raz czy dwa zerknęła na zegarek — trzecia nad ranem. Sama nie wiedziała, kiedy głowa opadła jej na oparcie...

\*

Ewę obudziło nieśmiałe postukiwanie w ramię. Z trudem otworzyła oczy, chwilę zajęło jej zorientowanie się, gdzie się znajduje. Mimo zasuniętych rolet dało się zauważyć, że na zewnątrz jest już zupełnie widno. Nad sobą ujrzała pochyloną, zatroskaną twarz pani Zosi.

— Wszystko w porządku? Potrzebuje pani czegoś? — dopytywała.

— Nic mi nie jest, dziękuję. Chyba... chyba po prostu mi się przysnęło — wyjaśniła.

Pani Zosia nadal patrzyła na nią z troską.

— Wie pani, dużo pracy... musiałam dokończyć... — tłumaczyła się speszona Ewa. Czuła się, jak dziecko przyłapanie przez matkę na gorącym uczynku, na czymś, czego nie powinno robić.

Kobieta w końcu się oddaliła i wróciła do swoich obowiązków. Ewa pomyślała, że ma szczęście — sprzątaczką była wyrozumiała i dyskretna. Strach pomyśleć, co by było, gdyby znalazł ją ktoś inny — w dziwacznej pozycji na krześle, nieświeżą, z takim bałaganem na biurku. Plotkom i złośliwym komentarzom nie byłoby końca. Miała dokładnie pół godziny, żeby się doprowadzić do porządku, zanim wszyscy zaczną się schodzić.

Udała się do toalety, przepłukała usta płynem antybakteryjnym i przetrła twarz chusteczkami nawilżanymi. Całe szczęście, że miała w torebce próbkę korektora pod oczy, którego teraz nałożyła grubą warstwę. Zmieniła bluzkę. Niemile doświadczenie z rozlaną kawą nauczyło ją, żeby zawsze trzymać w pracy odzież na zmianę, tak jak robiły to niektóre jej koleżanki. Poprawiła jeszcze fryzurę i pociągnęła usta szminką. Było o niebo lepiej, ale nawet makijaż nie zdołał całkowicie ukryć skutków nieprzespanej nocy. Ewa była po prostu przemęczona. Zacerwienione oczy piekły ją niemiłosiernie. Do tego obolałe nadgarstki, zdrętwiały kark, pulsowanie w skroniach... i jeszcze to ssanie w żołądku. Od ilu

godzin nie miała w ustach niczego poza kawą i wodą? W kuchni, w lodówce znalazła dyżurny jogurt, który pochłonęła kilkoma szybkimi ruchami łyżeczki. Zrobiła sobie herbatę, bo od kawy chwilowo ją odrzucało, i wróciła sprawdzić, jak się sprawy mają.

Sebastian miał rację, skończenie wszystkiego, tym bardziej przez jedną osobę, było niemożliwe. Ale odwaliła lwią część roboty, najważniejsze sprawozdania i raporty pofrunęły do najbardziej znaczących klientów. Spróbowała zalogować się do Commandera i — eureka! — udało się. Dział IT poradził sobie z awarią stosunkowo szybko. To oznaczało, że z wczorajszej katastrofy powinni wyjść niemal bez szwanku.

Zespół powoli zaczynał pracę. Kto się tylko zorientował, że program działa, przekazywał dobre wieści dalej. W przeciwieństwie do innych zespołów, wciąż walczących z ogromnym opóźnieniem, w Teamie 5 panował zwykły gwar, wyglądało na to, że wszyscy mają wyśmienite nastroje — w końcu to już piątek. A Ewa czekała. Na co? Na oklaski? Może nie, ale liczyła na chociaż słowo wdzięczności. „Gdyby nie ja, teraz zapieprzaliby jak bure osły” — myślała. Niestety, nikt nie pofatygował się do jej biurka, nie dostała żadnego e-maila, nawet znaku uniesionego kciuka. Pracownicy przeszli nad tym do porządku dziennego, jakby fakt, że ich szefowa ratuje im tyłki, był czymś oczywistym. Jakby naturalne było to, że Ewa niemal już zamieszkała w biurze i przejmowała na siebie odpowiedzialność nawet za najmniej wdzięczne zadania. Ze złością uświadomiła sobie, że sama ich do tego przyzwyczaiła.

Nagle w jej skrzynce pojawiła się nowa wiadomość, i to od wiceprezesa Miernickiego. Kliknęła i przeczytała:

**Wojciech Miernicki:** *Ewa, podejdź, proszę, do mnie. Teraz.*

Tylko tyle? Cóż, na miejscu się dowie, o co chodzi.

Gdy weszła do pokoju Wojciecha, szybko zrozumiała, że jego pochmurna twarz nie wróży niczego dobrego. Resztki senności natychmiast ją opuściły.

— Ewa. Możesz mi wytłumaczyć, co to jest? — powiedział i rzucił na biurko plik kartek — wydrukowane raporty, nad którymi pracowała całą noc.

— Praca, którą powinien wykonać mój zespół — odpowiedziała spokojnie.

— Czy nie wyraziłem się jasno, że zespół ma opuścić biuro przed 20.00?

— Owszem. Wszyscy wyszli. Zrobiłam to sama.

Warto było, dla tego niedowierzania w jego oczach. Niestety, kolejne słowa wiceprezesa potwierdziły to, co podświadomie już wiedziała — nie będzie pochwał i nagród. Przekroczyła granicę. Zrobiła to, czego nie zrobiłby nikt inny, i tym samym wymknęła mu się spod kontroli. A to mu się nie spodobało.

— Nie zatwierdzę ci tych nadgodzin — oznajmił.

— Nie szkodzi. Twój przełożony, McEvans, mi zatwierdzi. Tak jak ty zatwierdzasz moim pracownikom, nawet te nieistniejące. Nieprawdaż? —

powiedziała bez zająknięcia, patrząc mu prosto w oczy. Poczwała przyływ odwagi, jej wcześniejsze obawy co do potyczki z przełożonym gdzieś się rozplynęły. Nie zrobi jej świństwa, bo jej potrzebuje. Oboje doskonale zdawali sobie sprawę, że tylko ona mogła zagwarantować konwersję Albatrossa bez żadnych potknięć. Nieświadomie sam dał jej oręż do ręki. Właściwie to ona miała go w garści. Poza tym była zmęczona, rozżalona i zła z powodu braku jakiegokolwiek uznania za cały swój trud, co sprzyjało bojowemu nastawieniu.

Teraz swoimi słowami widocznie zbiła go z tropu.

— Ewa, jeśli chodzi ci o Paulinę Lisiak... — zaczął, ale nie dała mu dokończyć.

— Paulina Lisiak wciąż jest na trzymiesięcznym okresie próbnym, tak jak każdy inny *new hire*. I mogę cię zapewnić, że gdy tylko ten okres upłynie, nie zabawi tu ani dnia dłużej. Ciesz się więc nią, póki możesz — powiedziała zdecydowanie i wyszła z pokoju z podniesioną głową.

Uszła kilka kroków, gdy coś sobie przypomniała. Wróciła się i rzuciła przez uchylone drzwi:

— Biorę dziś wolne do końca dnia. Odbieram nadgodziny.

\*

Spała bez przerwy pięć godzin. Padła na łóżko, tak jak stała, zdjąwszy tylko szpilki. Nie obudził jej Browar drapiący drzwi, nie wyrwał ze snu nawet dzwonek telefonu. Jej wycieńczony organizm po prostu odmówił posłuszeństwa, jakby baterie nagle się wyczerpały.

Gdy się w końcu ocknęła, była w o wiele lepszej formie. Wciąż nieco stłamszona i nieświeża, ale przynajmniej ustąpiło to uporczywe pulsowanie w skroniach. Powoli zsunęła się z łóżka, z roztargnieniem poczochnęła po głowie psa domagającego się pieśczo i udała się pod prysznic. Gdy letnia woda spływała jej po plecach, czuła, jak opada z niej napięcie. Ubrała się, a następnie poszła do kuchni i odgrzała sobie obiad — gotowe lasagne kupione w supermarkecie. Po posiłku zajrzała jeszcze do klatki Huberta. Chomik nie raczył się z nią przywitać. Browar już przestępował z nogi na nogę i skamlał pod drzwiami, więc nie ociągała się dłużej, zapięła mu smycz i wyszli na szybki spacer.

Dopiero teraz sprawdziła telefon, siłując się z nieposłusznym zwierzakiem i próbując utrzymać koniec smyczy jedną ręką. Sześć połączeń nieodebranych, cztery wiadomości, w tym jedna od Jacka zaniepokojonego brakiem wieści od niej. Reszta była od Wojciecha i kilku osób z zespołu, najwyraźniej zaskoczonych jej nagłym zniknięciem. Zignorowała je; niech sobie radzą, ona już i tak ułatwiła im robotę. Oddzwoniła tylko do Agnieszki Okońskiej, która uspokoiła Ewę — praca pod kontrolą, Commander działa, żadnych poważnych błędów nie wykryto, wszystkie niejasne *issues* przekierowała do odpowiednich zespołów, zajmie się

sprawdzeniem checklist na koniec dnia. Ewa odetchnęła z ulgą i po powrocie do mieszkania wysłała esemesa do męża:

**Ewa:** *Wszystko okej, jestem w domu. Browar po spacerze. Odbiorę Julkę.*

Zerknęła do kalendarza — Julia miała dziś spotkanie koła przyrodniczego, kończyła za pół godziny. Ewa musiała się pospieszyć. Zapakowała do reklamówki kilka owoców i paczkę kruchych ciasteczek dla Magdaleny. Wiedziała, że dziewczynka w piątki jada w szkolnej stołówce, mogły więc bezpośrednio ze szkoły pojechać do szpitala. Ewa żywiła nadzieję, że zabierając ją do mamy, będzie mogła choć odrobinę ją udobruchać. Bo co do tego, że mała ma do niej żal za nieobecność na konkursie, nie miała żadnych wątpliwości.

Zaparkowała na szkolnym parkingu i czekała. Po pięciu minutach zobaczyła swoją podopieczną wychodzącą razem z grupką innych dziewczynek. Na widok srebrnej toyoty zamiast oczekiwanego opla Julia stanęła jak wryta. Po chwili ruszyła w kierunku samochodu i wsiadła, głośno trzaskając drzwiami i ciskając plecak na siedzenie obok. Usta zacisnęła w wąską kreskę, nie powiedziała ani słowa, nawet nie spojrzała w kierunku ciotki. Ewa stwierdziła, że jest jeszcze gorzej, niż zakładała. Próbowała jakoś zagaić rozmowę:

— Jak tam w szkole? — Nie doczekała się odpowiedzi. — Pojedziemy teraz do twojej mamy, dobrze? — Nadal cisza. — Opowiesz mi, jak było... na konkursie? — W lusterku widziała, że dziewczynka uparcie patrzy w okno.

Poddała się, jechały w zupełnej ciszy. Gdy dotarły na miejsce, Julia jak zwykle wskoczyła na łóżko Magdaleny, wyściskała ją i zaczęła zasypywać informacjami. Magda tuliła córkę, słuchała, śmiała się. Wyglądała coraz lepiej; była uczesana i ubrana w ładną, jasnoniebieską koszulę, zadrapania już niemal zupełnie zniknęły, a siniaki zmieniły barwę z purpurowej na żółtawą, przez co mniej się rzucały w oczy. Przy jej łóżku stał wazonik z bukietem kwiatów, jak można było odczytać na załączonym liściku: „od wiernej klientki”. Ewie rzuciła tylko: „Cześć” i spojrzała na nią spode łba. Ewa, niepewna jak się zachować, przycupnęła na krawędzi szpitalnego krzesła i również słuchała o kolejnych występach, oczekiwaniu na werdykt jury, rozdaniu dyplomów, poczęstunku dla wszystkich uczestników.

— I wiesz, mamuś, wygrała ta Ola w zielonej sukience, co wyglądała jak żaba! — oznajmiła Julia.

— Naprawdę? Była tak dobra? — dopytywała Magda.

— A skąd! Ona jest głupia jak but z lewej nogi. I to bez sznurowadła.

— Julka, jak ty się wyrażasz?!

— Jej no, naprawdę. Wujek Jacek mówi, że wygrała dlatego, że jej tata jest w Radzie Szkoły.

Trudno uwierzyć, że już w tym wieku dzieciaki odczuwały na własnej skórze, co znaczą znajomości i dobre koneksje. Julia mimo wszystko nie wyglądała

na zbytnio przejętą tą jawną niesprawiedliwością, drugie miejsce całkowicie ją satysfakcjonowało. Gdy już zdała mamie szczegółową relację, wyszła na korytarz pobawić się z córką drugiej pacjentki — dziewczynki spotykały się nie pierwszy raz i nawiązała się między nimi nić porozumienia. Magdalena chyba tylko na to czekała, bo gdy zostały same, od razu przystąpiła do ataku:

— Obiecałaś jej — powiedziała z wyrzutem.

Ewa spodziewała się tego. Miała już przygotowaną gotową odpowiedź.

— Wiem. To było niezależne ode mnie, mieliśmy awarię systemu w pracy i raporty dla klientów musiałam dokończyć ręcznie. Nic nie poradzę, że zajęło mi to tyle godzin. Właściwie spędziłam w biurze całą noc.

— Musiałaś czy chciałaś? Serio, Ewka, co by się stało, gdyby klienci raz tych raportów nie dostali?

— Kolejnego dnia bazowaliby na nieaktualnych informacjach i podejmowaliby decyzje inwestycyjne, przez które mogliby sporo stracić — wyjaśniła spokojnie Ewa. — A my mielibyśmy dwa razy więcej pracy, próbując to wszystko naprawić.

— No i? Skoro, tak jak mówisz, awaria systemu była czynnikiem losowym, to wątpię, żebyś ty ponosiła tego konsekwencje. — Magdzie nie mieściło się to w głowie. — Poważnie, bardziej interesuje cię jakiś anonimowy facet, a raczej instytucja i jej miliony, niż dziecko z krwi i kości, które ci zaufało i które cię potrzebuje? Ewa, ona naprawdę liczyła na to, że będziesz z nią na tym konkursie. To było dla niej superważne.

— Magda, wiem. Ale zrozum, ja mam zasady. Nie nawalam w pracy. Dzięki temu zaszłam tam, gdzie jestem teraz, i nie zamierzam tego spieprzyć.

— Okej, niech ci będzie. Ale pamiętaj, że w życiu też można nawalić. — Zamilkła i popatrzyła w okno.

Ewa poczuła się urażona. Na końcu języka miała ripostę, że przecież ona o nic się nie prosiła, że to Magda sama ją w to wszystko wpakowała. Decyzja, żeby nie mieć dzieci, też wynikała między innymi z tego, że nie potrafiłaby pogodzić macierzyństwa z karierą. I tak poza tą jedną awaryjną sytuacją radzili sobie z Jackiem całkiem nieźle. Powstrzymała się jednak od komentarza, nie chciała kłótni z koleżanką. Nie oczekiwała, że Magda zrozumie zasady rządzące korporacją. „Nikt, kto nie spędziłby tam choć kilku miesięcy, nie byłby w stanie zrozumieć”.

Próbując rozładować atmosferę, zmieniła temat:

— Wiadomo już, kiedy cię stąd wypuszczą?

— Prawdopodobnie w niedzielę. W zasadzie czuję się dobrze, tylko ta noga... łatwo nie będzie.

— To znaczy?

— Gips około sześciu tygodni. Poza tym będę musiała jak najwięcej leżeć



z nogą w górze, bo opuszczanie jej i przeciążanie może doprowadzić do opuchlizny. Dostanę kule, kilka razy będę musiała tu przyjechać na kontrolę. Po dziewięciu tygodniach, gdy nastąpi pełen zrost, zacznę rehabilitację. — Magda westchnęła i zaraz uśmiechnęła się dzielnie. — Ale damy radę... Musimy. Dobrze, że Julce już niedługo zaczynają się wakacje, pomoże mi w domu.

— Ja też pomogę — zapewniła ją Ewa. — Gdybyś potrzebowała, żeby gdzieś was podwieźć czy coś kupić, dzwoń.

— Dzięki, doceniam to. Ale myślę, że już nie będę cię tak obciążać, w naszym bloku piętro wyżej mieszka studentka. Już nieraz nam pomagała, Julia czasami nawet u niej nocowała, kiedy ja pracowałam na weselach. Sprawdzona dziewczyna, na pewno chętnie dorobi sobie parę groszy.

— To w takim razie zgódź się chociaż, żeby Browar został u nas, dopóki nie wydobrzejesz. Nie dacie rady z wyprowadzaniem go, a Jacek tak się przywiązał... i ja też. — Nie sądziła, że kiedykolwiek to powie, ale taka była prawda. Ślady łap na podłodze i wszechobecna psia sierść nadal ją irytowały, ale nie potrafiła nie uśmiechnąć się na widok wesołej mordki i merdającego ogona. — *Deal?*

— Zgoda. Tak będzie najlepiej.

Obie starały się nie wracać już do drażliwego tematu konkursu i pracy Ewy, zamiast tego rozmawiały jeszcze kwadrans na neutralne tematy. Tak jak podczas poprzednich wizyt rozmowa toczyła się swobodnie, Ewie dość łatwo przychodziło wyrażanie myśli w towarzystwie pogodnej koleżanki. Opowiedziała jej o poszukiwaniach idealnych sukienek. Jak się okazało, jej wersja mocno się różniła od wersji Julki, dziewczynka uwielbiała koloryzować. Uśmiechnęły się kilka razy, odkrywając dodane przez nią nierzeczywiste szczegóły. Magda poprosiła Ewę jeszcze o przywiezienie ciuchów, w których będzie mogła opuścić szpital, i zrobienie podstawowych zakupów. Choć obie pamiętały o urazie, starały się, aby pożegnanie wypadło równie serdecznie jak zwykle.

Niestety, nie można było tego samego powiedzieć o Julii. Dziewczynka nadal była obrażona na Ewę i uparcie milczała. Nie odpowiadała na żadne pytania, traktowała ją jak powietrze. Mimo uciążliwości tej sytuacji Ewa była pod wrażeniem zawziętości dziecka.

Po powrocie do mieszkania zastały Jacka i Browara rozwalonych na kanapie przed telewizorem. Na stoliku kawowym leżał brudny talerz. Jacek widocznie również odgrzał sobie lasagne. Julia zaraz do niego podbiegła, opowiadała, co w szkole, przekomarzali się razem. Ewa, patrząc na ten obrazek, znów nie mogła się oprzeć wrażeniu, że byłby świetnym ojcem. Pewny siebie, stanowczy, a jednocześnie wyluzowany, skory do zabawy. Ojciec, jakiego każde dziecko chciałoby mieć.

Zrobiła Julii kolację, którą dziewczynka pochłonęła przy stole w salonie, nie zaszczycając Ewy nawet jednym spojrzeniem. Kątem oka zerkała na telewizor —

akurat leciał jakiś film dla młodzieży. Niezbyt przystojny facet ratował śliczną rudą dziewczynę, która w wyniku jakiejś głupiej gry znalazła się w jeziorze i zaczęła tonąć.

— Czemu on ją całuje? — chciała wiedzieć Julia.

— Nie całuje, tylko robi sztuczne oddychanie — wyjaśnił jej Jacek.

— Już wolałabym umrzeć — prychnęła i wstała od stołu. — Idę poczytać — oznajmiła, gwizdnęła na Browara i zniknęła w pokoju gościnnym.

Ewa i Jacek zostali sami, już nie miała jak uciec przed jego oskarżycielskim spojrzeniem. Zaczęła się bronić:

— Nie patrz tak na mnie. Wiem, co chcesz powiedzieć. Naprawdę chciałam przyjechać, ale nie miałam wyjścia. To nie zależało ode mnie, program nie działał...

— Dobrze, Ewa, ale cała noc spędzona w pracy? To jest chore.

— Nic nie poradzę, że tak wygląda organizacja pracy w korporacji.

— Problem nie tkwi w organizacji pracy w korporacji. Wiesz, gdzie tkwi problem? W tobie! Powiedz mi, tylko szczerze: ile osób jeszcze tak się zaharowywało?

Ewa spuściła głowę.

— Nikt. Tylko ja.

Jacek wziął pilota do ręki, wyłączył telewizor, z którego dobiegały rozradowane okrzyki znajomych cudownie ocalonej rudej, i podszedł do Ewy. Złapał ją za ramię, niemal miażdżąc je w silnym uścisku i pociągnął w stronę lustra w korytarzu.

— Popatrz na siebie. Spójrz samej sobie w oczy i powiedz, że było warto.

Ewa się opierała, ale trzymał ją mocno, zmusił, żeby uniosła głowę.

Była blada. Miała zapadnięte policzki, paskudne cienie pod oczami i matowe włosy mimo bajońskich sum, które zostawiała co miesiąc u fryzjera. Nawet mocny makijaż nie potrafił tego ukryć — nie wyglądała zdrowo. I wcale nie czuła się zdrowo, to drzenie rąk, budzenie się w środku nocy, bóle głowy, bóle szyi, problemy z żołądkiem... musiała przyznać, że ten tryb życia powoli ją wykańczał. Stres, nadmiar obowiązków, długie godziny za biurkiem i wpatrywanie się w cyferki skaczące po ekranach dwóch monitorów, nikomu nie wyszłoby to na dobre. Powoli stawała się cieniem dawnej siebie, również ambitnej, ale potrafiącej się cieszyć życiem i znajdować chwilę dla siebie. Kiedy to się stało? Kiedy tak się zatraciła?

Czy było warto? Jeszcze rano, gdy siedziała po drugiej stronie biurka Wojciecha, myślała, że tak. Z pewnością. Teraz nie była tego taka pewna. Gdyby usłyszała choć jedno „dziękuję”, „dobra robota”... Przecież mogła — tak jak wszyscy — opuścić biuro o 20.00, a jednak dobrowolnie została. Ułatwiła pracę swojemu zespołowi i na pewno przysłużyła się klientom, ale nikt tak naprawdę

tego nie zauważył, jutro nikt nie będzie o tym pamiętał. Podświadomie wiedziała to od dawna, ale teraz dotarło do niej z całą mocą: była tylko jedną z tysięcy innych anonimowych pracowniczek, „ludzkich maszyn”, które łatwo można zastąpić i z którymi tak naprawdę nikt się nie liczy. Ci na samym szczycie nawet nie mieli pojęcia o jej istnieniu.

Z drugiej strony był jej mąż. „Teraz i na zawsze”. Prawda, że stosunki między nimi mocno się popsuły, ale martwił się o nią, gdy nie wróciła do domu. I była Julka w granatowej sukience w kwiatuszki, recytująca wiersz, który być może zwiastował początek jej świetlanej przyszłości. Julka, która tak szybko jej zaufała i tak bardzo na nią liczyła. Irytująca, czasami bezczelna i jednocześnie urocza. Była też Magda. Kiedyś najbliższa koleżanka, z którą miała cichą nadzieję odbudować relację. Choć się zarzekała, że żadne towarzystwo nie jest jej do szczęścia potrzebne, teraz na nowo odkryła, że kontakt i rozmowa z inną kobietą sprawiają jej pewną przyjemność.

Zawiodła całą trójkę. Dla kilkudziesięciu excelowskich plików i setek słupków liczb, które teraz nie miały żadnego znaczenia.

Nie było warto.

Z piersi wydobył jej się głęboki szloch, rozplakała się jak mała dziewczynka. Tym, czego w tej chwili najbardziej pragnęła, było silne męskie ramię, na którym mogłaby się wesprzeć i wypłakać wszystkie swoje błędy.

Niestety, Jacek nie miał zamiaru służyć jej ramieniem. Odsunął Ewę, zapukał do pokoju gościnnego i przywołał Browara. Trzaśnięcie drzwi, jedna chwila i męża oraz psa już nie było.

Została sama, rozbita, ze łzami żałośnie skapującymi na podłogę z egzotycznego drewna. „Magda miała cholerną rację: w życiu też można nawalić”.

\*

— Wybaczam ci... pod jednym warunkiem.

Ewa rozejrzała się półprzytomnie. Rolety wciąż były zaciągnięte, w sypialni panował półmrok. Miejsce jej męża było puste, w nogach łóżka siedziała rozczochrana Julia w kolorowej piżamie.

— Która godzina? — zapytała.

— 6.05. Tak jak mówiłam, pod warunkiem...

— Gdzie Jacek?

— Wyszedł przed chwilą z Browarem. Czy ty mnie w ogóle słuchasz?! — Julka straciła cierpliwość.

— Tak, przepraszam cię. — Ewa usiadła. — Kontynuuj.

— Wybaczę ci, ale pod jednym warunkiem. — Zamyśliła się. — Właściwie to dwoma. Zrobisz mi teraz jajecznicę. I kupisz mi zestaw pisaków świecących w ciemności, dwadzieścia cztery kolory.

— Nie ma sprawy.

Gdyby tylko wiedziała, że tyle wystarczy, aby udobruchać Julkę... kupiłaby jej te pisaki już wczoraj. Julia natomiast była zaskoczona, że tak szybko udało jej się uzyskać zgodę, i nie posiadała się z radości. Widocznie Magda rzadko spełniała jej zachcianki.

Ewa udała się do łazienki i ochlapała twarz zimną wodą. Mocno zaczerwienione i opuchnięte powieki świadczyły o nie najlepiej przespanej nocy. I ta mordercza godzina, szósta rano w sobotę... cóż, trudno. Odeśpi innym razem. Zabrała się do przygotowywania jajecznicy, rozbijała jedno jajko po drugim, trzy, cztery, pięć. Wiedziała, że Jacek też jest jej miłośnikiem, liczyła więc, że gdy po powrocie ze spaceru dostanie gotowe śniadanie, i jemu przejdą wszystkie złości. Do tego tosty i herbata. Dla siebie zrobiła tylko tosty, nie byłaby w stanie przełknąć nic więcej.

Rzeczywiście, jej mąż wrócił po dziesięciu minutach i od razu zasiadł do stołu. Nie zaszczyił Ewy ani jednym spojrzeniem, za to wesoło żartował z Julią. Ewa nie mogła tego znieść. Zastukała łyżeczką w szklankę, aby skupić ich uwagę na sobie.

— Przepraszam — powiedziała ze skruchą. — Macie rację, za bardzo dałam się wciągnąć pracy. To już się nie powtórzy, okej?

Oboje kiwnęli głowami.

— Mam... mam taki plan na dziś. Przemyślałam to w nocy, liczę, że mi pomożecie. Jutro Magda wychodzi ze szpitala, chciałabym zrobić jej niespodziankę. Po pierwsze, posprzątać jej mieszkanie. Tam jest niemiłosierny bajzel, okna i podłogi aż się proszą o umycie, a ona z tą nogą przecież nie da rady. I w ogóle chciałabym kupić kilka drobiazgów do mieszkania... Julia, macie wentylator? Taki wiatrak?

— Nie mamy.

— No, to na przykład wentylator chciałabym kupić. Bo się ugotujecie przez wakacje. I może jeszcze firankę do kuchni, tamta jest okropna... to jak, wchodzicie w to? — zapytała i popatrzyła błagalnie.

Jacek znów pokiwał głową i spojrzał na nią nieco przychylniej. Chyba pomysł mu się spodobał.

— Aaaaale będzie jazda! — Dla Julki najwyraźniej porządku i zakupy oznaczały niezłą zabawę.

\*

Najpierw odwiedziły kilka hipermarketów w poszukiwaniu wentylatora. Jak się okazało, był to towar mocno deficytowy — pierwsza fala upałów sprawiła, że spora część krakowian wpadła na pomysł, aby zaopatrzyć się w taki sprzęt. Poszczyściło im się dopiero w trzecim sklepie. Upolowały jeden z dwóch ostatnich

stojących wiatraków. W tym samym miejscu zakupiły śliczną białą firankę i tacę śniadaniową, która na pewno przyda się Magdzie leżącej w łóżku. Kupiły środki czystości i zrobiły spore zapasy artykułów spożywczych — lodówka będzie wypełniona po brzegi, będą miały to z głowy na dłużej. Później pojechały po obiecane pisaki dla Julki i wstąpiły do kwiaciarni po bukiet goździków. Jak twierdziła dziewczynka, to były ulubione kwiaty jej mamy.

Zanim zabrały się do porządków, dochodziło południe. Obie przebrały się w robocze ciuchy — Ewa w starą, obszerną koszulkę Jacka i szorty, które od lat leżały zapomniane na dnie szafy, a Julka w nieco już na nią za krótkie legginsy i top na ramiączkach. Razem pozmywały naczynia, nastawiły pranie, zmieniły pościel. Po jakimś czasie dołączył do nich Jacek i zaoferował pomoc w myciu okien. Ze swoim wzrostem bez trudu mógł wszędzie dosięgnąć, nie potrzebował krzeseł ani drabiny. Ekspresowo uwinął się ze swoim zadaniem i znów zostawił je same, gdyż postanowił zabrać Browara za miasto, gdzie będzie mógł spuścić go ze smyczy i pies nareszcie porządnie się wybiega.

Dziewczyny działały dalej. Julia sama posprzątała swój pokój i wyczyściła klatkę Huberta, który tymczasowo przebywał w pudełku po butach z dziurkami wywierconymi w pokrywie. Następnie ścierała kurze tam, gdzie była w stanie dosięgnąć, Ewa natomiast zajęła się górnymi półkami. Przy okazji stwierdziła, że Magdalena cierpi na okropną przypadłość gromadzenia niepotrzebnych szpargałów. Szafki i szuflady pełne były starych rysunków, paragonów, zużytych baterii, ulotek, zepsutej biżuterii. Gdzieś tam plątały się jakieś rachunki, faktury, wyniki badań lekarskich. „Jak można mieć taki bajzel w dokumentach?” Zebrała wszystko na jedną kupkę, jednak niczego nie wyrzucała — nie miała pojęcia, które z tych papierzysk mogły się okazać potrzebne. Na końcu wyszorowała całą łazienkę, odkurzyła i umyła podłogi. Gdy skończyły, obie były wykończone, a zupełnie mokre ubrania kleiły im się do skóry. Nowo nabyty wentylator przynosił niewielką ulgę, ale trudno było liczyć na cuda — temperatura na zewnątrz dochodziła do trzydziestu pięciu stopni Celsjusza, a w mieszkaniu było co najmniej równie gorąco.

Mogły być z siebie dumne. Wszystkie pomieszczenia lśniły czystością, a Ewa dodatkowo przeprowadziła małe przemeblowanie. Przesunęła nieznacznie stół w kuchni i zmieniła położenie fotela w salonie, dzięki czemu uzyskała więcej miejsca. Miało to jeszcze jedną zaletę: Magda, poruszając się o kulach, nie będzie zawadzała o żadne przeszkody. „Mała zmiana, duży efekt” — pomyślała Ewa z zadowoleniem, układając kwiaty w wazonie. Nie żeby jej się tutaj podobało — mieszkanie nadal było nie w jej stylu, nadal ciasne, nadal urządzone bez jakiegokolwiek pomysłu, zbyt kolorowe. Ale przynajmniej teraz można było przejść, nie potykając się o nic na podłodze. Wyciągnęła z lodówki karton soku i naląła do dwóch szklanek. Schłodzony smakował wyśmienicie.

— I jak? Lepiej to wygląda, prawda? — zagadnęła Julię.

Dziewczynka rozejrzała się i wzruszyła ramionami.

— Tak czysto, że aż głupio — stwierdziła i wypła duszkiem swoją porcję.

— Ale mamie powinno się spodobać.

\*

Gdy Ewa i Julia dotarły do szpitala, Magdalena rozmawiała z jakąś pielęgniarką i podpisywała całą masę dokumentów potrzebnych do wypisu. Dostała zapisane na kartkach zalecenia i plan wizyt kontrolnych, z którymi musiała się zapoznać.

— Ech, gdyby doktor Tomasz tu był... pewnie szybciej by poszło — stwierdziła. — Będziecie musiały chwilę poczekać.

— Nie ma sprawy.

Po półgodzinie była wolna. Julia wręcz promieniała, od samego rana powtarzała w kółko, co będą robić, gdy mama wróci do domu, i nareszcie ten moment nadszedł. Ewa pomogła koleżance spakować jej rzeczy, których trochę się nazbierało przez ponadtygodniowy pobyt w szpitalu. Następnie wyjęła z torby długą, zwiewną sukienkę w kolorze soczystej zieleni — Magda prosiła o jej przywiezienie. Idealny wybór na upalną niedzielę. Ewa, przyzwyczajona do widoku Magdy w szpitalnej koszuli, nie mogła się nadziwić jej przemianie. Sukienka miała mocno wycięty dekolt, który odsłaniał kuszący rowek pomiędzy piersiami w słusznym rozmiarze, poza tym świetnie ukrywała gips. Koleżanka dobrała do niej gruby złoty naszyjnik i bransoletkę. Włosy dziś rozpuściła — długie i naturalnie falowane, w kolorze ciepłego blondu, opadały jej miękko na ramiona. Nie miała makijażu, który maskowałby jej nieregularne rysy, tylko musnęła usta jasnym błyszczkiem. Nie zadała sobie nawet trudu, aby ukryć pamiątki po wypadku, które choć już mniej widoczne, wciąż znaczyły jej jasną skórę. Gdy stanęły obok siebie, Ewa wystrojona w kremową bluzkę i ołówkową spódnicę, jak zwykle w szpilkach i z perfekcyjnym makijażem, poczuła się blado i nijako. Jak to możliwe? Przecież to ona zawsze błyszczała, na studiach Magda w czarnych dżinsach i rozciągniętych podkoszulkach stanowiła jej tło. Była przekonana, że zielona sukienka nie jest markowa, a biżuteria pewnie została kupiona na jakimś bazarku. Mimo to koleżanka nosiła je jak najdroższe klejnoty. Uśmiechała się od ucha do ucha, ani słowem nie wspominając o gipsie czy kulach, które przecież musiały jej przeszkadzać. Pożegnała się serdecznie ze swoją współlokatorką i oznajmiła:

— No to jedziemy. Do Szarlotki.

— Dokąd? — Ewa myślała, że musiała się przesłyszeć. Była pewna, że Magda będzie chciała jak najszybciej znaleźć się we własnym mieszkaniu.

— Nie mów, że nie znasz Szarlotki?! Najlepsza kawa i ciacha pod słońcem! — wykrzyknęła, a Julia kiwała głową, potwierdzając jej słowa. — Mam ogromną ochotę wyjść choć na chwilę między ludzi i zjeść coś pysznego. Zasiedziałam się tu.

Ewa nic nie odpowiedziała na ten argument. Miała czas, nie zamierzała dziś

pracować... właściwie dlaczego by nie wybrać się do kawiarni? Skoro koleżanka właśnie tego chciała... Pomogła Magdzie wygodnie usadowić się w samochodzie, wpisała w nawigację podany przez nią adres i ruszyły w drogę.

Ruch był nieduży, szybko dojechały na miejsce. Szarlotkę łatwo było dostrzec, kolorowy szyld i spora, jasna witryna wyraźnie odcinały się na tle obskurnych, szarych budynków. Jak się okazało, na tyłach kawiarni znajdował się przestronny ogródek połączony ze świetnie wyposażonym placem zabaw. Ewa się nie dziwiła, że gościło tu kilka rodzin z dziećmi, to miejsce było dla nich wprost wymarzone. Zajęły stolik pod parasolem, który gwarantował odrobinę cienia. Magda oparła kule o drewniane ogrodzenie; całkiem nieźle sobie z nimi radziła. Po dwóch minutach zjawił się przy nich młody, przystojny kelner.

— Czy mogę...? — zapytał, przysuwając Magdzie drugie krzesło, na którym mogła położyć swoją nogę. — Wygodnie pani? Czy czegoś jeszcze pani potrzebuje?

— Jest idealnie! — Magda obdarzyła kelnera promiennym uśmiechem. — Jaki z pana dżentelmen, pięknie dziękuję!

Chłopak pokraśniał z dumy. Odebrał ich zamówienie — sok i rurki z kremem dla Julii, latte i ciasto z owocami dla Magdaleny, espresso dla Ewy. Magda i Julia pokręciły głowami z politowaniem — tyle pyszności, a ona nawet nie skosztuje — ale nic nie powiedziały. Gdy kelner wrócił z pełną tacą, na talerzyku Magdy położył dodatkową czekoladkę. Jak to ujął: „Dla cudnej kobiety, aby osłodzić jej przykry proces wracania do zdrowia”. Magda przesłała mu dłonią buziaka, w ogóle nieskrępowana tym, że raz po raz zerka na jej biust. Pół godziny później zastąpił go kolega, który cały czas kręcił się w pobliżu i dopytywał, czy aby na pewno niczego już sobie nie życzą.

Julia szybko rozprawiła się ze swoimi rurkami i pobiegła na plac zabaw — akurat zwolniła się huśtawka. Huśtała się wysoko, być może nawet zbyt wysoko, a jej długie mysie włosy związane w kucyk podskakiwały z każdym wybiciem w górę. Koleżanki popijały kawę niespiesznie, obserwując bawiące się dzieci. W cieniu czuć było przyjemny wiaterek, z wnętrza kawiarni dobiegała muzyka. Spokojne, miłe niedzielne popołudnie. Ewa rzadko spędzała weekendy w ten sposób...

„Właściwie to dlaczego rzadko?” — zastanowiła się chwilę i stwierdziła, że w sumie to jej się podoba. Tak, jak podobał jej się wypad na lody na krakowski rynek, nawet mimo uciążliwości miejskiej komunikacji... choć nie przyznała się do tego ani Jackowi, ani Julce.

Teraz zamierzała skorzystać z okazji, że są same, i zapytać Magdę o kilka rzeczy, które nie dawały jej spokoju. Spędziły już ze sobą trochę czasu i Ewa czuła się przy niej coraz swobodniej, nie bała się już poruszyć tematów, które jeszcze kilka dni temu wydawały jej się zbyt delikatne. Nie potrafiąc znaleźć lepszych



słów, zapytała wprost:

— Magda, wybacz moją bezpośredniość, ale... jak ty to robisz? W szpitalu męska część lekarskiego grona traktowała cię jak jakąś królową. Teraz kolejny kelner ci służy i do ciebie mruga, nie zaprzeczaj, widziałam. A przecież, no... nie jesteś...

— Nie jestem ładna, to chciałaś powiedzieć? I w dodatku połamana! — roześmiała się Magda. — Luz, nie obrażę się. Wiesz, moja babcia kiedyś użyła takiego fajnego porównania: kobiety są jak kwiaty. Mamy namiętnie czerwone róże, drobne stokrotki, wyniosłe irysy, sielskie słoneczniki... każdy kwiat jest zupełnie inny, nie sposób ich porównywać. Kwiaty są z definicji piękne, każdy jeden, bez wyjątku. My też — ja, ty, ta pani przy stoliku po lewej. Możesz mi wierzyć lub nie, ale świadomość tego niezawodnie maskuje wszystkie mankamenty urody. Albo raczej to, co aktualnie uważane jest za mankamenty, bo przecież kanony piękna nieustannie się zmieniają. Ja się wpisuję w barokowy i dobrze mi z tym. — Upiła łyk kawy.

— Ciekawe porównanie... trafne. Mogę w takim razie zadać jeszcze jedno pytanie? — Koleżanka skinęła głową przyzwalająco. — Jesteś sama. Nie spotkałaś nikogo interesującego po...? Jak on miał na imię?

— Philippe. Spotkałam, chyba z tuzin! Przystojni, bogaci, inteligentni, z poczuciem humoru... Można było przebierać.

— I... i co? Z nikim nie zaiskrzyło? — Ewa była autentycznie ciekawa.

— Czasami płomień buchał aż pod samo niebo! — Śmiech. — Ale wiesz, za każdym razem zadawałam sobie pytanie: „Czy z tym facetem mogłabym spędzić resztę życia? Czy chciałabym budzić się obok niego przez następne 30, 40, 50 lat?”. Jeśli odpowiedź brzmiała „nie” lub „nie wiem”, to dawałam sobie spokój, zanim sprawy zaszłyby za daleko. W przeciwnym wypadku mogły wyniknąć z tego jedynie problemy. Rozumiesz, poza własnymi przyjemnościami musiałam też myśleć o Julce.

— Czyli wciąż czekasz na tego jedyne.

— Jak widać. Chociaż... wiesz, mam kogoś na oku... zobaczymy, co z tego wyjdzie. Pamiętasz doktora Michalskiego? — zapytała ściszym głosem.

— Michalskiego?! On jest od ciebie z 15 lat starszy! — wyrwało się Ewie.

— Oj tam. Ale wciąż przystojny. I miły. I potrafi być zabawny. I świetnie dogaduje się z Julką. I...

— Okej, okej, łapię!

— To dopiero początek, ale sama jestem ciekawa, jak się rozwinie.

— Cóż mogę powiedzieć... wiesz, że życzę ci jak najlepiej.

— Wiem. Doceniam to. — Magda położyła Ewie dłoń na ramieniu. Ewę ten serdeczny gest rozczulił i trochę ośmielił. Postanowiła zapytać o coś jeszcze.

— Nie chcę być nachalna... ale jeszcze jedna rzecz nie daje mi spokoju.

— Dawaj!

— Nigdy nie myślałaś, żeby odszukać tego Philippe'a? Wiem, jak było siedem lat temu, ale... zmieniłaś się. Nie wyglądasz już na osobę, która chowa głowę w piasek.

— Potraktuję to jako komplement. — Magda znów się roześmiała. — I tak, masz rację, szukałam go. Nawet wynajęłam detektywa i słono mnie to kosztowało.

— I?

— I ma żonę, dwójkę uroczych chłopców, niezłą pracę i domek na przedmieściach jakiegoś francuskiego miasta, nazwa wyleciała mi z głowy — oznajmiła spokojnie.

— Nieźle się urządził! Co on na to, że ma jeszcze córkę?

— Nic. Nie powiedziałam mu.

— Jak to mu nie powiedziałaś?! — Kolejna rewelacja, która zszokowała Ewę.

— Normalnie, odpuściłam. Ja i Julka świetnie dajemy sobie radę same, nie oczekuję od niego żadnej pomocy. Nie mam też do niego żalu, oboje byliśmy nierozsądnymi dziećmi, które zaszalały... trochę za bardzo. I nic do niego nie czuję.

— To nie moja sprawa... ale nie myślisz, że ma prawo do tego, by wiedzieć? Julia tak samo ma prawo znać ojca.

— Pewnie tak. I gdy Julia podrośnie i zacznie zadawać bardziej dociekliwe pytania, powiem jej. I niech zrobi z tą wiedzą, co będzie chciała. Ale w tej chwili nie sądzę, żeby zrzucanie mu takiej rewelacji na głowę i rozwalanie szczęśliwej rodziny — bo tak może się to skończyć — miało sens. Czasami lepiej zostawić rzeczy takie, jakimi są. Nie wywoływać lawiny.

Ewa wzruszyła ramionami. Nie przekonywało ją takie wyjaśnienie. „Ale to jej życie, jej decyzja”. W tej chwili do Magdy podbiegła córka i coś do niej mówiła, zawzięcie gestykułując. Najprawdopodobniej chodziło jej o panią z małym, białym pieskiem, która właśnie usiadła przy stoliku po przeciwnej stronie ogródka. Rzeczywiście, piesek był uroczy, to on musiał tak zachwycić dziewczynkę. Magdalena nie bez wysiłku podniosła kule i podeszła razem z Julią do eleganckiej właścicielki zwierzaka. Nie minęły dwie minuty, jak dziewczynka ze śmiechem tarmosiła piszczącą, puchatą kulkę, a dwie kobiety rozprawiły wesoło, jakby znały się od lat. Ewa nie mogła pojąć, jak one to robiły, że tak łatwo zjednywały sobie ludzi. Gdy się teraz na nie patrzyło, można było pomyśleć, że to dziecinnie proste — zwyczajnie podejść i zagadać. Jej samej nigdy nie przyszłoby to do głowy. *Small talk* o pogodzie to nie była jej działka, zresztą po co w ogóle miałyby podchodzić do jakiejś obcej osoby? Mimo wszystko nie mogła oprzeć się wrażeniu, że kobiety nieźle się bawią w swoim towarzystwie. Czyżby Magda trafiła na jakąś pokrewną duszę i właśnie zyskała nową przyjaciółkę? Być może.

Ewa nie miała jednak ochoty do nich dołączyć, wolała obserwować i delektować się tą chwilą spokoju. Dokończyła swoją kawę i pozwoliła płynąć myślom swobodnie. Nieoczekiwanie dla samej siebie wróciła do pytania, które Magda tak często sobie stawiała: „Czy z tym facetem mogłabym spędzić resztę życia”? Próbowała sobie wyobrazić, że budzi się obok Sebastiana Ćwikły, że ten przynosi jej śniadanie do łóżka, że robią zakupy w supermarkecie, sprzątają mieszkanie, spędzają razem wieczór przed telewizorem. Zwykła, nudna codzienność. Z zaskoczeniem odkryła, że nie potrafi. Mogła zobaczyć ich razem na koncercie, w restauracji, wyjeżdżających razem w delegację czy podczas namiętnej nocy w hotelowym pokoju. W swoich wyobrażeniach była zawsze wystrojona w dopasowane sukienki, elokwentna, z kieliszkiem drogiego alkoholu w dłoni. A Seba... jak to Seba, przystojny, w świetnie dobranych ciuchach, arogancki. Taki, jakiego знаła. To przychodziło jej bez trudu. Ale żeby zobaczyć ją bez makijażu, przeziębioną, zmęczoną, skuloną na kanapie pod kocem? Albo szorującą na kolanach toaletę? Albo spoconą i z trudem łapiącą oddech po bieganiu za nieposłusznym psem? Starła się z całych sił, ale nijak nie mogła sobie tego wyobrazić, przed oczami pojawiał się jedynie drwiący uśmiešek kolegi. Zamiast tego wyobrażenia uparcie podsuwała jej inny obraz: Jacka bawiącego się i żartującego z Julką. Jacka bez trudu radzącego sobie z Browarem. Jacka, który zawsze ratował ją z opresji, gdy zepsuł jej się samochód, Jacka, który potrafił naprawić niemal każdą rzecz w mieszkaniu, który był jej oparciem, gdy brała na siebie za dużo...

— Halo, Ziemia do Ewy! — usłyszała i natychmiast się ocknęła. Koleżanka stała tuż przed nią, wspierając się na kulach. — To jak, jedziemy?

— Jasne. Sorry, zamyśliłam się — odparła i zerwała się z krzesła.

— Zostaw, już zapłaciłam — powiedziała Magda, widząc, że Ewa sięga do torebki. — Choć tyle mogę dla ciebie zrobić za całą tę pomoc: postawić ci kawę.

Ewa była ciekawa, jak koleżanka zareaguje, widząc swoje mieszkanie po odświeżeniu i małym liftingu. Julia chyba również, bo gdy jechały windą, uparła się, żeby zasłonić мамie oczy i aż podskakiwała z przejęcia, gdy przekraczały próg.

— I jak? I jak? — dopytywała. — Ja pomagałam! — nie omieszkała poinformować. — Mamy wiatrak, widziałaś? I kwiatki kupiłyśmy, te, co lubisz! I sama posprzątałam Hubertowi, stęskniłaś się za Hubertem? A Ewcia zmieniła firankę w kuchni, teraz jest taka biała, i przestawiła fotel, żebyś nie zawadzała, a wujek Jacek umył okna...

Magdalena nie była w stanie nic powiedzieć. Stała jak wryta. Ewa dostrzegła, że niebieskie oczy koleżanki podejrzenie zwilgotniały.

— Ewka... jak tu ładnie. Dziękuję — w końcu wykrztusiła. Oparła jedną z kul o ścianę i wolną ręką przyciągnęła Ewę do siebie, zamykając ją w mocnym

uścisku.

\*

Poniedziałek nie zapowiadał się łatwo. Na ten dzień zaplanowany był kolejny meeting team liderów i Ewa się obawiała, jak będzie wyglądało jej spotkanie z wiceprezesem Miernickim. Zastanawiała się, czy w piątek nieco nie przesadziła, zwracając się do niego w tak zuchwały sposób; bądź co bądź był jej przełożonym, a ich relacja do tej pory opierała się na wzajemnym poszanowaniu. Poza tym miała zamiar rozmówić się z Pauliną Lisiak. Krytyka podwładnych nigdy nie należała do przyjemnych zadań, a akurat ta dziewczyna wydawała się na krytykę wyjątkowo odporna.

Ewa zjawiła się w biurze kwadrans przed ósmą. Biorąc pod uwagę jej niepokój o to, jak miały się sprawy po jej piątkowej nieobecności, a także ogrom czekających ją obowiązków, była to bardzo późna pora. Choć obudziła się tuż po piątej rano, całą siłą woli powstrzymała się, aby nie zerwać się z łóżka i nie wskoczyć w przyszykowany poprzedniego wieczoru kostium. Postanowiła sobie, że skończy z aż tak długim przesiadywaniem w pracy. Nie chciała drażnić Jacka. Będzie się starała wycisnąć maksimum z czasu spędzanego w firmie, ale nie zamierzała już przebywać tam w tak nieludzkich porach.

Gdy tylko się upewniła, że nie nastąpiła żadna katastrofa i w Teamie 5 panuje względny porządek, wezwała do siebie Paulinę. Musiała korzystać z tego, że dziewczyna jest obecna — kto wie, czy przypadkiem nie wymyśliła jakiegoś sprytnego sposobu, aby znów zmyć się z firmy przed czasem. Miała szczęście, Pokój Zwierzeń był wolny. Paulina weszła za Ewą jak zwykle wyprostowana i uśmiechnięta. Sprawiała wrażenie, jakby w ogóle nie zdawała sobie sprawy, po co została tutaj zaproszona.

— Pozwól, że przejdę do sedna. — Ewa postanowiła odpuścić sobie wymyślny wstęp. Nawet się nie siliła na stosowaną zwykle „technikę kanapki”, której uczyli ją na szkoleniu — pochwała, krytyka, pochwała, wspólne szukanie rozwiązania. Paulina działała jej na nerwy i nie było sensu dłużej tego ukrywać. — Po pierwsze, twoje nieobecności. Jeśli chcesz wyjść z pracy wcześniej, to jedyną osobą, do której masz się zwracać o pozwolenie, jestem ja. Czy to jasne?

— Ależ tak, oczywiście! — Paulina, wciąż uśmiechnięta, kiwała głową.

— Jak więc wytłumaczysz nadgodziny, które odebrałaś w czwartek za zgodą Wojciecha?

— Ach, to... — Machnęła lekceważąco ręką, jakby to była drobnostka, o której nie warto wspominać. — Widziałam, że byłaś zajęta, nie chciałam ci przeszkadzać. A gdy byłam na lunchu z Wojtkiem, sam zaoferował, że mogę się do niego zwrócić w razie potrzeby — oznajmiła.

Ewa wzięła głęboki oddech, aby nie stracić panowania nad sobą. Blondi

doskonale wiedziała, co mówić, aby przedstawić się w jak najlepszym świetle. A fakt, że wychodziła na lunch z wiceprezesem i najwyraźniej była z nim na „ty”, mówił sam za siebie.

— Wojciech może podejmować tego typu decyzje jedynie w wypadku mojej dłuższej nieobecności. Nie zarządza bezpośrednio naszym zespołem, nie wie, kto jest odpowiedzialny za poszczególne zadania i kto akurat jest potrzebny. Zgody na opuszczenie miejsca pracy udzielam ja. I mam na myśli również lunche, szkolenia, eventy, calle, meetingi... — Ewa wyliczała wszystkie sytuacje, jakie tylko przychodziły jej do głowy. Spojrzała groźnie na Paulinę, ta jednak zupełnie się tym nie przejęła, a na wzmiankę o lunchu nawet uśmiechnęła się jakby szerzej.

— Oczywiście. Czy coś jeszcze? Rozumiesz, deadline na wysłanie analiz dla klientów instytucjonalnych... — Doskonale udawała przejęcie. Ewa nie dała się nabrać; była przekonana, że ktoś w tej chwili pilnuje prawidłowego transferu plików, najprawdopodobniej Tomek. Już ta kręta czka musiała o to zadbać.

— Na pewno zdążysz. Kolejna sprawa, co do której mam uwagi, to zasady korzystania ze wspólnych plików. Jak wspominałam, pracujemy na kopiach, główne pliki mają zostać nietknięte. Naprawa uszkodzonego makra lub ręczne sporządzanie raportów kosztują nas zbyt dużo czasu...

— Och, tak! Słyszałam, że zostałam w czwartek i sama dokończyłam raporty. Jesteś niesamowita! Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek inny był w stanie tego dokonać! — Paulina z wymanikiurowaną dłonią na piersi odgrywała scenkę bezgranicznego zachwytu i uwielbienia dla szefowej. Wychodziło jej to świetnie.

Ewa znów musiała wziąć głęboki oddech. Nie tak miała wyglądać ta rozmowa. Każdy inny *new hire* w tej chwili okazywałby skruchę, obiecywał poprawę, a nawet prosił o wyznaczenie dodatkowych zadań, które mógłby wykonać w ramach zadośćuczynienia. Ale nie Paulina. Ewa miała jeszcze kilka rzeczy do powiedzenia, lecz zmieniła zdanie. Musi być ostrzejsza i pokazać, kto tu rządzi, inaczej dziewczyna wejdzie jej na głowę. Nie lubiła uciekać się do gróźb, ale wyglądało na to, że nie ma innego wyjścia.

— Chyba się nie zrozumieliśmy. Wciąż jesteś na okresie próbnym. Albo zaczniesz przykładać się do pracy i przestrzegać zasad panujących w zespole, albo będziemy zmuszone niedługo się pożegnać. I gwarantuję, że z moimi rekomendacjami nie znajdziesz kolejnej pracy tak łatwo — powiedziała sucho.

— Rozumiem — odpowiedziała Paulina. Zastanawiające, że uśmiech nadal nie schodził jej z twarzy. — Udana współpraca to podstawa, czyż nie? Chyba obie mamy sporo do stracenia.

Ewa podskoczyła na krześle jak ukłuta szpilką, zaraz jednak się opanowała. Znów punkt dla Pauliny. Nie sądziła, żeby cokolwiek jeszcze trzeba było dodawać, dalsza dyskusja nie miała większego sensu. „Po prostu dowalę jej najgorszymi zadaniami i dopilnuję, żeby wykonała je sama i żeby nie starczyło jej już czasu na

żadne głupie zagrywki”. W tym momencie Ewa postanowiła, że gdy tylko upłyną trzy miesiące od daty zatrudnienia, osobiście wręczy jej wypowiedzenie. Obie wstały, wyszły z salki i wróciły do swoich biur.

Próbowała się skupić na pracy, na autopilocie odpowiadała na e-maile, ale jej myśli wciąż wracały do ostatniego zdania wypowiedzianego przez Paulinę. Czyżby to nie było przywidzenie i dziewczyna rzeczywiście podglądała ją i Sebastiana podczas tej chwili słabości, gdy spotkali się w archiwum? Do niczego innego nie mogła dopasować jej słów. Jeśli to była prawda, to mogła mieć spore kłopoty. Wystarczyłoby rozpuszczenie plotki na piętze, a w jednej chwili straciłby szacunek każdego, z kim miała okazję pracować. Wiedziała, że Paulina jest do tego zdolna. Prestiż Ewy poleci na łeb na szyję... a Sebastian tylko umocni swoją pozycję donżuana, któremu żadna się nie oprze. W każdym razie jemu to nie zaszkodzi. Ewa przeklinała pod nosem tę rażącą niesprawiedliwość — dlaczego mężczyzna, który ma wiele kobiet, budzi podziw, a kobieta, której raz zdarzy się skok w bok, od razu określana jest jako łatwa albo puszczalska? Niby oficjalnie panuje równouprawnienie, a w tej kwestii wciąż królują poglądy jak sprzed wieków. A co, gdyby te plotki jakimś cudem dotarły do jej męża? Do niczego poważniejszego między nią a Sebastianem nie doszło, mimo to nie sądziła, żeby informacja o obściskiwaniu się z kolegą w biurze zachwyciła Jacka. To mógłby być koniec jej i tak sponiewieranego małżeństwa. Będzie musiała mieć oko na Paulinę...

Na meetingu poszło lepiej, niż zakładała. Jej obawy okazały się nieuzasadnione — być może Wojciech zwracał się do niej z pewną rezerwą, niezauważalną dla nikogo poza nią samą, ale poza tym w żaden sposób nie dał poznać, że na ich wzajemne stosunki padł jakiś cień. Ewa skarciła samą siebie, że podejrzewała go o chowanie urazy bądź jakieś nieuczciwe zagrania za jej plecami. To, że na chwilę uległ urokowi Pauliny, było pewne, ale w głębi wciąż pozostał tym samym odpowiedzialnym i godnym zaufania mężczyzną; właściwą osobą na swoim stanowisku. Dyskutowała z nim żywo, przedstawiając swoje uwagi na temat planowanego wprowadzenia polityki *hot desking*. W jej mniemaniu, aby cała operacja się powiodła, przynajmniej po dwie osoby z każdego zespołu powinny uzyskać możliwość pracy zdalnej. Tylko wtedy udostępnienie mniejszej liczby biur niż osób w zespołach miało sens. Niestety, napotkano inną przeszkodę: nie dysponowano aż tak dużymi zasobami laptopów, aby można je było wydać wszystkim pracownikom wykonującym swoje zadania z domu. Do dyskusji włączyło się jeszcze kilka osób, zrobiła się prawdziwa burza mózgów. Ewa była dumna, że jej spostrzeżenia tak rozkręciły spotkanie — zamiast zwykłego, monotonnego odczytywania notatek i statystyk wszyscy przerzucali się pomysłami. Wychodząc z sali konferencyjnej po zakończonym meetingu, zorientowała się, że właściwie tylko jedna osoba nie brała czynnego udziału w rozmowie: Sebastian. Wygłosił na samym początku krótkie podsumowanie pracy swojego zespołu, a później kreślił

jakieś gryzmoły na kartce, nawet nie podnosząc wzroku na Ewę. Wydało jej się to dziwne; przecież to on zawsze pokazywał jej uniesione kciuki, wpatrywał się w nią jak urzeczony, a nawet pozwalał sobie na komentarze, które mogły zabrzmieć dość dwuznacznie. Skąd ta nagła zmiana? Pamiętała, z jaką dezaprobatą odniósł się do jej zamiaru pozostania w czwartek w pracy i samodzielnego dokończenia raportów. Czyżby taką niechęć spowodowały u niego jej determinacja i odmowa wyjścia na drinka? A może żałuje, że sam nie wykrzesał z siebie więcej sił? Jak się dowiedziała, jego zespół był jednym z tych, które najmocniej odczuły skutki awarii Commandera. Postanowiła jednak nie zaprzętać sobie głowy analizą zachowania kolegi. W końcu i tak się przed nią zdradzi, przecież codziennie mają miliony okazji, aby na siebie wpaść i porozmawiać.

Dzień minął Ewie nadzwyczaj szybko i stwierdziła, że — poza rozmową z Pauliną — był całkiem udany. Cały Team 5 zapoznał się z zaproponowanymi przez nią ocenami śródrocznymi zapisanymi w Centrum Dowodzenia i wszyscy bez szemrania klikali Approve. To oznaczało, że miała tydzień czasu w zapasie i mogła spokojnie umawiać się z poszczególnymi osobami na krótkie spotkania w cztery oczy, aby omówić cele na najbliższe sześć miesięcy. W jej kalendarzu w tej chwili nie widniało nic z dopiskiem „Urgent”, no może poza Albatrossem, ale i tu miała sprawy pod kontrolą. Z poczuciem dobrze wykorzystanego czasu wylogowała się, uprzątnęła biurko i opuściła firmę o 18.00.

Jacka i Browara nie było w mieszkaniu. W ogóle jej to nie zaskoczyło, tych dwóch uwielbiało spędzać razem czas, a ładny wieczór sprzyjał długim spacerom. Zrzuciła niewygodne szpilki, koszulę zmieniła na bawełnianą bluzeczkę i przygotowała sobie lekką sałatkę na kolację. Jedząc przy stole w salonie, rozejrzała się po swoim mieszkaniu i wtedy ją to uderzyło.

Jej mieszkanie było puste. Eleganckie, stylowe, drogie, modne... ale puste. Jakby nikt tu nie mieszkał, w każdym razie nie na stałe. Nie było porozrzucanych wszędzie książek i zeszytów, nie było brudnych kubków, nie było bluzy i koszulek na oparciu krzesła — tego wszystkiego, o co wielokrotnie toczyła batalie z Julką. Bezskutecznie, bo dziewczynka każdą jej uwagę zbywała magicznym słówkiem „zaraz”. „Zaraz to taka wielka bakteria” — przypomniała sobie żart męża i mimowolnie się uśmiechnęła. Przed oczami stanęła jej klitka Magdy. Choć dziewczyny nie nocowały w niej od ponad tygodnia, a Ewa przeprowadziła akcję gruntownego sprzątnięcia, to i tak czuło się tam ich obecność. Codziennosc matki i córki została zaklęta w krótkich notatkach przypiętych magnesami do lodówki, w ramach ze zdjęciami, malunkach, zarysowanych śladach psich łap na podłodze, dołku wysiedzianym w starym fotelu, kólkach po herbacie odbitych na stoliku w kuchni. Pęknięte lustro przypominało o wypadku z raketką do badmintonu, plama na dywanie przywoływała pamięć o urodzinowej imprezie w gronie koleżanek, a lampa licząca sobie ponad sto lat była bezcenną pamiątką po prababci,

która nie zdążyła należycie się nacieszyć wnuczką. Każdy sprzęt krył w sobie jakąś historię, był świadkiem niepohamowanego śmiechu, wzruszeń, łez, smutku, bezradności i ponownego podnoszenia się. Miłości.

Ewa poczuła, że musi już, w tej chwili, coś w swoim lokum zmienić, inaczej oszaleje. Wszechobecna biel i szarość, które do tej pory przynosiły jej ukojenie po każdym ciężkim dniu, nagle zaczęły ją przytłaczać. Może więcej kwiatów doniczkowych? Nie miała do nich ręki, ale na pewno istnieją jakieś niewymagające rośliny. A może kupi kilka tych kolorowych, miękkich poduch? Wywoła zdjęcie jakiegoś ładnego widoku z jednego ze wspólnych wyjazdów, gdy jeszcze gdzieś razem z Jackiem wyjeżdżali, i powiesi w antyramie w korytarzu? W pośpiechu, gorączkowo notowała pomysły w swoim notesie. Wybierze się na zakupy, jutro, zaraz po pracy. Jakies dodatki w ciepłych kolorach na pewno sprawią, że wnętrze stanie się bardziej przytulne.

Nagle cisnęła ze złością długopis i ukryła twarz w dłoniach. „Kogo ja próbuję oszukać?” Przecież nie o meble czy dodatki tu chodzi. Wiedziała, że gdy Jacek wróci, nie będą mieli o czym rozmawiać. Każde z nich usiądzie z własnym laptopem i będzie przeglądało portale informacyjne, aż zmęczenie weźmie górę i położą się do łóżka. Osobno, odgradzając się każde swoją kołdrą, uważając, żeby przypadkiem nie dotknąć nawzajem swoich stóp, nie chuchać w szyję. Tak było bezpieczniej — nie zdradzić się, że jednak szkoda tej bliskości, tych zmarnowanych pocałunków, niewykorzystanego przytulania. Przekalkulowała sobie nawet: jeden pocałunek na dzień dobry i dobranoc daje siedemset trzydzieści pocałunków rocznie. Dodajmy do tego te urodzinowe, spontaniczne, czułe, romantyczne... spokojnie można zaokrąglić do tysiąca albo i dwóch. Mimo to Ewa nie przyznałaby się do tych myśli, nie przysunęłaby się do męża — bo co, jeśli ręka nie znajdzie drugiej ręki, napotka tylko zimną ścianę? Czasami łapała się na tym, że najchętniej zamknęłaby się w łazience i przeczekała do rana, byle nie musieć całą noc uciekać i uważać na każdy ruch. Sama dokonała takiego wyboru, sama uciekła, postawiła mur... więc teraz musi konsekwentnie w nim trwać, udawać samowystarczalność. Myślała, że ze wszystkim da sobie radę, ale się myliła — człowiek sam siebie nie przytuli. Z tęsknotą wspomniała ubiegły tydzień. Żarty, śmiech, wspólne sprawdzanie zadań domowych, poranny rozgardiasz. Nawet jeśli Julia już spała, to mogli wymienić między sobą choć kilka słów, zapytać o szkołę, zaplanować wspólnie kolejny dzień. Czuła, że znów coś ich łączy, oboje starali się być mili, jeśli nawet nie dla siebie, to dla dziewczynki — a stąd już niedaleka droga do wzajemnej życzliwości. Gdyby tylko Julia została u nich odrobinę dłużej... I pomyśleć, że z początku jej pojawienie się potraktowała jako ciężar. Dobrze, że wciąż mają Browara, pal łąco podłogę i zadrapania na sofie.

Nie chciała dziś czekać na Jacka, nie zniosłaby tej duszącej ciszy między nimi. Włożyła swój strój do biegania, włączyła ulubioną playlistę na smartfonie



i wyszła. Znów uciekła.

\*

Potrzebowała spaceru. Jak nigdy, miała ochotę zaczerpnąć powietrza, zanim znów usiądzie za biurkiem na minimum dziewięć godzin. Przewracała się z boku na bok od dobrej godziny i właściwie z ulgą przyjęła skamlenie za drzwiami sypialni. Szepnęła do męża przecierającego nieprzytomnie oczy:

— Śpij, ja wyjdę.

Jackowi nie trzeba było powtarzać tego dwa razy. Znów opadł na poduszkę i po chwili dało się słyszeć ciche chrapanie.

Kwadrans później Ewa i Browar przemierzali parkowe alejki. W nocy popadało i teraz, choć słońce przygrzewało coraz mocniej, wciąż trzeba było uważać na spore kałuże. Promienie radośnie odbijały się w kroplach wody, powietrze było rześkie, cisza okazała się kojąca. Spokojny, piękny poranek, dla którego warto wcześniej opuścić łóżko. Ewa się rozejrzała i stwierdziła, że są w parku zupełnie sami — żadnych bawiących się dzieci, żadnych rowerzystów, staruszek karmiących ptaki. Było na to zbyt wcześnie. Przyszedł jej do głowy szalony pomysł — a gdyby tak na chwilę spuścić Browara ze smyczy? Na pewno sprawi mu tym radochę, a gdy porządnie się wybiega, to w ciągu dnia będzie spokojniejszy. Istnieje szansa, że prześpi ich nieobecność i niczego nie zniszczy w mieszkaniu. Podjęła decyzję i odpięła smycz.

Tak jak się spodziewała, Browar wystrzelił jak z procy. Pobiegł do samego końca alejki, wrócił, znów wybiegł naprzód. Ewa znalazła spory patyk i rzuciła daleko, na trawnik. Jacek miał rację, gdy opowiadał jej o niedzielnym wypadzie za miasto — pies uwielbiał aportować. Przynosił patyk do stóp swojej tymczasowej właścicielki i trącając ją nosem, dopominał się, aby nadal rzucała.

— Ostatni raz — powiedziała. — I wracamy, bo się spóźnię.

Rzuciła i wyjęła z kieszeni smartfon, aby sprawdzić, która godzina. Ta chwila nieuwagi wystarczyła, żeby pies zniknął jej z oczu. Była pewna, że pobiegł za niską kępę krzewów po prawej, ale nie mogła go tam wypatrzyć. Zaczęła się nerwowo rozglądać i wołać:

— Browar! Brooowar!

Nic. Przemierzała truchtem ścieżki, zaglądała w każdą dziurę i czuła, że powoli zaczyna ją ogarniać panika. Jak można zgubić psa, i to w dodatku nie jakiegoś yorka, tylko bydlę ważące co najmniej trzydzieści pięć kilogramów? Trzeba mieć wyjątkowego pecha. „A jeśli wybiegł na ulicę?” — zadrżała na samą myśl. Wołała jeszcze głośniej, ile sił w płucach, już niewiele sobie robiąc z tego, że ktoś może ją usłyszeć i pomyśleć, że ma do czynienia z wariatką.

— Brooowar!

— Likier! Liiiikier!

Wtem zza zakrętu wypadła młoda brunetka w krótkich spodenkach i sportowej bluzie, równie zdenerwowana jak Ewa.

— Twój też przypadek? — zapytała i nie czekając na odpowiedź, pobiegła w stronę niewielkiej sadzawki. — Liiikier!

— Też. Brooowar!

Szukały razem, przeczesywały park metr po metrze. Nagle Ewa dostrzegła jakiś ruch w wysokiej trawie za jedną z ławek.

— Tam! — wskazała ręką i obie puściły się biegiem.

Odetchnęły z ulgą: zguby się znalazły. Dwa psy — jeden duży, biszkoptowy, i mniejszy, czarny kundelek — siłowały się, walcząc zawzięcie o patyk. Pomimo różnicy w rozmiarach, walka była dość wyrównana.

— Co jest takiego wyjątkowego w tym kiju? — westchnęła brunetka i wyciągnęła z kieszeni kilka kuleczek psiego przysmaku. — Likier!

Pies natychmiast puścił koniec patyka i podbiegł do niej. Gdy oblizywał dłoń swojej pani, ta wolną ręką szybko zapięła mu smycz. Ewa również skorzystała z chwili spokoju i złapała Browara za obrozę. Nagle nowa znajoma zaczęła się śmiać, aż złapała się za brzuch, i musiała przysiąść na ławce.

— Przepraszam... ale pomyśl sobie, jak to musiało brzmieć... Dwie alkoholiczki o szóstej rano... — Wciąż się śmiejąc, próbowała wyjaśnić Ewie powód swojej wesołości. Wreszcie Ewa załapała; faktycznie imiona ich podopiecznych mogły kogoś rozbawić. Rozluźniła się i również się uśmiechnęła. Przyjrzała się kobiecie i uprzytomniła sobie, że skądś ją zna — „Czy ona przypadkiem nie mieszka w tym samym bloku?”

— Chyba jeszcze nie miałyśmy okazji porozmawiać. Ewa. — Pierwsza wyciągnęła rękę.

— No tak, gdzie moje maniery. Anita. Tak często cię widuję, że mam wrażenie, jakbyśmy się znały od dawna — oznajmiła, wprawiając tym Ewę w osłupienie. To niemożliwe, przecież większość dnia spędza poza domem. Pytanie Anity jeszcze bardziej zbiło ją z tropu:

— W którym zespole pracujesz?

— Jestem liderką Teamu 5 — odparła automatycznie i zrobiło jej się jeszcze bardziej niezręcznie. Czyżby Anita też pracowała w J&S International? Nie wiedziała, co dalej powiedzieć, żeby nie wyjść na totalnie niezorientowaną. Na szczęście nowa koleżanka nie miała problemu ze swobodnym prowadzeniem rozmowy.

— Tak myślałam. Ja jestem w szkoleniach. Prowadziłam soft-skillowe, a niedawno przeszłam do trenowania *new hires*. Biegam po korytarzach i wyłapuję świeżaków, pilnuję, żeby wszystko zaliczyli... za tą twoją Paulinką nieźle się nalatałam, ciężko ją dopaść.

— O, żebyś wiedziała. Paulina potrafi zaleźć za skórę.

Ewa poczuła przyływ sympatii. Nareszcie trafiła na kogoś, kto nie tylko doskonale znał firmę od wewnątrz, lecz także podzielał jej uczucia! Ruszyły powoli w stronę osiedla, a psy krążyły wokół nich, obwąchując się i poszturchując. Rozmawiały głównie o pracy. Dowiedziała się, że Anita pracuje w tej samej firmie od czterech lat i jest bardzo zadowolona ze swojego zajęcia. Ewa nareszcie skojarzyła — Anita Zduńczyk, to nazwisko przewijało się jej gdzieś w kalendarzu szkoleń czy e-mailach przypominających od Training Teamu. Nie zapamiętała jej, bo nigdy nie współpracowały ze sobą bezpośrednio, a menedżerka nie miała ani głowy, ani chęci do zawierania nowych znajomości z osobami, które nie były jej potrzebne. Poza tym Anita sporo podróżowała, była singielką i mieszkała dwa piętra nad Ewą. Ewa również pokrótce opowiedziała jej o sobie oraz streściła okoliczności, w jakich stała się opiekunką Browara. Kobieta była niesamowicie sympatyczna, stale uśmiechnięta i pogawędka z nią wprawiła Ewę w dobry humor.

— Fajnie, że w końcu na siebie wpadłyśmy — stwierdziła Anita, gdy już się żegnały przy windzie. — Nieraz miałam ochotę do ciebie podejść, w końcu jesteśmy sąsiadkami... ale zawsze wydawało mi się, że jesteś zajęta albo dokądś się spieszysz.

— Ja też się cieszę — odpowiedziała szczerze Ewa. Nie skomentowała ostatniej uwagi, za to powzięła postanowienie, aby zacząć zwracać uwagę na to, kogo mijają na klatce schodowej, a w firmie przestać się ukrywać za monitorami i od czasu do czasu ruszyć tyłek zza biurka, ot tak. To prawda, że nie była duszą towarzystwa i nie cierpiała z powodu braku koleżanek w pracy... ale teraz przemknęło jej przez głowę, że jednak miło by było mieć z kim zamienić kilka słów podczas przerwy na lunch, tak od czasu do czasu. Anita spadła jej z nieba — nie dość, że nie zraziła się wcześniejszą nieprzystępnością Ewy, to jeszcze tyle je łączyło, nawet mieszkały tak blisko. Przed Anitą nie musiała się kryć i omijać tematów związanych z pracą, obawiając się, że koleżanka będzie patrzyła na nią jak na kosmitkę, tak jak choćby Monika i Iza, których życie kręciło się prawie wyłącznie wokół domu i dzieci. Albo Magda — dobrze im się rozmawiało, ale czasami Ewie brakowało odrobiny zrozumienia dla trybu życia, jaki prowadziła. Gdy już weszła do mieszkania i zamknęła drzwi, wzięła w dłonie łeb Browara i ucałowała jego zimny, mokry nos.

— Dziękuję. Gdyby nie ty, pewnie nigdy nie poznałabym Anity. — Ucałowała go jeszcze raz. — Ale wiedz, że jeśli jeszcze raz mi uciekniesz, złożę ci dupsko — oznajmiła i spojrzała w lustro w korytarzu. Za nią stał Jacek, przepasany ręcznikiem, z szeroko otwartymi ustami. Natychmiast spiekła raka zawstydzona, że dała się przyłapać na tej czułości w stosunku do psa. — No co tak patrzysz? — warknęła i pomaszerowała do sypialni.

\*

Ewa wracała z trzech krótkich spotkań, na których omawiała ze swoimi podwładnymi ich oceny śródroczne. Trzy osoby skrupulatnie wykonujące swoje obowiązki, potulne, posłuszne, rzadko popełniające błędy. Spotkania przebiegły więc spokojnie, menedżerka była nimi nawet nieco znużona — przedstawiła swoje spostrzeżenia, ale nie otrzymała w odpowiedzi ich własnych przemyśleń, pracownicy nie przejawiali żadnej inicjatywy. Od razu zgodzili się z zaproponowanymi przez nią celami, jakby chcieli jak najszybciej uwolnić się od jej towarzystwa i wrócić do swoich stanowisk.

Przechodząc korytarzem, wpadła na Aleksandrę Borewicz, niemal upuszczając trzymane teczki z dokumentami.

— Ewa! — wykrzyknęła koleżanka. — Dobrze się składa, właśnie szłam do ciebie. Mogę ci zająć dosłownie minutkę? — zapytała.

— Jasne. O co chodzi?

— Tak jak ustaliłyśmy, przygotowałam plan kolejnego meetingu w sprawie Albatrossa. Mogłabyś rzucić okiem? Zastanawiam się nad drugim punktem... Co o tym myślisz?

— Już patrzę.

Przesunęły się bliżej ściany, aby nie blokować przejścia, i Ewa wzięła podany jej plan. Znajdowały się dokładnie na wprost wnęki, w której zostały ulokowane cztery drukarki, z których korzystali pracownicy na siódmym piętrze. Ewa zaczęła czytać, gdy kątem oka dostrzegła coś niepokojącego. Przy pierwszej drukarce stała Paulina, a raczej pochylała się, wypinając swój zgrabny tyłeczek w obcisłej białej mini. Tuż za nią stał Sebastian i coś jej tłumaczył. Oczywiście nie mógł się oprzeć temu widokowi — który facet by się oparł? — i wlepił wzrok w idealne krągłości. Ewa nawet stąd widziała, że drukarka nie działa — świeciła się druga czerwona kontrolka, a to oznaczało jakiś poważniejszy problem niż choćby zablokowany podajnik papieru. Każdy inny w tej sytuacji wystawiłby ticket z prośbą o usunięcie awarii i skorzystał z którejś z pozostałych trzech sprawnych drukarek. Ale nie Paulina. Ewa uświadomiła sobie, że blondynka z premedytacją wykorzystwała sytuację. Celowo mizdrzyła się przed Seba, kręciła, wypinała, robiła minę bezradnej dziewczynki i łechtala jego męskie ego, prosząc o ratunek. A więc tak wyglądał jej plan: nie zamierzała rozpuszczać kompromitujących plotek, zamiast tego postanowiła zgarnąć przystojnego menedżera dla siebie. Założyła, że to będzie dla Ewy bolesny cios. Nie myliła się: był... ale nie aż tak, żeby ją wytrącić z równowagi. Po chwilowym szoku i ukłuciu żalu, jakby ktoś nagle zwinął jej ciastko sprzed nosa, uśmiechnęła się lekko. Właściwie Paulina oddała Ewie przysługę — Sebastian przestanie się za nią uganiać, a ona pozbędzie się wyrzutów sumienia i dylematów w jego obecności. Po rozmowie z Magdaleną w kawiarni nabrała pewności, że nie jest to mężczyzna, z którym chciałaby się związać poważnie. Umocniła się w tym, co właściwie wiedziała od samego

początku: z dalszych flirtów mogły wyniknąć dla niej tylko kłopoty. Wciąż miała męża, zasady, swoją godność i nie było warto poświęcać tego wszystkiego dla chwilowego kaprysu, iskierki pożądania. „A bierz go sobie” — pomyślała.

— A bierz go sobie.

— Co proszę? — Aleksandra wyglądała na zbitą z tropu.

— To znaczy... przepraszam, chodziło mi o to, że twój plan jest świetny. Dobra robota. — Ewa zdała sobie sprawę, że wypowiedziała swoją ostatnią myśl na głos. Mało tego, od dłuższej chwili nie słuchała Aleksandry i próbowała teraz na powrót pochwycić wątek rozmowy. — Czy mogłabyś przesłać go do mnie e-mailem?

— Oczywiście. Myślisz, że Arek zdąży przygotować swoją część?

— Jestem tego pewna. Skontaktuję się z nim jeszcze dziś — obiecała.

Pożegnały się i zanim Ewa wróciła do swojego biurka, raz jeszcze spojrzała przez ramię. Sebastian klikał coś na pulpicie drukarki, choć nie pracował tu od wczoraj i doskonale musiał zdawać sobie sprawę, że próby zmiany ustawień na nic się nie zdadzą. Drugą dłoń trzymał nisko na plecach Pauliny, właściwie zbyt nisko. Ewa była pod wrażeniem. „Jak ona to robi, że dostaje to, czego chce, na jedno pstryknięcie palcami?”

\*

— Gdzie Julka? — zapytała Ewa, kładąc na stole ogromną reklamówkę.

— U koleżanki, Gosi. Jej mama obiecała odwiedzić ją przed dwudziestą.

Ewie zrobiło się żal. Wstąpiła po pracy do Magdaleny z zakupami — wszystkim, czego jej córka sama nie zdołałaby kupić w osiedlowym sklepiku — i miała nadzieję, że uda jej się zobaczyć również z Julią. Przez te kilka dni stęskniła się za jej szczerbatym uśmiechem i zabawnymi uwagami. Nie miała jednak zamiaru aż tak długo czekać, liczyła, że przed dwudziestą będzie już u siebie. „Cóż, trudno. Może w weekend gdzieś ją zabiorę”.

Magda ucieszyła się z odwiedzin. Przez uziemienie w mieszkaniu była spragniona towarzystwa i rozmowy.

— Herbaty? — zaproponowała Ewa.

— Pewnie. Wiesz, gdzie są filiżanki. — Magda pozwoliła koleżance rozgościć się w kuchni. Sama pokuśtykała do starego fotela, usadowiła się wygodnie i oparła nogę na przysuniętej pufie.

— Jak ci czas mija? — Ewa przyniosła tacę z herbatą.

— Nudno i smutno, czasami aż mnie nosi, żeby gdzieś wyjść... ale to uziemienie ma też dobre strony. Wreszcie zaprojektowałam sobie nowe wizytówki. Chcesz zobaczyć? Może podpowiesz mi, która wersja prezentuje się najlepiej.

Ewa podała laptopa i po chwili dyskutowały na temat czterech różnych wersji wizytówek. Obejrzały również zdjęcia z ostatnich sesji plenerowych

zrealizowanych przez Magdę. Młode pary w promieniach zachodzącego słońca pozowały nad brzegiem jakiegoś jeziora. Ewa była pod wrażeniem zdolności koleżanki; wszystkie fotografie były idealne pod względem technicznym, a zarazem pełne emocji. Nie sądziła, że będąc samoukiem, można osiągnąć taki stopień profesjonalizmu. Nie omieszkała pochwalić:

— Świetne! Jesteś w tym naprawdę dobra.

— Dziękuję. To chyba moja ulubiona sesja, miejsce było wprost wymarzone do zdjęć. Tomaszowi też się podobały.

— Tomaszowi? Temu lekarzowi?

Magdalena skinęła głową i uśmiechnęła się tajemniczo.

— Był u ciebie? Kiedy? — zapytała Ewa i zaraz ugryzła się w język. Takie wypytywanie mogło być niegrzeczne, ale ciekawość wprost ją zżerała.

— Wczoraj rano, wpadł na kawę przed pracą. Zanim zapytasz, czy coś z tego będzie: myślę, że tak. — Roześmiały się obie. Rzeczywiście, Ewa miała ochotę o to zapytać. — Trochę się obawiałam, co on na to nasze małe mieszkanko, moją pracę na własny rachunek... ale poszło super, naprawdę miło spędziliśmy ranek. Dziś dzwonił, pytał o moje samopoczucie, o plany wakacyjne. Nie powiedział tego wprost, ale sądzę, że nie szuka chwilowej zabawy, chciałby stabilnego związku. Z tego, co wiem, nigdy nie był żonaty. Chyba przed laty został mocno zraniony i dlatego do tej pory jest sam... ale jeszcze za wcześnie, żeby o to pytać. Nie będę niczego przyspieszać, niech się nasza znajomość sama rozwija. Ja w każdym razie jestem pozytywnie nastawiona — stwierdziła Magda i sięgnęła po filiżankę.

— Cieszę się — powiedziała Ewa, a koleżanka spojrzała na nią i zmrużyła oczy. — No dobra, zaskoczyłaś mnie trochę, bo nie sądziłam, że Michalski jest w twoim typie. Ale to na pewno porządny facet i skoro się dogadujecie, to cieszę się ze względu na ciebie. Wiesz, że życzę ci jak najlepiej.

— Wiem. Fajnie, że mam twoje błogosławieństwo. — Znów się roześmiały.

— Co u Julki? — Ewa zmieniła temat.

— Wszystko gra. W szkole większość ocen już wystawiona, mają luzy. Pomaga dzielnie, żebym nie musiała obciążać nogi. Pytała o Browara, myślałam, że będzie robiła problemy z powodu jego chwilowej nieobecności u nas. A wiesz, co ona na to? Mówi mi: „Mamuś, Ewci Browar bardziej się przyda. Ona ma taki porządek, że ktoś jej musi robić bałagan”.

— Cała Julka. — Ewa pokręciła głową. — Skąd wy w ogóle wytrzasnęłyście to psisko? Od początku mnie to zastanawiało.

— Długa historia. W skrócie: Julka przechodziła ospę, tak mi było szkoda bidulki, że nierozważnie powiedziałam jej, że zgodzę się na wszystko, byle tylko poprawić jej humor. Bezwiednie zgodziłam się na psa. Miał być malutki kundelek, pojechaliśmy do schroniska, a tam... roczny labrador! Uwierzysz, że ktoś go porzucił w lesie? Pewnie był jakimś nietrafionym prezentem. Z miejsca obie się

zakochałyśmy i zdrowy rozsądek poszedł się paść.

Ewa śmiała się i kręciła głową z niedowierzaniem. Tylko Julia mogła tak podstępnie wykorzystać sytuację.

— Jeśli nie masz nic przeciwko, mogłabym zabrać Julię gdzieś w sobotę. Na lody albo do kina. A może i ty miałabyś ochotę się wybrać? — zapytała.

— Zabawne, że pytasz, bo właśnie miałam coś ci zaproponować. Nie wiem, czy pamiętasz... wspominałam w szpitalu, że mam krewną na Podkarpaciu, Janinę. — Magdalena popatrzyła wyczekująco.

— To kuzynka twojej babci, tak?

— Dokładnie. Mieszka sama, ma spory dom z ogrodem. Niedaleko płynie rzeka, do lasu też jest rzut beretem. Co roku jeździmy do niej latem w każdy wolny weekend. Czasami nawet zostawiałam u niej Julię na tydzień–dwa, jeśli miałam dużo zleceń. Podupała nieco na zdrowiu, sama już nigdzie nie wyjeżdża, dlatego ogromnie ją cieszy, gdy ktoś wpadnie w odwiedziny.

— Jej dom to pewnie idealne miejsce na wakacje.

— Otóż to. Może więc wybierzesz się z nami do Janiny? Odpoczniemy, poodychamy świeżym powietrzem. Julka byłaby zachwycona, ma koleżankę w sąsiedztwie.

— Ale kiedy? Chodzi ci o najbliższy weekend? — Ewa się przeraziła.

— Dlaczego nie? Spokojna głowa, nie musisz brać wolnego w pracy. Pojechałybyśmy w piątek wieczorem, a wróciły w niedzielę. Będziemy mieć całą sobotę na to, żeby się byczyć na zielonej trawie — przedstawiła swój plan Magda.

— A gdzie to jest dokładnie?

— Mała miejscowość obok Leska. Daj tu tego laptopa, zaraz ci pokażę na mapie. To już właściwie Bieszczady.

Ewa dokonała szybkiej kalkulacji w myślach i nie kryła sceptycyzmu.

— Z Krakowa to co najmniej trzy godziny drogi, a biorąc pod uwagę piątkowe korki, pewnie ze cztery. Myślisz, że to dobry pomysł z twoją nogą? W samochodzie chyba nie będzie ci wygodnie.

— Dam radę, najwyżej zrobimy sobie krótki postój. Tomasz dał mi zielone światło — przekonywała. — Ewa, proszę, zgódź się. Kiedy ostatnio tak naprawdę odpoczywałaś?

— Cóż, dawno nie wyjeżdżałam za miasto...

— No właśnie. A jeśli tak ciężko przychodzi ci robienie czegoś dla siebie, to zrób to dla mnie. Popatrz: ta kulawa kura cię potrzebuje. I potrzebuje wakacji, choćby takich weekendowych — nie dawała za wygraną Magda. — Serio, pokręci mnie w tym mieszkaniu. Skoro już muszę leżeć z nogą do góry, to wolę na leżaku pod drzewem.

Ewa już wiedziała, że nie ma wyjścia. Magda nie odpuści, a jeśli jeszcze powie o swoim pomysle Julce, to dziewczynka będzie do niej wydzwaniała

i suszyła głowę, aż się zgodzi. Znów za sprawą tych dwóch kobietek miała zrobić coś, co kłóciło się z jej przyzwyczajeniami. Ale musiała to przyznać: odpoczynek nad rzeką i spacer po lesie w zestawieniu z laptopem, myśleniem o pracy i unikaniem się z Jackiem... to wcale nie brzmiało tak źle.

— Zgoda. Bądźcie gotowe w piątek o 17.00.

\*

Ku zaskoczeniu Ewy Jacek podszedł do jej wyjazdu bardzo entuzjastycznie. Początkowo sądziła, że to z powodu meczu — jadąc poprzedniego dnia do pracy i słuchając radia, wyłapała wiadomości o jakichś rozgrywkach w sobotnie popołudnie. Fakt, że nie będzie jej w mieszkaniu, ułatwiał Jackowi sprawę. Ciągłe powtarzał, że chciałby zaprosić kolegów i wspólnie z nimi kibicować polskiej drużynie, ale rezygnował ze względu na Ewę. Myśl o kilku facetach z puszkami piwa w dłoniach i paczkami chipsów na bielutkiej skórzanej kanapie, wykrzykujących przekleństwa bądź hasła zagrzewające do boju, nie budziła w niej zachwyty. Teraz miał perspektywę wolnego mieszkania, bez żony zrządzającej mu nad głową... Tymczasem słowa, które usłyszała z jego ust w piątkowy poranek, zaskoczyły ją jeszcze mocniej:

— Miłego wypoczynku. Dobrze ci to zrobi.

Ani słowem nie wspomniał o meczu. Czyżby rzeczywiście cieszył się tylko ze względu na nią? A może po prostu podobała mu się wizja weekendu sam na sam z Browarem? „Daj sobie spokój z analizowaniem wszystkiego. Po prostu ciesz się wyjazdem” — upomniała się w myślach i zabrała do pakowania kilku niezbędnych drobiazgów do torby podręcznej. Zajęło jej to nie więcej niż dziesięć minut. Kiedyś tak często wyjeżdżała na kilkudniowe szkolenia czy w delegacje, że opanowała sztukę pakowania do perfekcji. Na końcu wzięła do ręki laptopa i chwilę się zawahała — wiedziała, że Magdzie zależy na wspólnym spędzeniu weekendu offline i pewnie będzie protestowała na widok jakiegokolwiek sprzętu elektronicznego. Przyzwyczajenie wreszcie wzięło górę, laptop również wylądował w torbie. „To tylko na wszelki wypadek, gdyby zdarzyło się coś pilnego”.

Do Magdy i Julii dotarła nieco spóźniona, ale i tak była z siebie dumna. Zrobiła w pracy wszystko, co zaplanowała sobie na ten dzień, i mogła opuścić biuro ze spokojnym sumieniem. Dziewczyny czekały na nią, każda z niewielką torbą, a Julka dodatkowo z Hubertem w klatce. Gdy zobaczyła Ewę, powitała ją bardzo wylewnie, zarzucając jej ręce na szyję i całując w oba policzki.

Podróż upływała im spokojnie, choć nie nudno. Dla Ewy, przyzwyczajonej do prowadzenia samochodu w ciszy, ewentualnie z cichymi dźwiękami dobiegającymi z radia, była to nowość. Najpierw nie zamykała się buzia Julii. Opowiadała, co też u cioci Janiny — Jasi, jak ją nazywała — będą porabiać. Mówiła o kulinarnym talencie gospodyni, hamaku w ogrodzie, o kotce sąsiadów,



o tajnej ścieżce prowadzącej nad San, którą znali nieliczni. Ewa próbowała na podstawie tego potoku słów wyrobić sobie jakąś opinię o tym miejscu, ale ciężko było jej patrzeć na drogę i jednocześnie w skupieniu słuchać szczebioczącej dziewczynki, szybko więc dała za wygraną. Gdy Julii wyczerpały się tematy, Magdalena wyjęła z torebki kilka płyt i włożyła jedną z nich do odtwarzacza. Okazało się, że to składanka — „specjalna składanka na drogę”, jak wyjaśniła Ewie. W większości były to dość znane piosenki polskich artystów. Wszystkie wesole, pozytywne, wpadające w ucho, o miłości, podróżach i braniu życia za rogi. Magda i Julia zaraz zaczęły śpiewać razem z piosenkarzami i w niczym nie przeszkadzał im fakt, że raczej nie miały do tego talentu. Nie namawiały Ewy, żeby się przyłączyła, i była im za to wdzięczna. Nie lubiła śpiewać, a już szczególnie wtedy, gdy ktoś mógłby ją usłyszeć. Nowość natomiast stanowiło dla niej to, że nie przeszkadzały jej śpiewające towarzyski — uśmiechnęła się nawet raz czy dwa, gdy pomyliły słowa. Musiała przyznać, że miło było przypomnieć sobie starsze kawałki, których słuchała jeszcze w liceum.

Gdy minęły szyld zajazdu Sosenki, już zmierzchało. Magda poinstruowała Ewę, że ma skręcić w wąską drogę tuż za zajazdem — za kilka minut powinny być na miejscu. Wszystkie trzy były zmęczone kilkugodzinną jazdą, ale nie dało się ukryć, że podróż najbardziej dała w kość właśnie Magdalenie. Choć robiły, co mogły, aby chociaż trochę jej ulżyć, i zatrzymywały się na krótkie postoje, to niestety nieduży samochód nie dawał możliwości swobodnego ułożenia nogi w zalecanej pozycji. Magda jednak nie narzekała, trzymała się dzielnie i śpiewała wesolo z córką. Im bliżej celu się znajdowały, tym bardziej stawała się ożywiona. Wyglądała przez szybę i mimo zapadającego zmroku wskazywała Ewie znajome miejsca. Zwracała uwagę na szczegóły, których koleżanka pewnie w ogóle by nie zauważyła:

— Kiedyś się zastanawiałam, dlaczego te świerki nazywają się srebrne. Owszem, są nieco szarawe, ale żeby srebrne? — mówiła. — Ale spójrz na nie teraz, gdy jest już prawie całkiem ciemno i oświetlają je reflektory samochodu. Srebrzyste stożki... ślicznie się odcinają na tle innych ciemnozielonych roślin. Czyż to nie wygląda magicznie? Skręć tutaj!

Ewa wjechała na duże, zadbane podwórko i zaparkowała tuż przed wejściem do piętrowego domu. Na szybko oceniła, że dom ma już swoje lata, ale ktoś z całych sił starał się utrzymać go w dobrym stanie. Dom był świeżo pomalowany, wstawiono nowe okna. Przed wejściem stało kilka ceramicznych donic z ziołami, które wydzierały wręcz obłądny zapach. Na dalsze oględziny nie było czasu, bo właścicielka wybiegła im już na spotkanie.

Niska, okrągła kobietka z siwymi włosami zebranymi w koczek zasypała je pocałunkami i pytaniami o drogę. Nawet Ewę wyściskała i ucałowała jak dawno niewidzianą wnuczkę, choć przecież spotykały się po raz pierwszy. Julia tuliła się

do „swojej Jasi” najdłużej, widocznie ogromnie stęskniona.

— Chodźcie, kolacja już na stole! Później się rozpakujecie — zarządziła Janina i poprowadziła je przez ciasny korytarzyk najpierw do łazienki („myjcie szybko łapki!”), a następnie do pokoju gościnnego. Tam rzeczywiście czekał na nie skromnie, ale smakowicie zastawiony stół. Był dzbanek z herbatą, koszyk z grubymi pajdami chleba, miska z twarożkiem ze szczypiorkiem, talerze z żółtym serem i pokrojonymi w plastry pomidorami, rzodkiewką i ogórkami. Ewa pomogła Magdzie wygodnie się usadowić i zabrały się do jedzenia. Stwierdziła, że nigdy nie jadła niczego tak pysznego: chleb domowej roboty był miękki, a jednocześnie kruchy, pomidor — soczysty, pachnący słońcem. Całkowite przeciwieństwo tego, co zwykle kupowała w hipermarketach. Czyżby pani Janina miała swój własny ogródek warzywny? A może nawet szklarnię? Z tego co słyszała, pomidory hodowane na zewnątrz dojrzewały później, ale nie była pewna. Będzie musiała ją o to zapytać.

Ponieważ Magda żywo rozmawiała z panią domu, Ewa miała czas na to, aby rozejrzeć się po pomieszczeniu. Pokój przypominał trochę salonik jej dziadków, u których spędzała sporo czasu jako mała dziewczynka — niemal identyczne drewniane meble, wzorzysty dywan, kilka obrazów w złożonych ramach na ścianie; głównie martwa natura. Do tego mnóstwo białych koronkowych serwetek i porcelanowych figurek, które zajmowały każdą wolną przestrzeń. Na małym stoliku pod oknem trzy rozrabiające kotki, na komodzie — chłopiec w pasiastych spodenkach pasący gąski, na szafeczce pod telewizorem — porcelanowa laleczka z warkoczami. Ewa nie potrafiła tego wytłumaczyć, ale od razu poczuła się tutaj swojsko, swobodnie. Czy miało na to wpływ otoczenie podobne do tego, które zapamiętała z dzieciństwa? A może to za sprawą serdeczności i gościnności Janiny? Pewnie wszystko naraz.

Po skończonej kolacji Ewa i Julia pomogły zebrać naczynia ze stołu i przyniosły z samochodu swoje torby.

— Pewnie jesteście zmęczone, to ja już nie będę was zatrzymywać — oznajmiła Janina. — Jutro się nagadamy. Wy wiecie, gdzie macie naszykowane spanie. A tobie, Ewuś, dam pokój na pięterku. Chodź, pokażę ci.

„Ewuś”... Ewa poczuła, jak jej wnętrze zalewa fala jakiegoś dziwnego ciepła. Kto ostatnio zwracał się do niej tak pieśczośliwie? Ruszyła po schodach za Janiną, która głośno sapała, pokonując skrzypiące stopnie, i cały czas objaśniała:

— Z piętra w zasadzie nie korzystam, czasami tylko wynajmuję komuś pokoje na lato. Zawsze to trochę grosza. Akurat wszystkie stoją puste, sezon dopiero się zaczyna. Żółty ci przygotowałam, bo ma najładniejszy widok. Rano sama się przekonasz. Jakbyś czegoś potrzebowała, to zaraz wołaj. Łazienka jest obok, a na dole druga, większa. Czuj się jak u siebie, niczym się nie krępuj.

Janina otworzyła drzwi i oczom Ewy ukazał się malutki, przytulny pokoik

pomalowany na radosny żółty kolor. Centralne miejsce zajmowało łóżko z całą stertą miękkich poduch w białych, wykrochmalonych poszewkach. Pod jedną ścianą szafa, a pod drugą biureczko z szufladami. Do tego mosiężna lampa zwisająca z sufitu, bielutka firanka w oknie, pleciony dywan, lustro na biurku i obrazek z Matką Boską Częstochowską nad łóżkiem. Bez luksusów, ale czyściutko i wygodnie.

— I jak? Dobrze ci tu będzie?

Ewa spojrzała wesoło, niebieskie oczy otoczone pajęczynką drobnych zmarszczek.

— Idealnie — odparła z przekonaniem. — Dziękuję.

\*

Ewę obudziło słońce. Ciepłe promienie zaglądające przez okno padały prosto na jej twarz i zmusiły do otworzenia oczu. Niezdarnie sięgnęła ręką w stronę parapetu po telefon i natychmiast oprzytomniała. Nie mogła uwierzyć w to, co pokazywał zegarek na wyświetlaczu: było już po dziesiątej! „No ładnie, ciekawe, co gospodyni sobie o mnie pomyśli. Przyjechała i śpi”. Wstała, a drewniana podłoga zaskrzypiała pod jej stopami. Po rozpakowaniu torby miała zamiar jak najprędzej zejść na dół, zobaczyć, co porabiają jej towarzyszki, i zapytać, jakie mają plany na dziś, ale nie mogła się powstrzymać przed tym, aby dokładniej obejrzeć pokój. Miłe uczucie, które pojawiło się wczorajszego wieczoru, wciąż nie zniknęło, chciała je zatrzymać odrobinę dłużej. Drewniane deski, zapach świeżej pościeli, święty obrazek — nadal kojarzyło jej się to wszystko z wakacjami u dziadków. Rozejrzała się powoli, w skupieniu, oddając się wspomnieniom. Wyjrzała przez okno. Pani Janina miała rację, widok rzeczywiście był zachwycający. W dole fragment ogródka pełnego kwiatów, dalej łąka i ciemna ściana lasu... a nad tym wszystkim czyste, błękitne niebo. W Krakowie jej okna wychodziły na szare bloki naprzeciwko i wiecznie zatłoczony parking, dlatego uderzył ją ten kontrast, wręcz zachłysnęła się przestrzenią. Koniecznie będzie musiała się wybrać na spacer, poznać okolicę.

Ewa wzięła torbę i podeszła z nią do szafy. Wyjęła kilka sztuk spakowanych ubrań, rozprostowała je i rozwiesiła na wieszakach. Wczoraj już zabrakło jej na to sił. To był jej mały rytuał, zwyczaj, którego trzymała się od lat. Choćby wyjeżdżała gdzieś na bardzo krótko i miała ze sobą tylko kilka drobiazków, zawsze rozpakowywała torbę. Nie chciała, aby ciuchy się pogniosły, wygodnie też było mieć wszystko pod ręką. Tym razem chodziło o coś jeszcze: w tym małym pokoiku, w odróżnieniu od znanych jej bezosobowych hotelowych apartamentów, czuła się jak u siebie. Kosmetyki i akcesoria do makijażu ułożyła na biurku, obok lusterka. Z ciekawości odsunęła szufladki i przeżyła kolejne zaskoczenie. W pierwszej szufladzie znalazła blok do akwareli i zestaw pędzelków z naturalnego

włosia. W drugiej — akwarele, ołówki, węgiel, pastele. Wszystko dobrej jakości, znanych marek, wyglądało na nieużywane. Skąd się tu wzięły? Do kogo należały? Kolejne pytania, które miała ochotę zadać Janinie.

Poranna toaleta zajęła Ewie kilkanaście minut. Mimo najszczerzych chęci nie potrafiła zupełnie zrezygnować z malowania się, odruchowo nałożyła podkład i pociągnęła rzęsy tuszem. Założyła swój ulubiony weekendowy zestaw: beżowe chinosy i białą koszulową bluzkę i zeszła po schodach. Kierując się głośnym śmiechem, bez trudu trafiła do kuchni. Zajrzała nieśmiało i natychmiast została złapana pod ramię przez panią Janinę i posadzona na kulawym taborecie, przy stole nakrytym kraciastą ceratą. Jak za sprawą czarodziejskiej różdżki przed jej nosem pojawiło się śniadanie: kromki chleba obficie posmarowane dżemem domowej roboty i kawa zbożowa. Już miała zaprotestować, poprosić jedynie o kubek zwykłej czarnej kawy, ale to wszystko wyglądało i pachniało tak smakowicie... Poza tym była głodna jak wilk, co rzadko jej się zdarzało przed południem. Wycierając dyskretnie grzbietem dłoni dżem ściekający jej po brodzie, próbowała tłumaczyć się ze swojego długiego snu:

— Ja zwykle wstaję o wiele wcześniej... przepraszam, trzeba było mnie obudzić...

— A śpij, Ewuś, na zdrowie! — Janina machnęła ręką.

— Bieszczadzkie powietrze cię powaliło — dodała Magdalena. — Zdarza się mieszcuchom.

Ona najwyraźniej już od dawna była na nogach, a raczej na jednej nodze, bo druga spoczywała na poduszkach. Obie z Julią zajęte były szypułkowaniem truskawek — teraz Ewa dostrzegła na podłodze trzy kobiałki po brzegi wypełnione czerwonymi owocami.

— Od sąsiadki, dopiero co zebrane — wyjaśniła Janina. — Dwie spódnice jej skróciłam i taka zapłata. Nie ma to jak barter pomiędzy sąsiadami, niczego człowiekowi nie brakuje.

— Spróbuj, Ewcia. — Julia podała Ewie truskawkę. Sama działała według metody: jedna truskawka do miseczki, jedna do buzi. — Pycha!

Ewa zjadła i natychmiast wyciągnęła rękę po kolejną.

— Tak słodkich truskawek jeszcze nie jadłam!

— Bo to, Ewuś, są truskawki hodowane z czułością. Do nich się mówi, śpiewa, dba o nie... i słońca w tym roku nie brakuje. No, zjadaj, nie krępuj się!

Ewa została zaopatrzona w mały nożyk i również zabrała się do szypułkowania, więcej owoców jednak trafiało do jej żołądka niż do misy — nie mogła się oprzeć. Szybko uporały się ze swoim zadaniem. Gospodyni w tym czasie przygotowała ciasto i właśnie włożyła je do piekarnika. Na obiad zapowiedziała knedle, obowiązkowe danie w sezonie truskawkowym. Wystrojona w czysty fartuszek krzątała się pomiędzy białymi szafeczkami, stale coś przekładała,

ścierała, zmiatała okruszki i nuciła wesoło pod nosem, zadowolona, że ma gości.

— Jakie mamy plany na dziś? — zagadnęła Ewa koleżankę, myjąc w zlewie zaczerwienione palce.

— Nie ma planu! — oznajmiła ze śmiechem Magda. — Odpoczywamy, każdy robi, co mu się podoba.

Ewę trochę to przeraziło. Chciała przejść się po okolicy, ale co później? Jak zorganizować sobie dzień bez dostępu do internetu, bez żadnej listy obowiązków? Na szczęście Julia przysłała jej z pomocą.

— Pójdziemy nad rzekę, dobra? Zobaczymy, czy jest głęboko. I zajrzemy do Pana Klekotka. A wieczorem zrobimy ognisko. Zrobimy, prawda, mamus?

— Pewnie, czemu nie. Wiecie co, to idźcie nad rzekę teraz i wróćcie na obiad. — Magdalena spojrzała krytycznie na Ewę. — Lepiej się przebierz.

— Ale dlaczego? — Ewa nie zrozumiała.

— W długich spodniach w taki upał? Ewa! Zresztą w tych krzaczorach zniszczysz ubranie, pozaciągasz, pobrudzisz. Załóż byle co.

— Ale ja nie mam, nie wzięłam nic takiego...

— To trzeba było od razu. Julka! Przynieś z szafy moje spodenki, te niebieskie. I tę koszulkę w kwiatki.

Dziewczynka bez trudu znalazła wskazane elementy garderoby i Ewa została zmuszona do ich założenia. Szorty Magdy, jak należało się spodziewać, były za szerokie. Ścisnęła się mocno paskiem, co spowodowało, że brzydko się marszczyły, a koszulka wisiała na niej bezkształtnie. Stwierdziła, że wygląda co najmniej dziwacznie.

— Magda, nie mogę tak iść — oświadczyła. — Co będzie, jak ktoś mnie zobaczy?

— Kto cię tu niby ma oglądać?

— Nie wiem, jakiś sąsiad, może ktoś będzie nad rzeką. No sama popatrz, tragedia!

— Rzeczywiście, masz rację. Jeszcze jakiś biedny turysta wystraszy się twoich białych nóg. — Magdalena rzuciła z przekąsem. — Ewa, wyluzuj! Przestań się przejmować pierdołami i po prostu ciesz się spacerem.

Ewie zabrakło argumentów. Poddawała się, wyrażając po cichu nadzieję, że jednak nikogo nie spotka. Tymczasem Janina wcisnęła jej do ręki sporą płócienną torbę.

— Zapakowałam wam koc, wodę mineralną, bułeczki drożdżowe... — wyliczała.

— I jeszcze kapelusz weź! — dodała Julia. — Bo mózg ci się roztopi na słońcu.

Ewa, już bez szemrania, założyła pożyczony biały słomkowy kapelusz, dorzuciła do torby jeszcze parę drobiazgów i ruszyły w drogę.

Szybko się zorientowała, że japonki nie były najlepszym wyborem — ostre trawy i drobne kamyczki na ścieżce boleśnie kłuły ją w stopy. Pożałowała, że podczas ostatnich porządków pozbyła się między innymi wysłużonych rzemykowych sandałów i tenisówek, zastępując je kolejnymi butami na obcasach. Teraz zacisnęła zęby i starała się skupić uwagę na otaczającej ją przyrodzie — a było co podziwiać. Julia swoim zwyczajem podskakiwała wokół, wskazywała widoczne na horyzoncie domy i objaśniała Ewie, kto w nich mieszka. Nagle dziewczynka zawołała:

— Patrz, Klekotek z żoną!

Ewa spojrzała w górę — na wysokim słupie dostrzegła gniazdo, w którym znajdowała się cała bociania rodzina.

— Co roku tutaj wracają. Jak myślisz, ile mają dzieci?

— Hmm... wydaje mi się, że widzę trzy małe łebki — stwierdziła, przyglądając się uważniej.

— W zeszłym roku też mieli trójkę!

Postały jeszcze chwilę, pomachały bocianom i ruszyły dalej. Okazało się, że droga nie była aż tak długa, jak przewidywała Ewa. Po niecałym kwadransie weszły w gęste zarośla i zaraz potem ujrzały brzeg Sanu. Rzeka była szeroka, wartka, ale w tym miejscu raczej niezbyt głęboka. Zejście do wody okazało się całkiem przyjazne, łagodne, wyłożone ogromnymi płaskimi kamieniami. Mimo to Ewa zadrżała, widząc, jak szybko Julia wskoczyła na najbardziej wysunięty kamień. Czowała się za nią odpowiedzialna, nie wybaczyłaby sobie, gdyby dziewczynce cokolwiek się stało, gdy była pod jej opieką. Zdjęła japonki i podążyła za nią, ostrożnie stawiając kroki. Zapatrzyła się w płynącą wodę i unoszące się nad nią chmary owadów — drobne muszki, jętki, ważki, chruściki. Na zakręcie rzeki zauważyła wędkarza ubranego w piankowe wodery i koszulkę moro, na plecach miał niewielki plecaczek i siatkowy podbierak. „Czy jemu nie jest w tym gorąco?” — zastanawiała się. Obserwowała, jak mężczyzna zakłada przynętę, z podziwem obserwowała wprawne zamachy i wstrzymywała oddech, gdy żyłka zaczynała się napinać. Było coś kojącego w tym sam na sam z wodą, w miarowych ruchach wędki, ciszy przerywanej jedynie nawoływaniem nadrzecznego ptactwa. Chociaż nie — teraz ciszę przerywał jeszcze plusk małych kamyczków rzucanych przez Julkę. Wędkarz spojrzał groźnie w ich stronę, pewnie niechcący wypłoszył mu ryby. Ewa zmieszana czym prędzej odciągnęła Julkę od kamieni. Wyjęła z torby koc, rozłożyła na w miarę równym podłożu, usiadła i wystawiła twarz do słońca. Nie dane jej było długo się cieszyć spokojem. Julka szybko zaczęła się nudzić, podbiegła do Ewy i zaczęła szukać czegoś w torbie.

— Ty masz pięćdziesiąt lat?! — nagle wykrzyknęła przerażona.

— Że co?! — Ewa przeraziła się jeszcze bardziej. Podniosła się gwałtownie, a okulary przeciwsłoneczne zjechały jej z nosa.

— Tak tu jest napisane. Krem dla osób pięćdziesiąt plus — Julia pokazała tubkę.

— Nie, nie. To rodzaj filtra, na ostre słońce — wyjaśniła pospiesznie. Coś jej przyszło do głowy. Była pewna, że Julia odpowie jej szczerze. — A swoją drogą, ile lat byś mi dała?

— Hmm... dzisiaj dwadzieścia. A tak normalnie to trzydzieści. A jak wracasz z pracy to czterdzieści — powiedziała obojętnie i w końcu wyjęła z torby to, czego szukała. — Zagramy w makao? — zapytała i od razu zajęła się rozkładaniem na kocu talii kart, nie zwracając uwagi na to, jak bardzo wstrząsnęły Ewą jej wcześniejsze słowa. Aż tak było widać jej przemęczenie? Nawet tutaj, nawet teraz dręczyły Ewę wyrzuty sumienia, że tyle czasu spędzała w biurze. Mimo wszystko czuła, że zrobiła krok milowy, jeśli chodzi o osiąganie jako takiej równowagi pomiędzy pracą a życiem osobistym. Gdyby jeszcze miesiąc temu ktoś jej powiedział, że opuści biuro w piątek przed 18.00, a sobotę spędzi, wygrzewając się na słońcu i grając w karty z siedmiolatką, puknęłaby się w czoło. Tymczasem musiała przyznać, że było całkiem miło, a nawet przemknęła jej przez głowę myśl, że mogłyby to jeszcze kiedyś powtórzyć.

Tak jak obiecały, wróciły na obiad. Pani Janina podczas ich nieobecności przygotowała knedle z truskawkami, które zrobiły prawdziwą furorę. Polane roztopionym masłem z bułką tartą, pachnące wanilią... wszystkie trzy kobiety prosiły o dokładkę, a gospodyni nie mogła się nacieszyć ich apetytem.

— To już nie apetyt, to wstrętne obżarstwo — sprostowała Magdalena. — Cóż, cieszymy się truskawkami, tak szybko przemijają.

Nawet Ewa, mimo wizji niedającej się zasunąć spódnicy, nie była w stanie odmówić kolejnej porcji. „Będę musiała popracować nad bardziej regularnym bieganiem” — obiecała sobie w myślach. Jedząc, nagle przypomniała sobie, że miała o coś zapytać Janinę.

— W pokoiku na górze, w szufladzie biurka znalazłam materiały plastyczne — zagadnęła.

— Plastyczne? — Pani Janina chwilę się zastanowiła. — A tak! Była u mnie w zeszłym roku taka dziewczyna, studentka Akademii Sztuk Pięknych. Miała tu malować całe lato, mówiła, że to prace na konkurs. I nagle dostała jakiś telefon, wyjechała w pośpiechu, nawet nie zabrała wszystkich swoich rzeczy. Chyba coś złego się stało. Szkoda mi jej, była taka sympatyczna, cichutka jak myszka.

— To rzeczywiście smutne — przyznała Ewa. — Hmm... skoro te rzeczy leżą nieużywane... nie miałyby pani nic przeciwko, żebym z nich skorzystała?

— Pewnie, Ewuś, co się mają kurzyć! Ja nie mogłam się z tą dziewczyną skontaktować, gdzieś mi się kartka z jej danymi zawieruszyła. Wątpię, aby wróciła po te farby, pewnie już dawno o nich zapomniała.

— Ty malujesz? — wtrąciła się Magdalena. — Nie przypominam sobie, żebyś kiedyś o tym wspominała.

— Malowałam... kiedyś. Jeszcze zanim się poznałyśmy — wyznała.

— No proszę, więc jest wśród nas artystka! Nie mogę się doczekać, aż zobaczę coś spod twojego pędzla.

— Ewcia, ja też chcę zobaczyć! Namalujesz mi coś? — dołączyła się Julia.

Ewa się zrumieniła nieco zażenowana.

— Ja nie wiem, czy pamiętam jeszcze, jak się trzyma pędzel. Ale chciałabym spróbować. Może wybiorę się jutro rano nad rzekę, dziś wypatrzyłam tam ładny pejzaż, w sam raz do malowania.

Dokończyły posiłek w milczeniu, później Julia pomagała zmywać „swojej Jasi”. Magdalena chwyciła kule i gramoląc się zza stołu, stwierdziła:

— Dziewczyny, nie wiem jak wy, ale ja muszę się teraz na chwilkę położyć.

— Mnie też ciężko się ruszać po takim obiedzie — odpowiedziała Ewa.

Przeniosły się obie do ogrodu. Był bardzo zadbany, pełen kwiatów, kratownic z powojnikami i dzikiem winem. Właścicielka musiała mieć rękę do roślin. Magda spędziła tam już przedpołudnie, czytała na łóżku polowym ustawionym w cieniu rozłożystej lipy. Teraz wyjaśniła Ewie, gdzie znajdzie leżak dla siebie, i chwilę później obie ucinały sobie drzemkę w zacisznym miejscu. Julia wybrała się w odwiedzinach do koleżanki z sąsiedztwa, Janina zamknęła się w swoim pokoju z maszyną do szycia — w „pracowni”, jak go nazywała. Nikt im nie przeszkadzał, nikt niczego od nich nie chciał, nie miały zupełnie nic do roboty i były same, nie licząc burej kotki polującej na maleńkie jaszczurki. Po mniej więcej godzinie Ewa zaczęła się męczyć tą bezczynnością. Przeszła się do kuchni, zrobiła sobie kawę. Korciło ją, żeby zerknąć na telefon, sprawdzić pocztę, portale społecznościowe. Jeszcze bardziej męczyła ją myśl o laptopie spoczywającym na biurku w pokoju na pięterku. Uruchomiła jednak całą siłę woli i powstrzymała się od pójścia na górę — dała słowo Magdzie, że poświęci ten weekend wyłącznie odpoczynkowi na świeżym powietrzu i nawet nie pomyśli o korzystaniu z internetu. Wróciła na leżak ze swoją kawą, ale szybko zaczęła się wiercić, wstawiała, przechadzała się z jednego końca ogrodu na drugi. Nie była przyzwyczajona do takiego sposobu spędzania wolnego czasu. W domu zawsze miała co robić, nawet podczas wyjazdów organizowanych przez firmę dni były rozplanowane od świtu do nocy — w „przerwach” był paintball, biegi z przeszkodami, warsztaty prowadzone przez lokalnych artystów. Gdy dawno temu wyjeżdżała dokądś z Jackiem, również nie miała ani chwili na nudę, jej mąż preferował aktywny wypoczynek i zawsze wyszukiwał w okolicy jakieś atrakcje warte uwagi. Ciszę i spokój bardzo sobie ceniła, ale żeby tak zupełnie nic nie robić? Magdalena obserwowała ją spod półprzymkniętych powiek, w końcu się odezwała:



— Widzę, że cię nosi. Może chcesz coś do czytania? — zaproponowała.

— Właściwie... czemu nie. Masz coś ciekawego?

— Pewnie, że mam. Dwie książki zostawiłam w korytarzu, na półce pod lustrem. Bierz *Goniąc przeznaczenie*, to ta z zieloną okładką. Nie będziesz mogła się oderwać, gwarantuję — zapewniła.

Ewa znalazła książkę i przeczytała notkę na tylnej okładce, która jakoś nie zachęciła jej do lektury. Wyglądało na to, że to jakaś naiwna babska powieść o poszukiwaniu wielkiej miłości. Ewa nie gustowała w tego typu literaturze. W zasadzie od czasów liceum i szkolnych lektur rzadko sięgała po cokolwiek poza podręcznikami, książkami branżowymi czy poradnikami. Postanowiła jednak dać tej książce szansę i przynajmniej spróbować.

Cztery godziny później wciąż czytała. Od czasu do czasu kręciła głową z niedowierzaniem lub wyrywało jej się głośne prychnięcie, ale nie odłożyła książki. Historia pięknej i nieszczęśliwie zakochanej Anieli, mimo wszystkich swoich niedociągnięć, tak ją pochłonęła, że nawet nie zauważyła Julii i Janiny szykujących coś w najdalszej części ogrodu. Dopiero stuknięcie w ramię sprawiło, że wróciła do rzeczywistości.

— I co, miałam rację? — Magdalena stała nad Ewą, opierając się na kulach.

— Trochę przesłodzona ta historia. I zupełnie nieprawdopodobna, nie wiem jak ta Aniela mogła być tak ślepa... — zaczęła krytycznie, ale koleżanka nie dała jej dokończyć.

— Oj tam! Ale wciąż, nie zaprzeczysz. A, i jest druga część!

— Nie wiem, czy będę miała ochotę na drugą.

— Założę się, że tak. Wątek Anieli i Damiana został tak urwany, że będziesz umierała z ciekawości, co dalej. A teraz niestety musisz sobie przerwać, wołają na ognisko.

No tak — ognisko! Janina już podpałała stosik suchych patyczków otoczonych kamieniami. Julia przyniosła z domu tacę z ziemniakami owiniętymi folią aluminiową i zaraz włożyła je do gorącego popiołu. Jak zapewniła Ewę, z solą i odrobiną masła miały smakować rewelacyjnie. Dla Magdaleny przyniesiono łóżko polowe, a Ewa usiadła na prowizorycznym stołku wykonanym z pnia ściętego drzewa. Po chwili wciśnięto jej do ręki długi patyk z nadzianymi kiełbaskami. Obracała je powoli tuż nad ogniem, od czasu do czasu wstając i przesuwając się w lewo lub prawo, uciekając przed dymem niesionym lekkim wiatrem. Janina dwoiła się i troiła, aby dogodzić gościom — na rozkładanym stoliku ułożyła serwetki, talerzyki, sztucce, przygotowała cały dzbanek mrożonej herbaty. Słońce już chowało się za ścianą lasu, gdy zabrały się do jedzenia. Kiełbaski nie należały do ulubionych posiłków Ewy, ale świeże powietrze zaostrzało apetyt i musiała przyznać, że takie pachnące dymem smakowały o wiele lepiej niż przygotowywane w domu. Wieczór był ciepły, choć już nie upalny. Ewa

pomogła sprzątnąć po skończonym posiłku, a później przyniosła z domu po lekkim sweterku dla siebie i Magdaleny. Janina zniknęła w salonie, twierdziła, że nie może opuścić odcinka swojego ulubionego serialu. Koleżanki wołały zostać przy ognisku, do którego Ewa co jakiś czas dokładała kilka drewniaków z ułożonego nieopodal równego stosu. Julia biegła tu i tam; grzebała końcem patyka w ogniu, wskakiwała na huśtawkę, rzucała piłką do kosza zawieszzonego na trzepaku. W końcu usiadła na schodkach prowadzących do wejścia i bawiła się szmacianą lalką, szepcząc coś pod nosem. Miała mnóstwo energii i pomysłów na zabawy, które mogłyby zrozumieć tylko inne małe dziewczynki.

Wokół domu rozmieszczono kilka niewielkich stojących lamp ogrodowych, dzięki czemu zarówno dom, jak i ścieżka przecinająca ogród były dobrze oświetlone, natomiast kącik, w którym siedziały, rozjaśniały jedynie płomienie palącego się ogniska. Dym skutecznie odstraszał komary, było cicho, spokojnie, niemal zupełnie ciemno. Nostalgiczna atmosfera sprzyjała rozmyśleniom i intymnym tematom, które w świetle dnia trudniej byłoby poruszyć. Magdalena odezwała się pierwsza:

— Zastanawiałaś się kiedyś, gdzie chciałabyś być za, powiedzmy, dziesięć lat? Ja lubię myśleć w ten sposób: będę znaną, bardzo dobrą panią fotograf, moje prace będą się pojawiały na międzynarodowych festiwalach fotografii. Tak dobrą, żeby inni chcieli się ode mnie uczyć. Wiesz, wyrwę się z tego zamkniętego światka fotografii ślubnej i rodzinnej i zacznę robić naprawdę duże rzeczy. Moim marzeniem jest robić zdjęcia, które będą wywoływały skrajne emocje, ruszały te najczulsze struny w sercu — wyznała.

— Ale przecież w fotografii ślubnej jest mnóstwo emocji. Chyba nie ma bardziej podniosłego momentu w życiu — zdziwiła się Ewa.

— Jasne. Tylko wiesz, to jest dość oczywiste — wzniosły, wzruszający moment. Ale dostrzegać piękno w zwykłej codzienności, tam, gdzie inni niczego nie widzą, przechodzą obojętnie obok i pokazać to tak, żeby jednak się zatrzymali... To dopiero byłoby coś. Aktualne zajęcia traktuję bardziej jako warsztat, sposób, aby doskonalić swoje umiejętności. Ach, i oczywiście zarabiać na chleb. — Magdalena uśmiechnęła się lekko.

— Na pewno uda ci się osiągnąć to, o czym marzysz. Popatrz, jak już daleko zaszłaś, i to zupełnie sama. — Ewa spojrzała na koleżankę ze szczerym podziwem.

— Ewa, przesadzasz.

— Ani trochę. Weźmy chociaż tę pracę w bibliotece. Może nie była bardzo rozwojowa, ale stała i spokojna, co pewnie było ci na rękę przy małym dziecku. A ty ją rzuciłaś i jeszcze zaczęłaś robić coś zupełnie niezwiązanego z naszymi studiami, w czym nie miałaś doświadczenia. Nie mam racji?

— No... tak. Właściwie wszystko się zgadza. Ale to nie tylko moja zasługa. Wiesz, kto mnie do tego zachęcił? Babcia. To były jedne z jej ostatnich słów: „Rób

to, co ci serce podpowiada. Może i nie dasz córce życia w luksusie, ale pokażesz jej, jak się tym życiem cieszyć”. I wtedy właśnie coś we mnie pękło, postanowiłam, że za wszelką cenę będę szczęśliwą kobietą i dam Julii przykład. Wiesz, że kocham książki, pracę w bibliotece nawet lubiłam i, tak jak wspomniałaś, dawała mi poczucie stabilności. Ale fotografia... to od zawsze było moje marzenie — wyznała. — No a jak to jest z tobą? Dokąd byś chciała zawędrować?

Pewnie, że Ewa wiedziała, gdzie chciałaby być za dziesięć lat. Przecież na to pytanie odpowiadała podczas starania się o awans, tę odpowiedź wpisywała w swoich celach zawodowych, o tym rozmawiała podczas sesji z coachem. A jednak teraz perspektywa zarządzania sztabem ludzi, spędzania każdego dnia w biurze i harowania — wciąż harowania — jako jedna z milionów innych mrówek wypadła niesamowicie blado na tle wizji, jaką roztoczyła przed nią Magda. Nawet jeśli oznaczało to bardzo, bardzo duże pieniądze. Zresztą, czy rzeczywiście pieniądze były aż tak dobrym motywatorem? W tej chwili nie zarabiała jeszcze kokosów, ale wystarczająco, żeby żyć na poziomie, o jakim zawsze śniła. Miała duże i luksusowo wyposażone mieszkanie, mogła sobie pozwolić na drogie ciuchy, na wakacje w egzotycznych krajach dwa razy do roku. Cóż z tego, skoro prawie nie korzystała z prawa do urlopu. I co jej po pieniądzach, których nie miała ani z kim, ani dla kogo wydawać?

— Nie wiem — odpowiedziała i bezradnie rozłożyła ręce. — To znaczy myślałam, że wiem, ale teraz nie jest to dla mnie takie oczywiste. Widziałam sens w swojej pracy, a teraz czuję, że gdzieś mi on umyka — westchnęła ciężko.

Koleżanka podniosła się z trudem, sięgnęła po dłoń Ewy i uściśnęła ją mocno, serdecznie. Ewie ten gest dodał otuchy; nawet nie sądziła, jak bardzo był jej w tej chwili potrzebny.

— Wiesz, właściwie to dobrze, bo możesz się nad tym zastanowić. Najgorzej chyba jest, gdy się działa jak automat, z dnia na dzień i nawet nie stara się szukać w tym sensu.

Ewa uśmiechnęła się do Magdy z wdzięcznością. „Jak to jest, że ona zawsze wie, co powiedzieć?” Zapatrzyła się w ogień, iskry unoszące się ku granatowemu niebu i wyznała coś, co chodziło jej po głowie od samego rana:

— Chciałabym, żeby Jacek tu był.

— Podobałoby mu się?

— Tak myślę. On uwielbia wycieczki rowerowe i piesze wędrówki, a tu jest świetna baza wypadowa.

— To zaproś go kiedyś, niech przyjedzie z nami. Poważnie! — Magda podeszła do pomysłu z entuzjazmem.

— Nie wiem, czy to jeszcze ma sens. Trochę... trochę się między nami popsulo. No dobra, ja popsulałam. Ostatnio może było jakby lepiej. Wiesz, Julka i zwierzaki narobiły takiego bałaganu, że nie mieliśmy czasu na sprzeczki ani ciche

dni. — Ewa roześmiała się na wspomnienie zwariowanego tygodnia.

— Oj, rozumiem to. Czasami mam ochotę wystrzelić ich wszystkich w kosmos: Julkę, Huberta, Browara... Ale wracając do rzeczy: opowiedz mi. Jeśli będę umiała, to pomogę. A jeśli nie, to przynajmniej będzie ci lżej. Okej?

Ewa skinęła głową, wzięła głęboki oddech i zaczęła mówić. Na początku trochę opornie, ale z każdym kolejnym zdaniem było jej łatwiej, słowa płynęły coraz swobodniej. Pewnie dlatego, że Magda nie zadawała wielu pytań i nie oceniała. A może dlatego, że sama chętnie dzieliła się z Ewą swoimi przemyśleniami i tym, co działo się u niej w ciągu ostatnich kilku lat? A może po prostu Ewa musiała podzielić się z kimś tym wszystkim, co leżało jej na duszy, i Magdalena znalazła się u jej boku w odpowiednim miejscu i czasie. Uzmysłowała sobie teraz, że problemy pomiędzy nią i Jackiem ciążyą jej o wiele bardziej niż do niedawna sama przyznawała.

Pominięła część historii, która dotyczyła początków znajomości jej i Jacka, bo to Magdalena doskonale pamiętała. Mówiła za to o skromnym ślubie i pierwszych miesiącach, które przeżywali jako mąż i żona. Ewa, będąc studentką, tak naprawdę nie myślała jeszcze o zamążpójściu, to bardziej spontaniczny Jacek zaskoczył ją oświadczeniami. Nie potrafiła odmówić — przecież się kochali, więc właściwie dlaczego nie? Z perspektywy czasu widziała, że byli zbyt młodzi, by wiedzieć, że sama miłość to jeszcze nie wszystko. Te dwadzieścia kilka lat to zbyt mało, by dobrze poznać samą siebie, a co dopiero drugiego człowieka, i mieć sprecyzowaną wizję, jak to wspólne życie ma wyglądać. A może to nawet nie o sam wiek chodzi, tylko o wewnętrzną dojrzałość, do której każdy dochodzi na swój własny sposób, we właściwym dla siebie czasie? W każdym razie oni wskoczyli w ten bajzel zwany małżeństwem z rozpędu, na główkę, licząc, że sielanka i namiętność podsycana czułymi słówkami będą trwały wiecznie. A później pojawiły się pierwsze trudniejsze decyzje, większe wydatki, pierwsze zawodowe cele. Na wierzch zaczęły wychodzić wady i te niewygodne przyzwyczajenia, wcześniej ukrywane pod maską wzajemnej fascynacji. I zaczęły się zgrzyty, jak choćby przy kupnie i urządzaniu własnego lokum — okazało się, że mają zupełnie różne wyobrażenia tego, jak powinno wyglądać ich wspólne gniazdko. Jacek zwykle kapitulował, pozwalał działać Ewie. Najwyraźniej na tej płaszczyźnie był skłonny do ustępstw, wygląd mieszkania nie miał dla niego aż tak wielkiego znaczenia. W innych kwestiach niestety nie szło tak gładko. Nie potrafił znieść tego, że Ewa ma coraz mniej czasu dla nich, że przesiaduje w biurze do późna, że oddala się coraz bardziej, wyjeżdża coraz częściej. Choć gorąco wspierał ją na początku i był dumny z jej osiągnięć, z czasem pozostał tylko niesmak. Nie rozumiał i nie chciał zrozumieć zasad rządzących J&S International, uważał, że problem tkwi w niej samej. Wypruwa sobie żyły, choć nikt tego od niej nie oczekiwał. To prawda, że wina leżała po obu stronach; niemniej Ewa była

świadoma tego, że jej pracoholizm i zupełny brak zaangażowania w związek przeważał szalę.

— Momencik — przerwała Magda. — Coś mi tutaj nie pasuje. Jacek jest współwłaścicielem ZKG Consulting, prawda?

— Prawda.

— No właśnie. Rozkręcenie firmy od zera na pewno wymaga czasu i poświęcenia. Czy ty nie jesteś przypadkiem dla siebie zbyt surowa? Czy on nie przesiadywał do późna, nie popełniał tych samych grzechów?

— Może cię to zaskoczy, ale nie — zwiesiła głowę Ewa. — Owszem, zdarzało mu się wracać późno, ale nigdy nie przynosił pracy do domu. Serio, nie znajdziesz u nas ani jednej faktury, ani jednego dokumentu, który dotyczyłby jego firmy. A weekendy są dla niego rzeczą świętą. Choćby się waliło i paliło, a klienci krzyczeli z wściekłości, to w piątek wieczorem wyłączał firmowy telefon i przez dwa dni omijał biuro szerokim łukiem.

Magda nie skomentowała tego, pokiwała tylko głową ze zrozumieniem. A Ewa ciągnęła dalej, rozkręcała się coraz bardziej. Opowiadała o tym, jak z czasem mieli coraz mniej tematów do rozmów, jak trudno było im się spotykać ze znajomymi. Pomijając to, że Ewa nie była zbyt towarzyską osobą — ich oczekiwania co do tych spotkań i tryb życia znajomych diametralnie się różniły.

— Wpadliśmy w jakąś taką rutynę... W sumie myślałam, że taki układ jest w porządku. Że ja mam swoją pracę, swoje priorytety, swój sposób na życie, a Jacek ma swój i nie wchodzimy sobie w drogę — mówiła. — Ale to nie jest w porządku... tak chyba nie powinno wyglądać małżeństwo. Magda, ty nawet nie wiesz, jak bardzo mi brakuje tych naszych rozmów o wszystkim i o niczym, przytulania, krótkich wyjazdów we dwoje... I tego, jak na mnie patrzył. I seksu... *shit*, jak mi brakuje dobrego seksu! — wyznała i zarumieniła się z zażenowania. Chyba trochę się zagalopowała.

— Jemu też brakuje. — Nieoczekiwanie stwierdziła Magda i zaraz się poprawiła. — Chodziło mi o to, że brakuje mu ciebie.

— Nie sądzę. Czemu tak myślisz? — zaciekawiała się Ewa.

— Sam mi powiedział. Pamiętasz, jak musiałaś zostać dłużej w pracy i Jacek z Julką przyjechali do szpitala mnie odwiedzić? — Ewa skinęła głową. Doskonale pamiętała. — Rozmawialiśmy chwilkę o tobie. Obiecałam mu, że ci nie powiem, ale myślę, że powinnaś wiedzieć. On się o ciebie martwi. Jesteś ogromnie ambitna i boi się, że ta ambicja cię kiedyś zgubi, że postawisz sobie poprzeczkę zbyt wysoko. Mówił, że chce, by było jak dawniej, ale nie wie, jak do ciebie dotrzeć. Powiedział, cytując: „może ja jestem wariat, ale ją kocham. Kocham, tylko ni w ząb nie rozumiem”.

Ewa ukryła twarz w dłoniach i pomiędzy jej palcami zaczęły płynąć łzy. Zawstydzona ocierała je pospiesznie rękawem sweterka, choć nie miało to

większego sensu — emocje były zbyt silne, nie potrafiła już dłużej nad nimi panować. To było to, co w głębi serca pragnęła usłyszeć. Ale jak się do tego odnieść, co odpowiedzieć koleżance, a najważniejsze — jak pokazać Jackowi, że jej również na nim zależy? „Zależy jak diabli”.

Magdalena zsunęła się na krawędź polowego łóżka i mocno objęła Ewę. Ta oparła głowę na jej ramieniu i teraz już płakała gwałtownie, szczerze, nie kryjąc się z tym w żaden sposób.

— Płacz, wypłacz z siebie to wszystko. Taki płacz jest dobry... — powtarzała Magda i gładziła Ewę delikatnie po włosach.

Ewa nie miała pojęcia, jak długo siedziały przytulone w niewygodnej pozycji. W końcu chyba zabrakło jej łez i przestała płakać tak samo nagle, jak zaczęła. Wydmuchała głośno nos w podaną chusteczkę i zapytała Magdę, wierząc, że otrzyma właściwą odpowiedź:

— Co mam zrobić? Niedługo są jego urodziny, a ja nawet nie wiem, co mogłoby mu sprawić radość.

Magdalena chwilę się nie odzywała, analizując to, co usłyszała w ciągu ostatnich godzin.

— Kiedy wypada wesele siostry Jacka? — zapytała, wprawiając tym Ewę w osłupienie.

„Co ma piernik do wiatraka?”

— Za tydzień.

Magda uśmiechnęła się szeroko, zadowolona z odpowiedzi.

— Czy mogę coś zasugerować? — Gdy Ewa skinęła głową przyzwalająco, kontynuowała: — Jedź z nim na to wesele i postaraj się dobrze bawić. Taaa, wiem, że nie lubisz takich imprez — dodała na widok miny koleżanki. — Ale nic ci nie będzie, jeśli trochę wyluzujesz przez jeden wieczór. To jego rodzina, ważne wydarzenie i na pewno będzie ci wdzięczny, jeśli mu tego nie zepsujesz. A co do prezentu urodzinowego... mówiłaś, że kiedyś zamiast klasycznych podarunków lubiliście gdzieś razem wychodzić, wyjeżdżać. Może więc warto do tego wrócić i pobyć tylko we dwoje, choćby przez jeden weekend? Ale nie proponuj, sama coś zarezerwuj i postaw go przed faktem dokonanym. I niech to będzie koniecznie jeszcze przed twoim wyjazdem do Dublina.

Ewa spojrzała na koleżankę uważniej. Brzmiało rozsądnie, w końcu sama wpadła na podobny pomysł, próbując zadośćuczynić mężowi ich rocznicę. Tyle że wtedy brała po uwagę tylko jeden wieczór, i to w domu. Magda ciągnęła:

— Nie twierdzą, że jeden krótki wyjazd wszystko naprawi, ale takie sam na sam na pewno wam nie zaszkodzi. Odpoczniecie, przypomnicie sobie, jak to było kiedyś. I porozmawiacie. Dziewięćdziesiąt procent problemów w związkach bierze się stąd, że ludzie ze sobą nie rozmawiają, tak przynajmniej słyszałam.

— Zgoda... A co, jeśli Jacek nie będzie chciał nigdzie jechać? Albo zgodzi

się, ale wyjazd okaże się zupełną klapą? — wyraziła swoje wątpliwości Ewa.

— Ja ci mówię, że się uda — oświadczyła Magdalena z przekonaniem. — Masz moje słowo. Jemu też zależy i wystarczy, że po prostu wyciągniesz rękę. To jak, przemyślisz to?

Ewa uśmiechnęła się z wdzięcznością i pokiwała głową.

Ognisko zaczynało wygasać, zrobiło się już późno. Ale tak dobrze im się tutaj siedziało! Ewa dorzuciła jeszcze kilka drewnienek i zapięła sweterek.

— Skoro już tak rozmawiamy... ciekawi mnie coś jeszcze. Jeśli nie chcesz, to po prostu nie odpowiadaj — ostrzegła Magda. — Nie myśleliście nigdy o dziecku? To znaczy nie teraz, kiedyś, jak jeszcze było między wami jako tako?

Ewa westchnęła głośno i wzruszyła ramionami.

— I tak, i nie. Wiem, że Jacek by chciał, wiem też, że byłby świetnym ojcem. A ja... nie zrozum mnie źle, Julkę ogromnie polubiłam, ale generalnie nie ciągnęło mnie do dzieci. Poza tym nieźle mi się układało w J&S International i trudno było sobie wyobrazić, że miałabym z tego zrezygnować.

Magdalena spojrzała na Ewę spode łba.

— Tak, tak. Pamiętam, co mówiłaś. — Ewa szybko zapewniła. — Że kobieta może się spełniać w kilku rolach równocześnie i macierzyństwo nie musi oznaczać rezygnacji z kariery. Ale te wszystkie moje wyjazdy, szkolenia... nie mogłam odmówić, nadgodzin też nie dało się uniknąć. Nie mogłabym poświęcić dziecku tyle czasu, ile by potrzebowało. No i chyba po prostu nie byłam gotowa.

— Ewa, nie musisz się tłumaczyć, ja rozumiem. Ale coś ci powiem: na dziecko chyba nikt nigdy nie jest tak naprawdę gotowy. Pomyśl o okolicznościach poczęcia Julki: świat wywrócił mi się do góry nogami, ale w końcu jakoś, kawałek po kawałeczku, znów go poskładałam. A teraz nie wyobrażam sobie, że mogłoby jej nie być.

— Może i tak... Ale powiedz mi, tylko szczerze, potrafiłabyś sobie wyobrazić mnie jako taką Matkę Polkę? — zapytała, myśląc o słowach Seby: „Nie pasujesz na mamuszkę”. Wypowiedziane lekkim tonem, a wciąż nie mogła się pozbyć ich z głowy. Gryzły ją, uwierały, wracały w najmniej odpowiednich momentach i spędzały sen z powiek. Woląca myśleć, że brak dziecka to jej świadomy wybór, a nie dyskwalifikacja z powodu braku predyspozycji.

— Matka Polka Korporacyjna... czemu nie. — Magdalena się roześmiała. — Mówię serio. Z dnia na dzień zostałam wrzucona na głęboką wodę, na głowę spadła ci moja córka i zwierzyniec, i patrz... wszyscy żyją i mają się dobrze!

— Matka Polka, polko-matka, matka korpo, korpo-Polka, korpolka... — usłyszały podśpiewywanie za swoimi plecami, zanim Ewa zdążyła cokolwiek odpowiedzieć. Ciekawe, jak długo Julia tutaj się plątała i ile podsłuchiwała z ich rozmowy.

— A co ty jeszcze tutaj robisz?! — poderwała się Magda, zapominając

o chorej nodze, syknęła z bólu i opadła z powrotem na łóżko. — Która to godzina?! Czemu jeszcze nie śpisz?

— Oj tam, mamuś. Szkoda życia na spanie — stwierdziła Julia filozoficznie. — Zresztą obiecałaś, że dziś razem przeczytamy fragment z *O czym szumią wierzby*. Zapomniałaś?

— Ano zapomniałam. Co ze mnie za matka. — Magda mrugnęła do Ewy i obie się roześmiały. — Okej, chodźmy. Pożegnaj się z cicią.

Julia uścisnęła Ewę i życzyły sobie dobrej nocy. Ewa chciała pomóc koleżance wstać, ale ta szybko dała jej znak ręką, że nie trzeba, i sprawnie podparła się na kulach. Po chwili Magda i Julia zniknęły w domu, w oknach na parterze zapaliły się światła.

Ewa została jeszcze chwilę, poczekała, aż ogień zupełnie wygaśnie. Potrzebowała czasu, aby poukładać sobie w głowie to wszystko, o czym rozmawiały. Myślała o swoim małżeństwie, o Magdzie, która okazała się tak świetną słuchaczką. Magda twierdziła, że po wypadku potrzebuje pomocy Ewy, ale teraz Ewa zaczęła dochodzić do wniosku, że było zgoła na odwrót — to ona potrzebowała wsparcia, ciepłych słów, impulsu do tego, aby się zastanowić nad tym, gdzie się znajduje i dokąd zmierza.

Wyjęła z kieszeni smartfon, chciała tylko spojrzeć, która jest godzina. Bezwiednie kliknęła ikonkę poczty, później Facebooka. Zarumieniła się, jakby została przyłapana na gorącym uczynku, na czymś, czego nie powinna robić. Szybko przebiegła wzrokiem listę powiadomień i już miała na powrót zablokować telefon, gdy jeden news przykuł jej uwagę: zdjęcie Pauliny i Sebastiana, zrobione w jakimś klubie. Ona w obcisłej, różowej sukience, która więcej odsłaniała, niż zakrywała. On jak zwykle w białej koszuli, przystojny w ten chłopięcy, zawadiacki sposób. Oboje roztańczeni, roześmiani i chyba trochę wstawieni. Nie miała wątpliwości, jaki był finał tego wieczoru. Spróbowała spojrzeć na kolegę z pewnym dystansem, jak na reprezentanta wielu menedżerów średniego szczebla w J&S International. Młodzi, silni, inteligentni, single, przekonani o własnej zajebistości. Żyli tak, jakby wydawało im się, że są niezniszczalni. Praca, a po pracy siłownia, clubbing, niezobowiązujący seks, egzotyczne wycieczki, skoki na bungee i luksusowe przedmioty. Znali się na modzie, na technologicznych nowinkach, doskonale wiedzieli, co jest aktualnie na topie. W głowie Ewy pojawiło się pytanie: „Czy kumple, którym za wszelką cenę starają się zaimponować, czy kobiety, które z takim zapalem uwodzą, czy pieniądze, którymi szastają na prawo i lewo... czy to rzeczywiście nadawało ich życiu sens? Czy do samego końca będą brać i trwonić, pracować i szaleć, bawić się jak dzieci, które nigdy nie dorosły?”. Ewa nie osądzała, właściwie nawet trochę tym ludziom zazdrościła beztroski, prostoty, odrobiny szaleństwa, umiejętności czerpania z życia pełnymi garściami. „Ja zawsze byłam taka poukładana i ostrożna”. Tym bardziej nie mogła się



nadziwić temu, że tak niewiele brakowało, aby dała się złapać na wędkę facetowi, dla którego byłaby niczym innym jak jeszcze jednym trofeum do kolekcji.

Spojrzała w górę, na ciemnogrnatowe niebo upstrzone błyszczącymi punkcikami, wsłuchiwała się w pohukiwanie sowy i nagle wybuchła głośnym, niepohamowanym śmiechem. Śmiała się zgięta wpół, dopóki starczyło jej tchu, a wierzchem dłoni ocierała kąciki oczu. Jak bardzo to wszystko, co dotyczyło firmy, wydawało jej się teraz odległe! Akcje, obligacje, miary ryzyka, raporty, meetingi, Commander, ach i Albatross! Wszystko ASAP, wszystko na wczoraj, pośpiech, zgiełk i zamieszanie. Do tego te miłosne gierki, biurowe intrygi, chęć zabłyśnięcia przed innymi. Morze alkoholu, numerki na jedną noc... Jak to absurdalnie brzmiało w zestawieniu z czystym niebem, spokojem i przyrodą, która trwała taka sama od lat, od zawsze, na przekór. Jeszcze raz zerknęła na zdjęcie kolegi obejmującego rozchichotaną blondynkę, wzięła głęboki oddech i stwierdziła, że w tej chwili zupełnie jej to nie obchodzi.

\*

Schodziła po schodach powoli, ostrożnie, uważając, aby któryś ze stopni nie zaskrzypiał i nie obudził żadnej ze śpiących kobiet. Pod pachą niosła lnianą torbę, a w niej koc, blok, ołówki, akwarele, pędzelki, słoiczek z wodą. Była 5.45 — tym razem nie pozwoliła sobie na leniuchowanie, nastawiła budzik. Chciała do maksimum wykorzystać te chwile w uroczej wiosce i pobyć jeszcze trochę w samotności, zanim wszyscy wstaną. No i spodziewała się, że o poranku będzie piękne światło; cudownie byłoby uchwycić to na obrazie.

Kiedy przechodziła obok kuchni, usłyszała jakiś stuk. I jeszcze raz. W drzwiach ukazała się głowa pani Janiny wystrojonej w kremową garsonkę.

— Idziesz malować? — zapytała i zaraz przywołała Ewę dłonią. — Chodź, jeszcze herbaty się napij. I bułeczkę ci zapakuję.

— Dziękuję. Pani już na nogach, tak wcześnie?

— A tak, na mszę się wybieram. Zawsze chodzę na rano.

Ewa kiwnęła głową uprzejmie. Samej było jej z Panem Bogiem jakoś nie po drodze. Nigdy nie zastanawiała się głębiej nad swoją religią, kościół odwiedzała jedynie od święta. Gdyby ktoś ją zapytał, czy wierzy, pewnie odpowiedziałaby, że jest gdzieś pośrodku; do tej pory nie znalazł się nikt i nic, co by ją pchnęło zdecydowanie w którąś ze stron. Teraz trochę się spłoszyła, sądząc, że pani Janina będzie wypytywała o jej stanowisko bądź namawiała do udziału we mszy. Ale nic z tych rzeczy. Usłyszała tylko:

— Pomodlę się za was, za ciebie, za Magdę i Julcię. Wszystkie dobre dziewczyny jesteście, niech wam Bóg błogosławi.

Posiedziały jeszcze chwilkę przy herbacie, po czym Janina zerknęła na zegarek i oznajmiła, że teraz to już musi się pospieszyć. Ewa wyszła razem z nią,

rozdzieliły się przy furtce. Miała zamiar namalować rzekę, ale gdy mocniej się nad tym zastanowiła, doszła do wniosku, że płynąca woda nie jest zbyt łatwym tematem dla kogoś niewprawionego. Może lepiej znaleźć sobie jakiś inny obiekt na początek? Nie chciała, żeby zadanie ją przerosło i tym samym zniechęciło do dalszych prób. Odwróciła się i spojrzała na ogród Janiny. A gdyby tak... rabatkę z kwiatami? To również nie było proste zadanie, ale mimo wszystko łatwiejsze niż rzeka. A róże przepięknie kwitły, szczególnie te pnące, owinięte wokół drewnianej podpórki. Obok stała pomalowana na biało ławeczka, na niej duża konewka. Spróbowała wyobrazić sobie, jak by to wyglądało na papierze, i stwierdziła, że brakuje jeszcze jednego rekwizytu. Szybkim krokiem wróciła do domu, znalazła słomkowy kapelusz i ułożyła go starannie obok konewki. Spojrzała na swoje dzieło krytycznym okiem — całość tworzyła uroczy, sielski obrazek. Idealny.

Ewa rozłożyła koc w pewnej odległości od rabaty i wyjęła niespiesznie z torby wszystkie akcesoria. Chciała mieć je pod ręką, aby nie tracić czasu na szukanie odpowiedniego ołówka czy pędzla. Szkoda, że nie miała żadnej deski ani czegoś twardego, co nadawałoby się do podłożenia pod kartkę. Trudno, będzie musiała radzić sobie bez tego. W końcu rozsiadła się wygodnie z blokiem na kolanach i zaczęła szkicować. Wystarczyło kilka ruchów, aby na papierze pojawił się delikatny zarys ławki i kwitnących krzewów.

Przyszła kolej na tę trudniejszą część. „Jak to się robiło — najpierw tło czy może powinnam zacząć od szczegółów?”. Zdecydowała, że chyba pierwsza opcja będzie bardziej odpowiednia. Chwyciła dość szeroki pędzelek, zanurzyła go w wodzie, następnie wybrała kolory: ultramaryna, kobalt, biel. Ta mieszanka powinna pozwolić jej uzyskać naturalną, czystą barwę nieba. Nałożyła farbę na całą górną część pracy. Z początku jej ruchy były niepewne, ostrożne, ale z czasem stawały się coraz śmielsze, przestała się zastanawiać nad każdą czynnością. „To tak jak z jazdą na rowerze. Tego się nie zapomina” — pomyślała i uśmiechnęła się leciutko. Wzięła czysty pędzelek i za jego pomocą spryskała całość wodą. Przechylała blok w różnych kierunkach, farba rozlewała się i tworzyła ciekawe kształty. Nadmiar ścierała za pomocą chusteczki. Na koniec dodała kilka ciemniejszych, poziomych plamek — niczym płynące chmury. Była zadowolona z osiągniętego efektu — wyszło niezłe jak na kogoś, kto nie malował od co najmniej dwunastu lat.

Zmieniła pędzelek na węższy i zabrała się do kwiatów. Wszystkie czynności wykonywała już niemal mechanicznie, intuicyjnie dobierała farby i łączyła je ze sobą. Malując, była zrelaksowana, wyciszona, skupiona. Kiedyś poświęcała się temu zajęciu w każdy weekend, potrafiła malować przez całe wakacje u dziadków. Jak to się stało, że przestała? Zawsze tłumaczyła to sobie brakiem czasu — matura, studia, egzaminy, później praca, urządzenie mieszkania. Ale czy aby na pewno tylko o to chodziło? Przecież są osoby, które mają tyle samo, a nawet więcej

obowiązków, a jakoś znajdują czas na pielęgnowanie swoich pasji. Może należało szukać przyczyny głębiej, choćby w tym, jak wychowali ją rodzice? Jej prace im się podobały, nigdy jednak nie wzięli pod uwagę tego, że malarstwo mogłoby się dla niej stać czymś więcej niż tylko hobby. Nie zachęcali, nie wspierali, nie okazywali entuzjazmu, gdy opowiadała im o konkursach plastycznych. Do dziś pamiętała słowa ojca, gdy wielkimi krokami zbliżał się termin złożenia aplikacji na wybrane uczelnie, a ona rysowała coś w swoim szkicowniku: „Skończ już z tymi głupotami!”. Czy to rzeczywiście były głupoty? Dla niej nie... dla nich być może tak. Oboje byli cenionymi prawnikami, świetnymi w swoim zawodzie. Większość czasu spędzali w swoich kancelariach, przedkładając karierę nad życie rodzinne. Ale jednego nie można było im odmówić: oboje odnieśli zawodowy sukces, byli znani i cenieni w swojej branży. Matka zajmowała się sprawami z zakresu nieruchomości, ojciec natomiast był adwokatem od spraw rodzinnych. Niezwykle opanowany na sali sądowej i w obecności swoich klientów, w domu często pozwalał sobie na bolesne uwagi pod adresem Ewy. Ileż to razy słyszała od niego, że ma się wziąć za siebie, że samo nic się nie robi, że nie chce mieć w domu fajtlapy i darmozjada! Nawet dziś śniły jej się te awantury, gdy z jakiegoś powodu na jej świadectwie pojawiła się ocena dobra, zamiast bardzo dobrej lub celującej. Musiała być we wszystkim najlepsza, wzorowa. Teraz to rozumiała: ojciec bał się, że pójdzie w ślady niepokornego brata, i za wszelką cenę chciał ją przed tym ustrzec. Chciał córki, z której może być dumny i o którą nie będzie się musiał martwić w przyszłości. „A czy można winić rodziców za to, że troszczą się o byt swojego dziecka? Że zależy im na tym, aby zdobyło wykształcenie i dobry zawód?”

Ewa westchnęła ciężko, dłoń jej się omsknęła i na środku obrazka pozostała paskudna kreska. „Trudno będzie to zamalować”. Zawsze była ambitna i lubiła myśleć, że wszystkich wyborów dokonywała w życiu samodzielnie. Wierzyła, że to, gdzie jest teraz, zawdzięcza wyłącznie sobie... Ale czy rzeczywiście? Osiągnęła już wiek, w którym mogła spojrzeć na swoje życie z pewnej perspektywy. Nie była do końca zachwycona tym, co zobaczyła. Czy przypadkiem nie szła ścieżką, którą miała wytyczoną od najmłodszych lat, bez pytania jej o zdanie? Czy cała ta harówka nie sprowadzała się do udowadniania rodzicom i pewnie nawet samej sobie, że jest coś warta? W zasadzie tylko takie życie znała: wieczną pogoń za sukcesem, uznaniem, pieniędzem. Miała te swoje wywalczone stypendia, dyplomy, kolejne awanse. Skoro to był tylko jej wybór, to powinna być szczęśliwa. Dlaczego więc teraz czuła, że czegoś jej brakuje? Dlaczego najbliżej tego uczucia spokoju i spełnienia była właśnie w tej chwili, malując kwiaty w jakiejś dziurze na Podkarpaciu? Po raz pierwszy miała dla siebie tyle czasu, nie rozpraszał jej dzwoniący telefon, nie słyszała piszczącego dźwięku wyskakujących powiadomień o sprawach niecierpiących zwłoki. Niczego nie pucowała, nie odkurzała, nie

prasowała. Nie doszkalala się, nie zapisywała na kursy, nie czytała poradników napisanych przez wybitnych specjalistów, nie uczestniczyła w żadnych warsztatach. Po prostu... była. I było jej z tym dobrze. Czuła, że to wszystko, co stanowiło fundament jej dotychczasowych wartości, nagle zaczyna się niebezpiecznie chwiać. Było to uczucie odrobinę niepokojące, ale nie nieprzyjemne. Na nowo poznawała samą siebie. Nie mogła oprzeć się myśli, że dzień, w którym otrzymała telefon od niesympatycznej policjantki, wywołał efekt domina, którego ostatnim elementem były te akwarele znalezione w szufladzie biurka. Symbol jej pasji z dzieciństwa, który wywołał całą lawinę wspomnień i dał jej do myślenia. Zaczęła powoli oddzielać w myślach wszystkie „muszę” od „chcę” i im bardziej zbliżała się do ukończenia pejzażu, tym wyraźniejszy stawał się ten obraz w jej głowie — obraz tego, jak mogłaby wyglądać jej codzienność, gdyby częściej wsłuchiwała się w swoje własne pragnienia i uciszała niezdrową wręcz ambicję. Czy byłaby menedżerką w J&S International? Pewnie tak, naprawdę ceniła sobie tę pracę. Ale... „No właśnie...” — westchnęła, kończąc ostatni kwiat.

Wstała, oparła blok o pień drzewa, odeszła kilka kroków dalej i obejrzała swoje dzieło z pewnej odległości. Była zadowolona. Może nie był to najładniejszy obrazek, jaki kiedykolwiek stworzyła, ale jak na tak długą przerwę, wydawał się okej... Poza tym nie miała więcej czasu, była pewna, że Magda i Julia zaraz wstaną. Ciekawe, co będą chciały robić przed południem, może znów wybiorą się nad rzekę? Po obiedzie Ewa miała zamiar zarządzić powrót, zależało jej na tym, żeby dojechać do Krakowa o w miarę przyzwoitej porze.

Wróciła do domu i znów zastała w kuchni Janinę. Była tak zajęta malowaniem i swoimi myślami, że nawet nie zauważyła, kiedy starsza pani wróciła z kościoła. Teraz już miała na sobie mniej odświętne ubranie i fartuch i z zapalem mieszała składniki na ciasto. Uśmiechnęła się na widok Ewy i oznajmiła:

— Upiekę jeszcze jeden placek, to weźmiecie sobie do Krakowa po kawałku.

— Z truskawkami? — domyśliła się Ewa.

— A jakże. Z mężem się podzieliś. Jak szło malowanie? Pokażesz?

Ewa ostrożnie wyciągnęła rękę z obrazkiem; jeszcze porządnie nie wysechł. Janina założyła okulary, które dyndały jej na szyi zawieszzone na łańcuszku, przyjrzała się i pokiwała głową z uznaniem.

— Piękny. Moje różyczki... te kolory, takie żywe. Masz, Ewuś, talent.

— Podoba się pani? — Ewa w sekundzie podjęła decyzję. — Niech pani zatrzyma. To prezent, za gościnę.

Staruszka mocno uścisnęła Ewę, uważając, żeby nie wybrudzić jej dłońmi uwalanymi w mące.

— Dam oprawić, stary Janowski mi ramkę zmajstruje. Przy wejściu powieszę.

Ewa czuła się dumna. Słowa uznania zawsze sprawiały jej przyjemność,

a tym razem szczególnym wyróżnieniem było to, że wyszły z ust Janiny — kobiety, od której były jakieś niewytłumaczalne ciepło, spokój i mądrość, której na próżno by szukać w podręcznikach. „Zupełnie jak moja babcia”. Nagle dopadły ją wyrzuty sumienia. „Może powinnam zadzwonić do dziadków, znów ich odwiedzić? Tak dawno ich nie widziałam, więc gdy tylko wrócę z Dublina... Właśnie, tak zrobię” — obiecała sobie. Zaparzyła kawę i rozsiadła się wygodnie.

— Niech mi pani opowie coś ciekawego. Może coś o sobie? O życiu tutaj? — poprosiła Janinę.

— Dziecino, a co tu opowiadać? Życie toczy się powolutku...

— Ale ja bym właśnie o tym „życiu powolutku” chciała posłuchać. Od dawna pani tutaj mieszka? — nalegała Ewa.

— Urodziłam się w tym domu. — W jej głosie słychać było wzruszenie. — Dobre miałam dzieciństwo, skromne, ale dobre. Wtedy jeszcze mieliśmy sad, poza tym ojciec hodował zwierzęta, kury, króliki. Ręce zawsze mieliśmy pełne roboty. Matka chciała dla mnie szybkiego, bogatego zamążpójścia. A ja się uparłam, że nie będę jak moje starsze siostry, chciałam się uczyć. Wyjechałam do krewnej, do Warszawy, chodziłam do szkoły. Zaczęłam pracę w zakładzie świętej pamięci Zawilcowej, ona nauczyła mnie szyć. Boziu, jakie cuda myśmy tam szyły i sprzedawały w sklepie! Nigdzie nie znajdziesz takich sukienek, co za materiały, fasony... a płaszcz! Płaszcz kosztował fortunę, za to służył przez lata, nie to co te dzisiejsze szmatki. Piętnaście lat u niej przepracowałam. Później matka podupała na zdrowiu, wróciłam tutaj pomóc. Nie było musu, siostra mieszkała niedaleko, ale ja sama chciałam. Jakoś mnie to wielkie miasto zmęczyło, zatęskniło mi się za domem. I po powrocie nie było źle, miałam fach w ręku, mogłam sama się utrzymywać, choć zarobki już nie takie jak w stolicy. — Janina na moment przestała mieszać, patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem, jakby rzeczywiście przeniosła się w tamte czasy. — Zygmunta poznałam na potańcówce, szybko się pobraliśmy. Oboje już niemłodzi, to i nie było co zwlekać. Na komodzie stoi jego zdjęcie, możesz sobie zerknąć. Dobry był z niego człowiek. Mówili tu na niego Złota Rączka, wszystko potrafił zrobić. Odszedł cztery lata temu... glejak mózgu. Nie było szans. — Zwiesiła głowę.

— Przykro mi. A... dzieci?

Pokręciła przecząco głowę.

— Już było za późno. Ale nie mam żalu. Bóg ma dla ludzi różne plany, widocznie dla nas tak chciał. Mam dobrych sąsiadów, nadal wykonuję dla nich drobne robótki. Magda zawsze o mnie pamięta. Nie czuję się samotna, mam co robić. I oby tak zostało do końca.

— Jest pani zadowolona ze swojego życia — stwierdziła Ewa.

— Ano, jestem. Bo wiesz, Ewuś, to jest wielkie szczęście móc spojrzeć wstecz, na te wszystkie lata, i stwierdzić: żyłam tak, jak sama sobie obmyślałam.

Powolutku, ale dobrze.

Ewa pokiwała głową zamyślona. Janina chyba miała zamiar coś jeszcze dodać, ale nie zdążyła, bowiem w tej chwili do kuchni wpadła Julia, w sekundzie burząc cały ten nostalgiczny nastrój. Obdarowała obecne szybkimi całusami, błyskawicznie pochłonęła bułkę z dżemem i pognała do sąsiadów.

— Bo ich kotka będzie miała dzieci i muszę sprawdzić, czy już się urodziły.

Po chwili do kuchni przykuśtykała Magdalena. Na widok obrazka namalowanego przez koleżankę zagwizdała głośno.

— Wow! Kto by się spodziewał... Przyznaj się, jakie talenty jeszcze skrywasz, co? — Zaczepnie szturchnęła Ewę.

Janina wstawiła blachę do piekarnika, zanotowała czas, a następnie wszystkie trzy przeniosły się do ogródka, każda z książką w ręce. Czytały w spokoju mniej więcej pół godziny, gdy usłyszały dźwięk dzwoneczka — to Julia z córką sąsiadów ścigały się na rowerach. Magdalena podniosła wzrok znad książki i spojrzała z rozrzewnieniem w kierunku dziewczynek.

— Ona chyba nigdy nie przestanie mnie zadziwiać — powiedziała bardziej do samej siebie niż do swoich towarzyszek. Po chwili namysłu zapytała: — Wiecie, jakie pytanie zadała mi wczoraj przed snem? Mówi mi tak: „Mamuś, wyobraź sobie, że masz przyjaciółkę, taką od serca. Jedna z was może być mądra, a druga piękna. To co byś wybrała? Tylko mi nie mów znowu, że wszystkie jesteśmy ładne!”.

— Trudne pytanie — stwierdziła Ewa.

— Jak cholera. Kurka, pół nocy nie spałam, zastanawiając się nad odpowiedzią. Ona chyba też, bo wstała jakaś taka markotna. Już miałam na końcu języka, że urodę można stracić, a rozum pozostaje, a tu nagle dostaję taki tekst: „Mamuś, ja bym chyba wolą być mądra. Bo wiesz, gdybym miała piękną przyjaciółkę, to miło by mi się na nią patrzyło. Czy to bardzo egoistyczne z mojej strony? Bo ona na mnie taką brzydką musiałaby patrzeć...”. Tylko dziecko mogłoby pomyśleć w ten sposób.

— Wyjątkowe dziecko — podkreśliła Janina. — Twoja córa ma piękne wnętrze i to w dużej mierze dzięki tobie. Ty ją nauczyłaś takiego patrzenia na świat. — Starsza pani pociągnęła nosem. — Kochana Julcia.

Ewa próbowała na powrót skupić się na czytaniu, ale mimo wartkiej akcji przychodziło jej to z trudem. Kiedy ostatnio brała udział w podobnej rozmowie? Miała wrażenie, że w ciągu tego jednego weekendu rozmawiała i zastanawiała się więcej niż przez ostatnie dziesięć lat swojego życia. Sama atmosfera tego miejsca, w którym czas jakby płynął wolniej, sprzyjała wyciąganiu tematów, które na co dzień spychało się gdzieś na samo dno swojej świadomości. Tutaj wszystko przychodziło naturalnie, z niewymuszoną serdecznością, otulone siateczką dobrych intencji i ludzkiej życzliwości. W towarzystwie tych kobiet czuła się taka

odsłonięta, prawdziwa i choć było to dla niej coś zupełnie nowego, musiała przyznać, że chyba jej się podoba. Dobrze jej było z Magdą i Janiną, które przecież wcale nie miały łatwo, a mimo to podchodziły do życia z ogromnie pozytywnym nastawieniem i uśmiechem. Chciała być wśród nich, słuchać, mówić...

Nagle Janina poderwała się na równe nogi z prędkością, jakiej nikt by się po niej nie spodziewał.

— Święci Pańscy! Placek!

\*

Ewa włączyła radio głośniejsz niż zwykle i bębniła palcami o kierownicę do rytmu piosenki. Nie mogła przestać się uśmiechać na wspomnienie wczorajszego wieczoru. Mieszkanie zastała nienagannie posprzątane, Jacek nawet wykąpał Browara, dzięki czemu jego sierść z twardej i szorstkiej zmieniła się w miękką, aksamitną. Poza tym pies cudnie pachniał — nawet nie szkodzi, że jej ulubionym szamponem z odżywką. Mąż skomplementował jej delikatną opaleniznę, a następnie kręcił się zaintrygowany wokół białego pakunku. Gdy wreszcie wyłożyła zawartość na talerzyki, oczy mu się zaświeciły: placek pani Janiny, zwykły biszkopt z pianką, galaretką i dużymi kawałkami truskawek, po prostu rozpływał się w ustach. Lekki, bez czekolady i tony cukru, został w pełni zaaprobowany przez Ewę. Zrobiła im po drinku, a następnie rozsiedli się razem na kanapie, zajadali plackiem i rozmawiali. A właściwie to Ewa mówiła, i to z ogromnym ożywieniem, co należało do rzadkości.

— Ten pokój, w którym nocowałam... przeuroczy. Pamiętasz sypialnię w domu moich dziadków? Tak bardzo mi ją przypominał. A Janina to chyba najbardziej gościnna osoba, jaką znam. Wiesz, że praktycznie sama zajmuje się takim ogromnym ogrodem? Tylko sąsiad pomaga jej w koszeniu trawnika, ale te wszystkie kwiaty, ogródek warzywny...

Ewa z premedytacją pominęła część dotyczącą rozmów z Magdaleną i jej własnych przemyśleń. Czowała, że jeszcze za wcześnie, żeby się tym dzielić, najpierw sama musiała sobie to porządnie poukładać. Za to nie mogła opanować potoku słów, gdy relacjonowała powrót do swojej pasji sprzed lat, tego, jak się czuła, znów trzymając pędzel w dłoni. W pewnym momencie zorientowała się, że Jacek wpatruje się w nią i od dłuższego czasu nic nie mówi.

— Przepraszam... czy ja cię nudzę? — zmieszała się.

— Ależ skąd, kontynuuj! Po prostu miło cię widzieć tak wypoczętą, zadowoloną. — Przyciągnął ją do siebie ramieniem i pocałował w czubek głowy.

Rzeczywiście po raz pierwszy od dawna czuła się wypoczęta i zadowolona. To uczucie nieco osłabło, gdy przekroczyła progi J&S International. Szła korytarzem i zastanawiała się, gdzie podziało się zwykle podniecenie i gotowość do działania towarzyszące jej w każdy poniedziałek. Miała nieodparte wrażenie, że

na piętrze coś się zmieniło. Ale przecież biurka, krzesła, szafki, wszystko było na swoim miejscu. Stwierdziła, że przeszkadza jej panujący wokół półmrok — grzechem było siedzieć w takich ciemnościach, gdy za oknem tak pięknie świeciło słońce. Rozsunęła żaluzje i obróciła nieznacznie jeden z monitorów, aby promienie nie padały na ekran. Dalej było coś nie tak... spojrzała na swoją korkową tablicę i kilkanaście szybkimi ruchami pozbyła się większości notatek, które tak naprawdę nic nie wносиły do jej codzienności: fragmentów regulaminów, firmowych haseł mających motywować do pracy, listy celów, szkoleń, które bardzo chciała ukończyć, a na które wciąż brakowało miejsc. Podpięła smartfon do komputera, odnalazła jedno ze zdjęć zrobionych w sobotę, wydrukowała je w formacie A4 i przypięła do tablicy. To nic, że z okna miała widok na parking; teraz w każdej chwili mogła zerkać sobie na płynącą rzekę i błękitne niebo. Podobne zdjęcie ustawiła sobie na pulpicie.

Ani się obejrzała, gdy cały jej zespół był już obecny i kolejne osoby zabierały się do pracy. Ona też zmusiła się do skupienia na obowiązkach, rutynowych czynnościach, które wykonywała na początku każdego tygodnia. Pracowała mniej więcej do jedenastej, raz tylko wychodząc do kuchni po kawę. Było całkiem spokojnie, nawet Paulina przebywająca na całodniowym szkoleniu z Excela i Outlooka nie mogła wytrącić jej z równowagi. Miała wręcz idealne warunki do pracy. Teraz powinna zabrać się do przeglądania materiałów, które przesłali jej koledzy zaangażowani w projekt Albatross. Po kilku minutach złapała się na tym, że czyta jedną stronę już trzeci raz i nadal nie potrafi wyłapać sensu. Potrzebowała przerwy, musiała oderwać się od tego choć na moment.

Wyszukała w Google sklep internetowy z materiałami dla artystów i przepadła. Porównywała produkty, zastanawiała się, co może jej się przydać, i dodawała kolejne rzeczy do koszyka. Kilka razy podskoczyła nerwowo, gdy ktoś przeszedł za jej plecami; nie chciałaby zostać przyłapana na oglądaniu pędzelków i zestawów farb. W końcu sama nieraz udzieliła komuś reprimendy za korzystanie ze stron niezwiązanych z tym, co robili, w czasie pracy. Niestosowanie się do własnych zasad mogłoby poważnie podważyć jej autorytet. Mimo to, gdy skończyła i kliknęła „Zatwierdź zamówienie”, cieszyła się jak dziecko na widok worka pełnego prezentów. Farby olejne na razie sobie odpuściła, nie miała nawet sztalug, zresztą to byłoby zbyt czasochłonne. Kupiła za to mnóstwo bloków rysunkowych, bloków do akwareli, ołówki... znalazła też książkę na temat różnych technik malarskich. Miała już wszystko, co może się przydać początkującej artystce. Czuła, że zamówienie materiałów plastycznych było świetnym pomysłem. Dobrym początkiem, czymś, co może znów stanie się jej hobby, sposobem na zachowanie równowagi, na relaks, wyrażenie tego, co zawsze chowała głęboko w sobie. Nie była pierwszą, która wpadła na to, że dobrze jest po godzinach poświęcić się czemuś zupełnie innemu — najlepiej temu, do czego ma się



wrodzony talent, w czym chciałoby się rozwijać. Przypomniła sobie o kiermaszu charytatywnym, na którym pracownicy wystawiali swoje własnoręcznie zrobione przedmioty. Może kolejnym razem i ona będzie mogła zaoferować coś stworzonego przez siebie?

Zbliżała się pora lunchu. Nagle Ewie przyszedł do głowy pewien pomysł. Wpisała w okienko komunikatora: „Anita Zduńczyk”. Była dostępna! Szybko napisała powitanie i nacisnęła Enter, zanim dopadłyby ją jakieś wątpliwości:

**Ewa Zalewska:** *Cześć. Co słychać?*

**Anita Zduńczyk:** *Heeej! Dzień jak co dzień :) A u Ciebie?*

**Ewa Zalewska:** *Dość spokojnie, zaraz będę się zbierała na lunch. Może miałabyś ochotę dołączyć?*

**Anita Zduńczyk:** *Czemu nie :) Co powiesz na pierwsze piętro? Tam dziś prawie wszyscy na jakimś zebraniu, w kuchni pustki.*

**Ewa Zalewska:** *OK. Za 15 minut?*

**Anita Zduńczyk:** *Jasne! Do zobaczenia*

**Ewa Zalewska:** *Do zobaczenia :)*

Serce kołatało jej z emocji i wciąż nie mogła w to uwierzyć: sama z własnej inicjatywy umówiła się na lunch z koleżanką. Z jeszcze większym zaskoczeniem stwierdziła, że naprawdę cieszy ją perspektywa spędzenia kwadransa w miłym towarzystwie. „Towarzystwie, które sama sobie wybrałam”. Na pogawędki z przypadkowymi osobami, które mogłyby wpaść na pomysł, aby przysiąc się do jej stolika, nadal nie zamierzała sobie pozwalać.

Od razu dostrzegła Anitę. Była ubrana dość swobodnie, o wiele swobodniej niż Ewa, ale wciąż w zgodzie z obowiązującym w firmie dress code'em: miała na sobie bluzkę w granatowe marynarskie paski, jasne spodnie za kolano i baleriny. Na widok Ewy uśmiechnęła się szeroko i cmoknęła ją w policzek, jakby przyjaźniły się od dawna. W kuchni przełożyły z pojemników na talerze przygotowane w domu proste dania — sałatkę z indykiem i zapiekankę — i zajęły wolny stolik.

— Opowiadaj! Co u tego uciekiniera Browara? Jak minął weekend?

Anita raz po raz zadawała pytania, zręcznie prowadziła rozmowę. Ewa cieszyła się, że ma o czym mówić. Chętnie zrelacjonowała raz jeszcze to wszystko, co już opowiedziała mężowi. Dowiedziała się, że koleżanka weekend spędziła u siostry i jej dzieci. Mówiła o tym raczej niechętnie, z jakimś dziwnym smutkiem, Ewa nie ciągnęła więc tematu. Zamiast tego zaczęła pytać o to, co naprawdę ją interesowało: o pracę w dziale szkoleń. To był jeden z niewielu działów, w którym nie pracowała, nie miała nawet okazji przyjrzeć mu się z bliska podczas licznych cross trainingów czy *job shadows*. Ze szkoleniowcami miała styczność tylko jako uczestniczka.

— Jest naprawdę spoko — przyznała Anita. — Zaczynałam w HR, po

półtora roku przeszłam do działu szkoleń i to była chyba najlepsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjęłam.

— Nie nudzi cię to? — zapytała Ewa i zaraz się poprawiła, zdając sobie sprawę, jak to nieuprzejmie zabrzmiało. — Chodzi mi o to, że każda kolejna sesja szkoleniowa jest podobna, prawda? W kółko to samo.

— I tak, i nie. Prawda, że prezentowane informacje są podobne. Ale w ostatnich miesiącach nowi menedżerowie wprowadzili sporo zmian, od niedawna każdy jest odpowiedzialny nie tylko za swoją działkę, ale także za cały proces: przygotowywanie prezentacji, uaktualnianie źródeł, tworzenie harmonogramu i oczywiście całe szkolenie. Sama też ciągle się doszkałam. No i to, jak przebiegnie sesja, w dużej mierze zależy od grupy, a każda grupa jest zupełnie inna.

— Nie chce mi się wierzyć, że z każdym dobrze ci się współpracuje — stwierdziła Ewa, przypominając sobie kilka incydentów ze szkoleń, które odbywała w przeszłości.

— Och, pewnie, że od czasu do czasu trafi się jakiś dupek, który za wszelką cenę chce podważyć moje kompetencje, wytrącić z równowagi i ośmieszyć przed całą grupą. Ale to raczej rzadkość, na ogół jest spokojnie, nawet sympatycznie. I zabawnie. — Anita się roześmiała.

Poza tym Ewa dowiedziała się, że Anita ma sporo wolnego, ponieważ nadgodziny praktycznie się nie zdarzają.

— Obowiązków jest sporo, ale i tak w przerwach pomiędzy sesjami mam wystarczająco dużo czasu, żeby sobie wszystko przygotować, a nawet popracować nad jakimiś własnymi pomysłami i projektami. Po godzinach zostałam może ze dwa razy, gdy musiałam zastąpić chorą koleżankę — mówiła. — Teraz pracuję nad takim eksperymentalnym minikursem online: „Zarządzanie czasem dla kobiet” i tworzę plannery do druku. Tylko pst, to na razie tajemnica. Jeszcze nie wiem, co z tego wyjdzie i czy w ogóle komuś taka forma przypadnie do gustu.

Ewę zaciekał kurs, sama kilkakrotnie brała udział w webinarach na temat organizacji czasu i temat nie był jej obcy. Zaintrygowała ją również struktura działu szkoleń, szczególnie po zmianach kadry menedżerskiej. Miała świadomość, że ten konkretny dział znacząco się różni od innych, trudno jej jednak było wyobrazić sobie zupełny brak nadgodzin. „A gdyby tak przekonać się na własnej skórze?” Może brakowało jej tego uśmiechu i swobody w rozmawianiu z ludźmi, jaką posiadała Anita, ale przecież potrafiła z pełnym profesjonalizmem zaprezentować dane czy sprowokować kolegów do dyskusji. Poradziłaby sobie. Zanotowała w pamięci, aby przyjrzeć się możliwościom próbnej, choćby miesięcznej, wymiany i porozmawiać na ten temat z Wojciechem, zaraz jak wróci z Dublina. Chciała zapytać jeszcze o kilka szczegółów, gdy Anita spojrzała na leżącego obok iPhone’a i poderwała się z krzesła.

— My tu gadu-gadu, a na mnie grupa już czeka!

— *Shit!* — Ewa się przeraziła. — Miałam wyskoczyć na kwadrans, a nie ma mnie już prawie czterdzieści pięć minut. Teraz będę musiała nadrabiać.

— Otóż to. — Anita szybko zgarniała bałagan ze stołu. — Wiesz co... chciałabyś wpaść do mnie jutro wieczorem? Koło dziewiętnastej? Będą jeszcze dwie moje koleżanki — dodała mimochodem.

— Eee... to znaczy... jeszcze nie wiem co... — Ewa spanikowała i próbowała się jakoś wykręcić. Na spotkanie z samą Anitą zgodziłaby się bez wahania, nie była jednak pewna, czy odnajdzie się w towarzystwie jej koleżanek, o których przecież nic nie wiedziała.

— Spokojnie! — Anita dostrzegła jej reakcję. — To zwykły babski wieczór: oglądanie *Bridget Jones*, malowanie paznokci i procenty. Jedna z dziewczyn niedawno zaczęła pracę w moim dziale, druga to jeszcze koleżanka ze studiów, jest księgową. Spoko babki, zobaczysz.

— Okej... dziękuję za zaproszenie. Dam ci znać jutro esemesem, dobrze? Nie wiem jeszcze, o której skończę pracę.

— Jasne. Masz blisko, bliżej już się nie da, więc możesz przyjść i wyjść, kiedy tylko ci pasuje.

Rozstały się przy windach. Ewa wcisnęła przycisk, drzwi windy się rozsunęły. Wzdrygnęła się na widok osoby w środku, ale zaraz się opanowała. Wyprostowała się, uśmiechnęła szeroko i weszła do środka. Sebastian jakby się skulił i odsunął w przeciwległy róg.

— Cześć! — przywitała się głośnie.

— Cześć! — odparł ledwo dosłyszalnie.

— Gratulacje! — powiedziała, myśląc o jego sobotnim imprezowaniu z Pauliną.

Kolega nic nie odpowiedział, za to sprawiał wrażenie, jakby chciał się schować w najgłębszej dziurze, gdzie nikt, a w szczególności Ewa, nie mógłby go znaleźć. Uciekał wzrokiem i wyraźnie nie miał ochoty rozmawiać. Pierwszy raz widziała go takiego, zupełnie pozbawionego pewności siebie. „Nie może być aż tak głupi. Przecież wrzucając zdjęcie na Facebooka, musiał się liczyć z tym, że je zobaczę”. Tylko jedno przychodziło jej do głowy: po imprezie coś musiało pójść nie tak. W ten sposób mogłaby się zachowywać grzeczna dziewczynka, która pozwoliła sobie na chwilę słabości, dała się wykorzystać, a następnego dnia paliłaby się ze wstydu i upokorzenia. To nie w stylu Seby, on chodził dumny jak paw, gdy udawało mu się dopaść kolejną seksowną zdobycz. O co więc chodzi? Szkoda mu było tego, że się poddał i zaprzepaścił swoje szanse na uwiedzenie Ewy? A może Paulina zmiażdżyła i jego? Wykorzystała, zabawiła się, przeżyła, przemielila i... wypluła jak nic niewartego śmiecia? Czowała, że na te pytania nie dostanie jasnej odpowiedzi, ale jednego była pewna — Sebastiana ma z głowy.

— Do zobaczenia — posłała oszołomionemu koledze całusa dłonią i wysiadła na swoim piętrze.

\*

— Ewa? Podejź tu na moment.

Przeszła z sypialni do salonu, po drodze zapinając guziki bluzki. Szykowała się na babski wieczór u Anity; była już prawie dwudziesta, więc pewnie przybędzie jako ostatnia. Oby Jacek miał jej coś ważnego do przekazania.

Jej mąż siedział na kanapie z laptopem na kolanach. Na widok żony przesunął się i poklepał miejsce obok.

— Patrz. Michał przed chwilą mi przysłał — oznajmił i uśmiechnął się szeroko.

Spojrzała na otwartą fotografię: Iza w szpitalnej koszuli, obejmujący ją Michał i... malutkie białe zawiniątko.

— Urodziła? Już?! — Ewa była mocno zaskoczona. Nie pamiętała, kiedy dokładnie koleżance wypadał termin, ale dałaby sobie rękę uciąć, że miała jeszcze sporo czasu.

— Aha. Całe dwa tygodnie przed terminem. Na szczęście wszystko w porządku, Kuba to silny chłopak.

„Kuba... a więc tak mu dali na imię”. Choć bardzo tego chciała, nie potrafiła przyznać, że dziecko jej się podoba. Noworodek był czerwony, pomarszczony i wciąż jeszcze opuchnięty po długim i trudnym porodzie. Za to Iza... Ewa wpatrywała się jak urzeczona. Widać było, że młoda mama jest ogromnie wycieńczona i niewyspana, mimo to bił od niej jakiś przedziwny blask. Tuliła maleństwo z taką czułością i dumą, jakby trzymała w ramionach największy cud świata. Michał patrzył zachwycony na swoją żonę i syna, do szaleństwa zakochany w obojgu. Nie wątpiła, że bez wahania wskoczyłby za nimi w ogień. Ewa nie mogła napatrzeć się na ten obrazek. Tyle miłości i dobra na zaledwie jednym ujęciu. Przypomniała sobie zdanie, które przeczytała kiedyś w jakimś artykule: „Szczęścia nie można kupić, ale można je sobie urodzić”. Wtedy to stwierdzenie wydało jej się głupie; teraz chyba już rozumiała, co autor miał na myśli.

— Musimy... musimy im pogratulować. I odwiedzić, i kupić coś dla maluszka — wykrztusiła w końcu.

— Gratulacje już przesłałem. Oczywiście, że ich odwiedzimy, ale to w swoim czasie. Niech wypoczną i nacieszą się sobą — odparł Jacek, zerkając uważnie na żonę.

— Jasne, masz rację. — Ewa nadal patrzyła na zdjęcie. Najchętniej wydrukowałaby je sobie i przykleiła w jakimś widocznym miejscu, ale Jacek chyba by pomyślał, że zwariowała. Znał jej stanowisko w kwestii rodzicielstwa. „A może gdy ma się swoje, to jest inaczej? Kocha się tę część siebie, nawet jeśli

nie od pierwszego wejrzenia, to powoli, pomalutku...” — przemknęło jej przez głowę i sama się tego przeraziła. Nigdy nie myślała w ten sposób. Własne dziecko kojarzyło jej się raczej z długoterminową inwestycją, przy czym nigdy nie wiadomo, czy ogromny wysiłek włożony w jego wychowanie zaprocentuje tak, jak twórca sobie wymyślił. Nie sądziła, że jedno zdjęcie może wywołać w niej tak silne, nieznane dotąd emocje. Kuba, ten pomarszczony maluszek, był dla swoich rodziców darem, spełnieniem marzeń, wcieleniem ich miłości. Kimś najważniejszym i najcenniejszym, o kogo mieli się troszczyć już zawsze, do końca życia i kochać bezwarunkowo, kimkolwiek nie stałby się w przyszłości.

— Ewka? Czy ty się przypadkiem dokądś nie wybierałaś? — Głos Jacka przywołał ją do rzeczywistości.

— A tak, do sąsiadki — poderwała się z kanapy.

— Do sąsiadki? — Jacek wytrzeszczył oczy. — Ale której? Znasz kogoś z naszego bloku? I po co? — zasypał ją pytaniami.

— Później ci wyjaśnię, jestem już spóźniona! — Odkrzyknęła już z korytarza. Chwyliła przygotowaną wcześniej butelkę wina i po chwili pukała do identycznych drzwi wejściowych.

Otworzyła jej uśmiechnięta Anita i zaprosiła dalej, do niewielkiego salonu. Likier drzemał zwinięty w kłębek na swoim posłaniu w przedpokoju i zupełnie zignorował gościa. Tak jak Ewa przewidywała, dwie koleżanki były już obecne i teraz zostały sobie przedstawione. Szybko się dowiedziała, że śliczna, młodziutka Sylwia również pracuje w ich firmie i niebawem wychodzi za mąż, natomiast starsza — czarnowłosa Karolina — prowadzi własne biuro rachunkowe. „Ciekawe towarzystwo”. Miała pewne obawy co do tego, czy uda im się porozumieć, na szczęście lody bardzo szybko zostały przełamane: przyniesione przez nią wino powitano z entuzjazmem, Anita od razu wyjęła kieliszki. Na niski stolik wjechały proste i smaczne przekąski — gofry z bitą śmietaną i owocami, muffiny, kruche ciasteczka. Widocznie żadna z kobiet nie przejmowała się liczeniem kalorii, a może na ten jeden wieczór udzieliły sobie dyspensy. Wszystkie były szczupłe i zadbane. Ewa przypominała sobie, jak Julia zareagowała na jej stwierdzenie, że bez czekolady można się obejść („Jej, no można, ale po co?”) i skusiła się na jedną babeczkę. Nie pożałowała, były przepyszne! Anita oprowadziła ją po swoim mieszkaniu, dzięki czemu mogła trochę lepiej poznać swoją sąsiadkę. Urządzone było prosto i niezbyt kosztownie, większość mebli pochodziła z Ikei. Tym, co tworzyło niepowtarzalny klimat, były liczne pamiątki z podróży, poustawiane i porozwieszane gdzie tylko się dało: pocztówki, drewniane figurki, muszelki, porcelanowe naczynia, kapelusze, wachlarze, oryginalna biżuteria.

— To przywiozłam z Egiptu. A ten naszyjnik jest z Hiszpanii, z zeszłego roku — pokazywała i do każdej pamiątki dodawała kilka słów komentarza. Ewa w pewnym momencie przestała liczyć, ile różnych miejsc zwiedziła koleżanka, po

prostu słuchała i oglądała. Sama zjeździła spory kawałek świata, ale to było nic w porównaniu z doświadczeniem Anity. Ta rzadko korzystała z ofert zorganizowanych wycieczek, zwykle planowała swoje wyjazdy na własną rękę, próbowała poznać zwyczaje i kulturę mieszkańców innych krajów „od kuchni”. Jej opowieści były pasjonujące.

— Powinnaś to wszystko spisać i wydać w formie książki — stwierdziła Ewa. — Autostopem do Albanii... przecież to świetny materiał!

— Eeee, daj spokój. Nic takiego. — Anita pokręciła głową. — Ale miło mi, że tak pomyślałaś.

— Mówię serio. Pierwsza bym kupiła twoją książkę.

Wróciły do pozostałych dziewczyn, dołączyły sobie wina i rozmawiały, rozmawiały, rozmawiały. Ewa natychmiast została zaakceptowana i dość dobrze czuła się w tym kobiecym gronie. Poruszały miliony różnych tematów: od pielęgnacji włosów, przez modę, diety i trenerów personalnych, po ulubione książki i filmy. Anita zapaliła świece zapachowe i włączyła nastrojową muzykę, na stole pojawiły się nowe smakołyki i kolejne butelki. Sylwia opowiedziała im o swoich obawach w związku z organizacją wesela, później doradzały jej wspólnie w kwestii fryzury i dodatków. Być może Ewa i ze znajomymi Jacka mogłaby się dogadać — z Izą, Moniką i jeszcze kilkoma innymi koleżankami? „Prowadzimy nieco odmienny styl życia, ale przecież to w gruncie rzeczy takie same, młode i sympatyczne kobiety”. Nie mogła się pozbyć myśli, że to głównie z jej winy ich stosunki są tak luźne, w końcu sama kiedyś założyła, że nie warto się starać, zwykła uprzejmość ze względu na Jacka wystarczy. Ośmielona tak miłym przebiegiem wieczoru nagle nabrała ochoty, aby spróbować zburzyć ten mur. Fakt, że Iza została mamą, będzie świetnym pretekstem do tego, by złożyć jej wizytę, zadzwonić, może nawet zaoferować jakąś pomoc. To mogło się udać.

Teraz Ewa postanowiła skorzystać z okazji, że nowe koleżanki tak ochoczo doradzają Sylwii, i zanim rozważyła, czy to aby na pewno dobry pomysł, ośmielona wypitym alkoholem sama poprosiła je o radę.

— Wiecie co... nie czas teraz na opowiadanie całej historii, powiem tyle, że ostatnio niezbyt układało się między mną a Jackiem, moim mężem — zaczęła. — Zależy mi na tym, żeby to naprawić, bo wiem, że głównie ja zawiniłam. On niedługo ma urodziny i przyjaciółka poradziła mi, żeby jako prezent zorganizować dla nas jakiś weekendowy wyjazd. Chodzi po prostu o to, żebyśmy mogli pobyć sam na sam w jakimś uroczym miejscu, odpocząć. I tu mam do was pytanie: może znacie jakiś hotel spa warty uwagi, niezbyt daleko od Krakowa? Chciałabym mieć kilka alternatyw, bo sezon się już zaczął i zdaję sobie sprawę, że może być trudno zarezerwować coś tak na ostatnią chwilę.

Wszystkie trzy spojrzały na nią uważnie, a Ewa aż zadrżała pod tym przenikliwym wzrokiem.

— Co nabroiłaś? Przyznaj się — rozkazała Karolina.

— A co to ma do rzeczy?

— Ma. Od wagi przewinienia zależy sposób zadośćuczynienia. Jesteś pewna, że taki wyjazd wystarczy? — Dziewczyny widocznie nie były przekonane.

— Taką mam nadzieję. — Nie chciała się wdawać w szczegóły, to było zbyt osobiste. Może samej Anicie by powiedziała, ale mimo najszczerzych chęci poszerzenia grona swoich znajomych nie potrafiła tak od razu zaufać kobietom, z którymi widziała się po raz pierwszy. Przyszło jej nawet do głowy, że być może zbyt się zagalopowała z tym pytaniem o wyjazd.

Ale dziewczyny nalegały. Dolewały wina, same przywoływały przeróżne anegdoty ze swoich związków, obiecywały pomoc. Ewa w końcu się poddała i choć niechętnie, opowiedziała jeszcze raz to wszystko, czym niedawno podzieliła się z Magdaleną. Właściwie streściła ostatnie kilka lat swojego życia, od momentu, gdy spotkała Jacka w punkcie ksero. Tym razem mówienie przychodziło jej nieco łatwiej; wiedziała już, gdzie popełnili błędy, i miała jakiś plan, jak je naprawić. Koleżanki słuchały w skupieniu, prawie w ogóle nie przerywały i od czasu do czasu kiwały głowami, jakby z własnego doświadczenia знаły niektóre problemy. Gdy skończyła, pierwsza odezwała się Sylwia:

— Musicie wyjechać na co najmniej tydzień.

— Dlaczego na tydzień? Ja nie mogę teraz wziąć urlopu! — zaproponowała Ewa.

— O to właśnie chodzi. Pomyśl tylko: Jackowi nie podobało się to, że na pierwszym miejscu stawiałaś pracę. Pokaż mu więc, że to nie praca jest dla ciebie najważniejsza i że możesz oderwać się od swoich zajęć, choćby nie wiem jak były ważne, i poświęcić mu czas.

— Popieram. Poświęcenie weekendu, który i tak jest wolny, to żaden wyczyn. — dołączyła się Anita. — Karolina, co o tym myślisz?

— Ja też jestem za. Co najmniej tydzień.

Ewa złapała się za głowę. Już wyobraziła sobie reakcję Wojciecha, gdy prosi go o tydzień wolnego. Najprawdopodobniej ją wyśmiej. Nie mogła jednak zaprzeczyć: to, co mówiły koleżanki, miało sens.

— Okej. Szczerze wątpię, żeby to wypaliło, ale przynajmniej spróbuję. Co proponujecie?

Anita przyniosła laptopa, włączyła stronę jednego z najbardziej znanych biur podróży i zaczęła zaznaczać kryteria.

— Grecja? Włochy? Egipt? *All inclusive*... Jaki budżet?

— Cena nie gra roli — oświadczyła Ewa. — Niech to będzie coś ekstra.

Okazało się, że znalezienie wolnego miejsca w sezonie urlopowym graniczy z cudem. Mimo to po godzinie miały upatrzone trzy hotele.

— Wszystkie trzy mi się podobają. Nie umiem wybrać — westchnęła.

— Ja bym pojechała tutaj. — Karolina wskazała pierwszą zakładkę, Anita powiększyła zdjęcia. Oferta dotyczyła kameralnego czterogwiazdkowego hotelu w maleńkiej miejscowości Koutsouras na Krecie. Był położony przy samej plaży, z dala od głównej ulicy, barów czy sklepów.

— Ładnie tam — potwierdziła Ewa. — Ale dlaczego akurat ten?

— Bo chcecie wypocząć we dwoje, prawda? Tam chyba nie będzie rodzin z małymi dziećmi ani całonocnych imprez. Raczej cisza i spokój. A gdyby się wam nudziło, to możecie sobie zrobić całodniową wycieczkę na wyspę Chrissi. Tutaj jest napisane, że statki wypływają codziennie z Jerapetry, to ledwie rzut beretem. Anita, wpisz w Google.

Kilka sekund później oglądały plażę Golden Beach i nie mogły się przestać zachwycać. Drobnutki, jasny piasek, turkusowa woda... raj na ziemi.

— Załatwię to wolne. Jeszcze nie wiem jak, ale załatwię — oświadczyła Ewa z przekonaniem.

— I to mi się podoba! — Sylwia uniosła kieliszek. — Za powodzenie akcji „Ewa i Jacek na wakacjach”!

Po opróżnieniu jeszcze jednej butelki wina kobiety zaczęły się żegnać. Ewie trudno było uwierzyć w to, jak szybko czas zleciał jej w tym babskim towarzystwie. Dochodziła już północ. Powieki zaczynały jej opadać. Marzyła tylko o tym, aby jak najprędzej znaleźć się we własnym łóżku i wypocząć przed pracowitym dniem. Wykrzesła jednak jeszcze odrobinę sił i została, by pomóc Anicie posprzątać. Pozbierały śmieci, zaniósły resztki do kuchni, naczynia włożyły do zmywarki.

— Trochę zazdroścuję wam tego wyjazdu — odezwała się Anita, wkładając do lodówki talerz z ciasteczkami. — Jestem pewna, że wszystko się między wami ułoży.

— Dziękuję. Oby było tak, jak mówisz... — Ewa zasłoniła ręką usta, tłumiąc ziewanie. — A ty? Nie mogę uwierzyć, że taka sympatyczna dziewczyna jest sama. — Powiedziała to lekkim tonem, jakby od niechcienia, i początkowo nie zauważyła wyrazu twarzy Anity. Ta usiadła przy kuchennej ladzie, na wysokim barowym krześle i oparła głowę na dłoni.

— Też kiedyś miałam męża — powiedziała cicho, ledwo dosłyszalnie.

Ewa zamarła. Ile koleżanka mogła mieć lat? Raczej były w podobnym wieku. Taka młoda i już po rozwodzie? A może stało się coś jeszcze gorszego? Odrobinę się rozbudziła i jak zwykle w takich chwilach nie miała pojęcia, jak się zachować. Oczywiście była ciekawa szczegółów, ale bała się zapytać, choć zamroczona szumiącymi w głowie procentami czuła, że to mogłoby być nietaktowne, a może nawet bolesne. „Jak postąpiłaby Magda?” — zadała sobie pytanie i już wiedziała. Podeszła i delikatnie pogłaskała ramię Anity. Ta zaczęła sama mówić. Może tak jak Ewa potrzebowała się wygadać, a może po prostu



wypity alkohol spowodował, że słowa płynęły swobodnie, lekko, niczym nieskrępowane.

— Byliśmy szczęśliwi, ja i Robert. Matko, jacy my byliśmy szczęśliwi. Wzięliśmy ślub po dziesięciu miesiącach znajomości, uwierzysz? Oboje chcieliśmy mieć dużą rodzinę. Staraliśmy się o dziecko przez półtora roku, bez skutku. W końcu poszliśmy do specjalisty, oboje zrobiliśmy badania. I co się okazało? Nie mogę mieć dzieci — mówiła coraz głośniejszym głosem, jakby chciała jak najprędzej to z siebie wyrzucić. — Oczywiście zaczęłam się leczyć, przez dwa lata próbowaliśmy wszystkich dostępnych metod, łącznie z *in vitro*. Nie będę zanudzała cię opisami zabiegów medycznych, właściwie tylko to ma znaczenie: na skutek niewyleczonej lata temu choroby jestem bezpłodna. Gdy usłyszałam od lekarza, że nie ma już dla mnie nadziei, mój świat się zawalił, rozsypał na milion drobnych kawałeczków. Cała moja przyszłość, moje plany, moje małżeństwo — wszystko to runęło. Zawsze chciałam zostać matką, ale dopiero wtedy uświadomiłam sobie, jak mocno tego pragnę. I jak bardzo Robert pragnie zostać ojcem. Czasami nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo ci na czymś zależy, dopóki się nie dowiesz, że nie możesz tego dostać.

Anita wstała, nalała sobie szklankę wody i wróciła na miejsce. Widząc, jak bardzo Ewa jest poruszona jej wyznaniem, dodała:

— Nie martw się, czasy, gdy dostawałam histerii na samo słowo „dziecko”, już minęły. Nie będę płakać. Mam świetną terapeutkę, rodzina mnie wspiera, staram się szukać sensu gdzie indziej: zwiedzając świat, pracując, udzielając się w wolontariacie. Ale choć minęło już dobrych kilka lat od tamtych wydarzeń, to wciąż boli. Najbardziej gdy widzę inne szczęśliwe matki albo gdy spotykam się z siostrzenicą. Albo gdy słucham świeżo upieczonych rodziców narzekających, że niemowlęta krzyczą, rozrabiają, fundują im bezsenne noce — dla mnie to byłby szczyt marzeń. A gdy oglądam w telewizji wiadomości o dzieciach odbieranych patologicznym rodzinom, o tych małych istotkach głodujących, bitych... to dopiero boli. Wciąż myślę, jakie to niesprawiedliwe, że ludzie, którzy nie mogą zapewnić dziecku godnych warunków, zostają rodzicami. Ja wiem, że dałabym z siebie wszystko, rozumiesz? Wszystko. — Ostatnie słowa prawie wykrzyczała.

Ewa czuła się, jakby spadała z ogromnej wysokości. Wciąż jeszcze miała przed oczami zdjęcie szczęśliwej Izy trzymającej w ramionach małe, białe zawiniątko i to, co usłyszała teraz, było dla niej szokiem.

— A... Robert, twój mąż? Jak...? — Nie była nawet w stanie sensownie skonstruować pytania.

Anita pokręciła głową.

— Na początku był ze mną, wspierał, woził do kliniki. Wiem, że ogromnie mu zależało i do końca wierzył, że się uda. Ale to był dla nas olbrzymi stres. Co miesiąc ten sam schemat: nadzieja, motywacja, czas oczekiwania, napięcie

i rozczarowanie, gdy znów się nie udawało. I znów smutek, apatia, poczucie beznadziei. Do tego seks z zegarkiem w ręku, wzajemne obwinianie się, żal do lekarzy i do całego świata. Nikt nie wytrzymałby takiej huśtawki emocjonalnej. Zostawił mnie i teraz już go nawet za to nie winię. Są takie sprawy, w których nie da się osiągnąć kompromisu. Bywały chwile, że sama siebie miałam ochotę zostawić, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. — Anita przechyliła szklankę i wypila kilka ostatnich łyków. — Pewnie uważasz, że przesadziłam dziś z winem i jutro będę żałować, że ci o tym powiedziałam. Ale to nie tak. Uznałam, że już dość milczenia i ukrywania niewygodnej prawdy. Chcę, by jak najwięcej osób dowiedziało się, czym jest niepłodność i bezpłodność. By nie bali się o tym mówić, by robili badania i leczyli się, zanim nie jest za późno. Albo żeby doceniali jeszcze mocniej, jak wielkie szczęście ich spotyka.

\*

Czuła się koszmarnie. Nie tylko ze względu na ilość alkoholu wypitego wczorajszego wieczoru, ale przede wszystkim z powodu niewielkich luk w pamięci. Co też ona naopowiadała tym dwóm nowo poznanym dziewczynom? Co one sobie o niej teraz myślą? Pewnie, że jest jakąś sfrustrowaną, nieogarniętą wariatką, która nawet nie potrafi się dogadać z własnym mężem. „I jeszcze rozpowiada o tym na prawo i lewo” — jęknęła w duchu. Miała nadzieję, że nikomu tego nie powtórzą, inaczej spaliłaby się ze wstydu. A ta rozmowa z Anitą? To akurat pamiętała doskonale, wyznanie koleżanki mocno ją poruszyło. Nigdy się nie zastanawiała nad niemożliwością poczęcia dziecka. Owszem, wiedziała, że niepłodność to choroba cywilizacyjna, i obity jej się o uszy statystyki, że mniej więcej jedna na pięć par ma problem z zajściem w ciążę, ale nie sądziła, aby te informacje miały się jej kiedykolwiek przydać. Ani co gorsza dotyczyć jej samej lub kogoś w najbliższym otoczeniu. Ze zgrozą pomyślała o znajomych parach, które musiały wysłuchiwać bombardujących ich zewsząd pytań: „To kiedy dziecko?” i dobrych rad. Sama kilka razy takie usłyszała. Mniejsza z tym... ale czy wczoraj zachowała się odpowiednio? Nie mogła sobie przypomnieć, co powiedziała sąsiadce przed wyjściem. Czy nie palnęła niczego głupiego i czy to nie zepsuje ich całkiem obiecującej znajomości? „*Shit!* Koniec z takim piciem” — postanowiła. „Od dziś maksymalnie dwie lampki”.

Westchnęła ciężko i spojrzała na trzymaną w dłoni kartkę — ofertę dotyczącą hotelu w Koutsouras. Słów nie da się cofnąć, ale ma przynajmniej to. Tego już nie może spieprzyć. Chwyciła smartfon i wybrała numer, zanim dopadłyby ją jeszcze jakieś wątpliwości.

— Cześć, Witek, z tej strony Ewa. Czy...

— Hejka! Szukasz Jacka? — usłyszała w słuchawce niski głos. — To coś pilnego? Rozmawia w tej chwili z klientem, mam go poprosić?

— Nie, nie! Ja do ciebie — wyjaśniła pospiesznie. — Czy mógłbyś przejść w jakieś ustronne miejsce, tak aby nie słyszał, o czym rozmawiamy?

— O, ale mnie zaciekawiłaś! Już jestem na zewnątrz. O co chodzi?

— Pewnie wiesz, że Jacek ma urodziny w przyszłym tygodniu. Chciałabym mu zrobić niespodziankę i zarezerwować dla nas tygodniowe wczasy — powiedziała wprost. — Pytanie tylko, czy on może teraz pozwolić sobie na taką przerwę w pracy? Może wziąć trochę wolnego? Wiem, że Michał jest teraz w domu z Izą i synkiem...

— Ewa, ty się jeszcze pytasz?! — przerwał jej. — Komu jak komu, ale temu chłopinie wakacje należą się jak nie wiem co. Kawał dobrej roboty tu odwalił. Zabieraj go sobie, choćby i na miesiąc. Ja dam radę, wszystkiego przypilnuję.

\*

— Potrzebuję wolnego tygodnia.

— Popołudnia? — Wiceprezes Miernicki szukał czegoś w teczkach porozrzucanych na biurku i słuchał niezbyt uważnie. — Hmm, to raczej da się zrobić, zorganizuj sobie jakoś...

— Nie popołudnia. Tygodnia urlopu — powtórzyła dobitnie Ewa.

Wojciech wreszcie przestał przekładać tecki. Podniósł wzrok i popatrzył na menedżerkę, jakby urwała się z choinki. W końcu uśmiechnął się z politowaniem i pokręcił głową.

— Ewa, dobrze wiesz, że to teraz niemożliwe. Mamy gorący okres, poza tym Albatross... Wiedziałaś, w co się pakujesz. Czyżbym pomylił się w ocenie ciebie?

Ewa wyciągnęła zza pleców ciężki, granatowy segregator i rzuciła na biurko.

— Tu jest szczegółowy plan konwersji Albatrossa. Dokładna rozpiska wraz z terminami ukończenia poszczególnych etapów. Klient już to widział i zatwierdził. Wszyscy wiedzą, co mają robić.

Tego Wojciech się nie spodziewał. Otworzył segregator i zaczął przeglądać zawartość, a z każdą kolejną kartką jego oczy stawały się coraz większe.

— Oczywiście wyjazd do Dublina pozostaje aktualny, wrócę i osobiście wszystkiego dopilnuję. Podczas urlopu codziennie będę sprawdzała pocztę i będę dostępna pod telefonem, powiedzmy... przez godzinę. W razie jakichś nagłych wypadków. Rozmawiałam na ten temat z Charlesem, nie miał nic przeciwko. Uważa, że to wypali — oznajmiła spokojnie.

— Rozmawiałaś z Charlesem? — Oczy Wojciecha przybrały rozmiary sporych spodków. Ewa musiała się powstrzymać, aby nie wybuchnąć śmiechem.

— Tak.

— Hmm, no to tego, tak... to może... wybacz moją bezpośredniość, ale po co ci teraz urlop?

— Z powodów osobistych. Dziękuję za zrozumienie.

Po raz pierwszy widziała przełożonego tak zbitego z tropu. Wyciągnęła dłoń, którą ten automatycznie uściskał, i wyszła z pomieszczenia, zanim Wojciech doszedł do siebie i mógłby zacząć dalszą dyskusję.

Na korytarzu z ulgą wypuściła powietrze. Udało się. Warto było się spać i warto było zaryzykować spotkanie z górą. Wzięła naukę z taktyki niedoświadczonej, ale pewnej siebie Pauliny, i musiała przyznać, że to działa — skorzystała z obecności Charlesa w ich biurówcu, zaprosiła go na kawę i omówili razem najważniejsze punkty dotyczące Albatrossa. Dzięki temu miała pewność, że wszystko pójdzie zgodnie z planem, poza tym wyszła na osobę bardzo zaangażowaną. Gdy już miała go w garści i zachwycony biznesmen sypał jej komplementami jak z rękawa, zrobiła smutne oczy i napomknęła coś o problemach osobistych i przeciążeniu pracą. Tyle wystarczyło: sam podsunął, że koniecznie powinna wziąć trochę wolnego. Resztę dnia spędziła z Olą Borewicz, próbując zebrać wszystkie dane do kupy. Dziś rano przeprowadziła długą, trudną, ale owocną rozmowę telefoniczną z przedstawicielem klienta. I... gotowe. Segregator, który pokazała Wojciechowi, był zwieńczeniem żmudnej pracy z ostatnich tygodni. Wkładając ostatnią kartkę do foliowej koszulki, czuła, jakby jakaś niewidzialna pętla zaciskająca się na jej szyi nareszcie się poluzowała.

Teraz udała się w stronę korytarzyka prowadzącego do toalet i wybrała numer biura podróży. Nie zamierzała czekać, aż ktoś jej sprzątnie okazję sprzed nosa i wykupi ostatnie wolne miejsca.

\*

Ewa przeciągnęła się i poczuła ostry ból w łydkach. Dyskretnie zsunęła szpilki pod biurkiem. Przebiegła wczoraj prawie sześć kilometrów; sporo, biorąc pod uwagę to, jak nieregularnie ostatnio biegała i że jej kondycja nieco się pogorszyła. Dostrzegła przechodzącą korytarzem Anitę i skinęła jej ręką, na co ona odpowiedziała uśmiechem. Od czasu małej imprezy w mieszkaniu Anity wpadły na siebie jeszcze raz na parkingu, ale poza krótkim pozdrowieniem nie rozmawiały ze sobą. Żadna z nich nie była pewna, jak się zachować — udawać, że do rozmowy o trudnych przejściach Anity nie doszło, a może lepiej w jakiś sposób do niej nawiązać? Ewie się wydawało, że rozumie koleżankę: zdradziła jej wiele na temat swojego prywatnego życia i problemów, potrzebowała więc czasu, aby te informacje się „uleżały” i emocje nieco opadły. Sama również powiedziała sporo o swoim małżeństwie i jeszcze czuła się z tego powodu zażenowana. Postanowiła się nie narzucać, po prostu być obok, poczekać, aż obie znów nabiorą ochoty na rozmowę. Chciała wierzyć, że między nimi wszystko w porządku i na pewno jeszcze nie raz spędzą przyjemnie czas w swoim towarzystwie.

Miała co robić, jednak znów nie mogła się skupić na swoich zajęciach.

„Ostatnio coś za często mi się to zdarza” — pomyślała. Klikała coś bezmyślnie, symulując pisanie, ale jej wzrok raz po raz uciekał ponad monitory. Przyglądała się pracy otaczających ją ludzi, biegających tam i z powrotem z plikami dokumentów, krzyczących coś do siebie nawzajem, rozmawiających przez telefony bądź wpatrzonych w ekrany, jakby poza przesuwanymi się słupkami liczb nic nie istniało. Patrzyła na studentów i świeżo upieczonych absolwentów krakowskich uczelni, menedżerów średniego szczebla, szarych pracowników, bez trudu wtapiających się w tło. Zaczęła analizować to, co podświadomie wiedziała od dawna, ale jakoś nigdy nie poświęciła temu większej uwagi. Nigdy nie sądziła, że to będzie miało takie znaczenie.

Chcąc nie chcąc, porównywała ze sobą poszczególne grupy i im mocniej zagłębiała się w ich charakterystyczne cechy, tym bardziej przekonywała się co do jednego: nie ma żadnego przepisu na to, jak osiągnąć spełnienie w korporacji. Bo definicje „dobrego pracownika” i „spełnienia” dla każdego będą różne... Choć oczywiście takie same z punktu widzenia firmowych zasad, regulaminów i kryteriów oceny. Jacek w pewnym sensie miał rację, twierdząc, że specyfika pracy w dużej firmie to nie wszystko. Firma narzucała pewne standardy, dało się zauważyć cechy właściwe dla tego określonego środowiska, ale to, ile pracownik brał z całego spektrum możliwości i ile dawał firmie, to zależało tylko od niego. Zastanawiała się nad swoją rolą w J&S International i tym, co do niedawna uważała za swój życiowy cel. Wracała myślami do rozmów z Magdaleną, z Janiną, do wspomnień z dzieciństwa, do wartości, jakie zaszczyli w niej rodzice. Myślała o uczuciu pustki w swoim eleganckim mieszkaniu i odkryciu, że to uczucie nie dotyczy tylko minimalistycznie urządzonej pomieszczeń. Była ambitna i dobra w tym, czym się zajmowała — ten fakt nie ulegał wątpliwości i nie zamierzała rezygnować z tego, co już tutaj wypracowała. Ale czegoś istotnego wciąż jej brakowało i już malując kwiaty w ogrodzie pani Janiny, doszła do wniosku, że nie znajdzie tego, podejmując się kolejnych zadań, kolejnych projektów, spełniając kolejne *company goals*.

Najwięcej uwagi w swoich rozważaniach poświęciła tym kilku znajomym osobom, które miały dzieci, rodziny. Zaczynała ich rozumieć, a nawet poczuła ukłucie wstydu za to, jak ich traktowała i jak utrudniała im i tak niełatwe połączenie rodzicielstwa z pracą na etacie. Wcześniej myślała, że coś jest z nimi nie tak, skoro nie potrafią określić sobie celu, dryfują bezwładnie, nie chcąc dać z siebie stu procent. Jakby znaleźli się w J&S International przez przypadek. Sumiennie wykonywali swoje obowiązki, jednak nie przejawiali większego zainteresowania życiem firmy, nie robili nic ponad to, czego się od nich wymagało. Nigdy się nie angażowali w żadne przedsięwzięcie, które wymagałoby pozostania w biurze po godzinach, wręcz bronili się przed awansem. Teraz już wiedziała dlaczego: mieli mnóstwo innych obowiązków, których po prostu nie dało się

odłożyć. Zajmując się Julką, sama doskonale się o tym przekonała — na samo odwożenie jej do szkoły traciła minimum godzinę dziennie. Poza tym zależało im na czasie spędzonym z rodziną, dodatkowa wspólna godzina wieczorem była dla nich ważniejsza niż firmowe zobowiązania. Wracając do domu, chcieli mieć jeszcze dość sił na odrabianie zadań z dziećmi, przejażdżki rowerowe, wspólne gotowanie, lepienie ludzików z plasteliny. Jednocześnie starali się być wystarczająco dobrymi pracownikami, aby nie dać swoim przełożonym podstawy do zwolnienia. Stała, stosunkowo wysoka pensja, benefity, opieka zdrowotna... to miało duże znaczenie, gdy w grę wchodziło wychowywanie dziecka. A spokojny sen i szczerbaty uśmiech z rana rekompensował monotonię zajęć, które tak naprawdę nie dawały im żadnej satysfakcji. „Nie generalizuj” — upomniała się w myślach — „przecież są i tacy, którym satysfakcję sprawiają i rodzicielstwo, i praca...”. Zawsze była przekonana, że nie da się pogodzić tych dwóch płaszczyzn bez szkody dla jednej z nich. Teraz była skłonna przyznać, że mogła się mylić.

— Ewa... — Z zamyślenia wyrwał ją głos Marka. — Czy mogłabyś na to spojrzeć? Billing Omegi, cały czas wychodzą jakieś wartości z kosmosu, zupełnie inne od tych z poprzednich miesięcy.

Spojrzała na podsunięty jej pod nos plik kartek i natychmiast wróciła na ziemię. Rzeczywiście, nie wyglądało to dobrze.

— Gdzieś musi być błąd, nie przypominam sobie, żeby w zeszłym miesiącu liczba transakcji aż tak drastycznie się zmieniła.

— Chcesz, żebym to jeszcze raz prześledził? — zapytał niepewnie, ukradkiem zerkając na zegarek.

— Zostaw, ja to sprawdzę — powiedziała zdecydowanie. — Ty jedź do synka. Macie dziś rehabilitację, prawda? — upewniła się.

Jeszcze się nie zdarzyło, żeby któryś z pracowników tak bardzo się ucieszył i był jej tak wdzięczny. Gdy dwie godziny później znalazła błąd w formule i przecierała piekące oczy, czuła, że mimo wszystko postąpiła właściwie. Tym razem zrobiła to nie dlatego, że musiała bądź chciała się wykazać. Przypoda z Julką nauczyła ją, że są sytuacje, gdy nie odmawia się pomocy. „Bo co, gdybym ja sama była w takiej sytuacji?”

\*

Gdy wjeżdżała w bramę osiedla, już się ściemniało. Nie planowała tak późnego powrotu, ale cóż, tak wyszło, nie potrafiła odmówić. Wsiadając z samochodu, dostrzegła przed blokiem wysoką sylwetkę męża i podskakujący wkoło biskoptowy kształt. Założyła, że właśnie wybierają się na ostatni wieczorny spacer.

— Zaczekajcie! — pomachała. — Zmienię buty i pójde z wami.

Tak szybko, jak pozwalały jej na to wysokie szpilki, potruchtała do windy.

W przedpokoju z ulgą je zrzuciła i wsunęła stopy w nowiutkie, niedawno kupione trampki. Nie uznawała takich wynalazków jak *casual Friday*, więc i dziś ubrana była z największą starannością. Teraz przedstawiała sobą bardzo ciekawy widok: spodnie w kant, atlasowa bluzka i trampki. Nie chciała, żeby mąż czekał zbyt długo, więc zrezygnowała ze zmiany ubrania. „Może nie spotkam nikogo znajomego, może nikt nie zauważy...”

Jacek zauważył i szeroko się uśmiechnął na widok nietypowego połączenia, ale tego nie skomentował. Szli powoli w stronę parku, obserwując Browara z zapalem obwążującego wszystkie mijane drzewa.

— Dużo pracy? — zagadnął Jacek.

— Jak zwykle... albo i jeszcze więcej — odparła. — Ale nie tylko dlatego tak późno wracam. Byłam u Magdy i Julki.

— O proszę. I co tam u nich? Jak Magda sobie radzi?

— Lepiej, niż można by przypuszczać. Myślałam, że może będą potrzebowały jakichś zakupów, pomocy w porządkach. A okazało się, że one już sobie zorganizowały pomoc, i to jeszcze jaką! — Ewa pokręciła głową. — Zgadniesz, kogo u nich spotkałam? Doktora Michalskiego!

— To ten, który zajmował się Magdą w szpitalu, tak? — Jacek próbował pokojarzyć fakty. — Czyżby zaczynało się robić poważnie?

— Na to wygląda. Bywa u nich regularnie, nawet zawiózł Magdę na kontrolę. I świetnie się dogaduje z Julką, mała go uwielbia.

— Miło słyszeć, że tak fajnie im się układa. To dobre dziewczyny, zasługują na kogoś porządnego — stwierdził.

— Pewnie, że tak. Ja im życzę jak najlepiej — przyznała. — Chciałam wrócić wcześniej, ale wiesz... okazało się, że brakuje im czwartej osoby do gry i mnie nie wypuścili — roześmiała się.

— Jakiej gry? — Jacek nie rozumiał.

— Planszówka, strasznie wciąga. Okazało się, że Tomasz jest fanem wszelakich planszówek i zaraził tym Magdę oraz Julkę. Grają do późna. — Opisała mu pokrótce zasady. W swojej opowieści nie mogła pominąć pociesznego Huberta biegającego po planszy i przesuwanego im pionki, przez co w rozgrywkę wdało się pewne zamieszanie.

— Coś podobnego... Ewka grająca w planszówkę... Chcę to zobaczyć. — Jej mąż chyba wciąż nie dowierzał.

— To zobaczysz. Możemy razem odwiedzić ich w przyszłym tygodniu, to się przekonasz.

Szli dalej w milczeniu, ale na ustach Jacka nieustannie błędził delikatny uśmiech. Sprawiał wrażenie, jakby spodobało mu się, że jego żona spędza czas nie tylko w biurze, że interesuje się losem innych. Poza tym przyjemnie było tak iść razem, obok siebie, zatrzymując się od czasu do czasu, aby rzucić patyk

domagającemu się uwagi psu. Było ciepło, cicho, w parku natknęli się tylko na kilku innych spacerowiczów. Już w drodze powrotnej Jacek nawiązał do jutrzejszego wesela.

— Odwiezie nas mój kuzyn, powinien być tutaj około trzynastej. Mamy zarezerwowany nocleg w hotelu, w którym odbywa się impreza — oznajmił.

— Świetnie. Rozmawiałeś z siostrą? Jak jej nastrój przed wielkim dniem? — zainteresowała się Ewa.

— Szczęśliwa, choć odrobinę spięta.

— To naturalne.

— Tak... — odpowiedział przeciągle, najwyraźniej myśląc o czymś innym.

— Ewka, wiem, że nie przepadasz za takimi imprezami i pewnie będzie ci trudno. Ale ja...

Nie dała mu dokończyć. Stanęła na wprost męża, zagradzając mu drogę i położyła mu palec na ustach.

— Pst! Wszystko będzie dobrze. Wszystko się uda.

\*

— Jak pani sobie życzy? Prostujemy? Upinamy? — zapytała pani Beata, właścicielka salonu piękności, z którego usług Ewa wiernie korzystała od kilku lat.

— Nie mam pomysłu — przyznała. — Może pani coś zaproponuje? Chciałabym, żeby było trochę inaczej niż zwykle.

— A jaką ma pani sukienkę? Jakie dodatki?

Ewa opowiedziała pokrótce, co zamierza włożyć, a fryzjerka na wieść o sukience z głębokim wycięciem na plecach aż klasnęła w ręce z uciechy.

— Doskonale! W takim razie musimy upiąć, odsłonić ten efektowny tył! Już wiem, co zrobimy! — wykrzyknęła i ochoczo zabrała się do pracy.

Ewa wzięła ze stolika jakieś czasopismo o modzie i pogrążyła się w lekturze, pozwalając fryzjerce działać. Ufała pani Beacie, doświadczona stylistka jeszcze nigdy jej nie zawiodła. Ponadto lubiła jej styl pracy; Beata w stu procentach skupiała się na swoim zajęciu i nie wypytywała Ewy o życie osobiste ani nie raczyła jej plotkami na temat innych klientek, tak jak to miało w zwyczaju wiele innych fryzjerek. Jej ruchy były szybkie, zdecydowane. Wystarczyła niespełna godzina, aby wyczarowała na głowie Ewy oryginalne upięcie.

— I jak się pani podoba? — dopytywała się, stając z tyłu z dodatkowym lustrem.

Ewa nie mogła poznać samej siebie. Jej ciemne, proste włosy, zwykle skrępowane ciasnym kucykiem, tym razem były lekko pofalowane i upięte w luźny, pozornie niedbały kok tuż nad karkiem. Przy twarzy fryzjerka zostawiła kilka wolnych kosmyków. Całość wyglądała bardzo naturalnie, jakby perfekcyjną fryzurę zmierzwił niesforny letni wiatr. Było to jednak tylko złudzenie —



w rzeczywistości upięcie było bardzo trwałe i nie mogło być mowy o tym, aby uległo zniszczeniu. Ewa o tym wiedziała, ale i tak długo przeglądała się w lustrze, zanim wyraziła swoją aprobatę.

— Jest w porządku. Inaczej niż zwykle, ale mi się podoba — powiedziała w końcu. — Wiedziałam, że wymyśli pani coś odpowiedniego.

Pani Beata знаła swoją niezbyt wylewną klientkę na tyle, aby wiedzieć, że ta pochwała ma swoją wartość. Dumna z siebie poprowadziła teraz Ewę do stanowiska Marleny, kosmetyczki. I tym razem Ewa postanowiła zdać się na gust i doświadczenie profesjonalistki. Raz jeszcze opisała swoją sukienkę i dodatki i usiadła we wskazanym fotelu.

Nie minęło czterdzieści minut, gdy dostała do ręki duże, okrągłe lustro i usłyszała:

— Może pani otworzyć oczy!

Czego się spodziewała? Ewa nie wiedziała, ale pewno nie tego, co teraz zobaczyła.

— Przecież to miał być makijaż na wesele! — zaprotestowała. — A on jest ledwo widoczny!

— Tak, tak... nie podoba się pani? — Marlena była wyraźnie zmieszana. — Myślałam, że będzie pasował... Jeśli pani sobie życzy, to oczywiście poprawię według pani wskazówek — szybkoitko zapewniła.

Właścicielka salonu już podchodziła, przestraszona wizją utraty stałej klientki. Kilka kobiet siedzących przy znajdujących się obok stanowiskach fryzjerskich odwróciło z zaciekawieniem głowy. Ewa nie chciała robić afery, ponadto według zegara wiszącego nad wejściem nie miała zbyt wiele czasu na poprawki. Ale to, jak wyglądała... Przejrzała się w lustrze jeszcze raz.

Makijaż był lekki, o wiele lżejszy i delikatniejszy od tego, który nosiła na co dzień. Zamiast cieni w różnych odcieniach brązu i szarości dostała równiutkie kreski na powiekach i subtelnie podkreślone rzęsy. Zamiast szminki w wyraźnym, mocnym kolorze — brzoskwiniowy błyszczek. Do tego tylko odrobina różu na policzki i całość spryskana utrwalcaczem w sprayu, aby przetrwała całe popołudnie i wieczór.

— Pasuje do fryzury. — Nagle odezwała się jedna z pań z nałożoną farbą i mnóstwem sreberk na głowie. — Wygląda pani bardzo świeżo. I młodo.

Dziewczyna, której pani Beata przed chwilą zaczęła podcinać końcówki długich blond włosów, pokiwała gorliwie głową.

— Ja bym tak zostawiła.

Ewa więc odpuściła. „Tyle osób nie może się mylić. Może rzeczywiście nie jest tak źle” — pomyślała i wstała z fotela. Marlena, która już drżała ze zdenerwowania, odetchnęła z ulgą, a pani Beata zaoferowała sporą zniżkę na kolejną usługę.

Gdy Ewa wróciła do mieszkania, nie zastała w nim Jacka. Pewnie tak jak się umawiali, pojechał odwiedzić Browara do Magdaleny — przez najbliższe dwa dni miała go wyprowadzać zaprzyjaźniona studentka. Skorzystała z wolnej łazienki, odświeżyła się i przeszła do pokoju gościnnego, tego, w którym nocowała Julia. Tam czekała już na nią sukienka, wyprasowana i powieszona na wieszaku. Specjalnie trzymała ją w pomieszczeniu, do którego jej mąż prawie nie zaglądał, chciała zrobić mu niespodziankę. Przebrała się i wsunęła stopy w przygotowane szpilki. Westchnęła ciężko, wspominając swoje ulubione louboutiny. Gdyby nie pies i jego niszczycielskie zapędy, pewnie to w nich dziś by występowała; w tej sytuacji musiała się zadowolić mniej szykownym obuwiem. „Za to te są wygodniejsze” — pomyślała, starając się dostrzec jakieś dobre strony. Zrezygnowała z bogatej biżuterii, włożyła tylko kolczyki, które otrzymała od męża z okazji ich rocznicy. Pakowała właśnie kilka niezbędnych drobiazgów do niewielkiej kopertówki, gdy zadzwieczał jej smartfon, zwiastując nadejście wiadomości.

**Magda:** *Chcemy Cię zobaczyć w kreacji. Fryzury też jesteśmy ciekawe. Dawaj fotkę! :) M. i J.*

No tak, obiecała dziewczynom, że pokaże, jak prezentuje się całość. Ciekawa była, jak one ocenią jej nowy image. Przeszła do przedpokoju i próbowała odpowiednio się ustawić, aby zrobić w lustrze selfie obejmujące całą sylwetkę. Właśnie w tej chwili otworzyły się drzwi wejściowe i stanął w nich Jacek. Nie miała już gdzie się ukryć, nie było nawet czasu na to, aby schować telefon, którym tak dziecinnie i narcystycznie pstrykała zdjęcia samej sobie. Ponieważ mąż wpatrywał się w nią dłuższą chwilę i nic nie mówił, postanowiła w końcu przerwać tę ciszę i zapytała po prostu:

— I jak?

Okręciła się wokół własnej osi, aby mógł obejrzeć ją z każdej strony.

— Ewka... przepięknie — wykrztusił w końcu i czuła, że mówi to szczerze. — Do twarzy ci w tym kolorze, miła odmiana.

Zrobił dwa kroki w jej kierunku, najwyraźniej mając zamiar ją objąć bądź pocałować, na co ona odskoczyła jak oparzona.

— Nie ruszaj, bo popsujesz!

Roześmiali się oboje. Teraz Jacek zajął się toaletą i garderobą, a Ewa w oczekiwaniu postanowiła wypić filiżankę kawy. Ledwo rozsiadła się w kuchni i upiła kilka łyków, gdy rozległ się dzwonek — kuzyn Jacka już przyjechał, musieli się zbierać. Wzięła ze sobą podręczną torbę — Jacek miał podobną — i po chwili byli już w drodze.

Ślub odbywał się w małym, uroczym kościółku pod Krakowem. Zaproszonych było około stu siedemdziesięciu osób i niemal wszystkie ławki były już zajęte. Ewa i Jacek zajęli miejsca z przodu, wśród najbliższej rodziny,

i dyskretnie się ze wszystkimi przywitali. Ceremonia się rozpoczęła. Ewa musiała przyznać, że para młoda prezentuje się niezwykle elegancko. Młodziutka Joasia była wysoka, tak samo jak jej brat, ale na swoje szczęście o wiele zgrabniejsza. Dziś wystrojona w koronkową sukienkę na kole, z welonem, rozpuszczonymi długimi włosami i wiązką różowych eustom, wyglądała jak księżniczka. Pan młody, równie szykowny, w granatowym garniturze, patrzył na nią z bezgranicznym uwielbieniem. Słuchając długiego, ale mądrego i poruszającego kazania starszego księdza, Ewa nie mogła przestać wspominać własnego ślubu. Ich uroczystość była zdecydowanie skromniejsza, obecni byli tylko najbliżsi. Nie znosiła hucznych imprez i razem podjęli decyzję, że odłożone pieniądze wolą przeznaczyć na zakup mieszkania niż organizację ogromnego wesela. To był też powód pierwszego konfliktu pomiędzy nią a rodzicami Jacka, którzy nie wyobrażali sobie, że mogliby nie zaprosić licznych dalszych krewnych. Poza tym byli tradycjonalistami i pomysł eleganckiego obiadu w restauracji zamiast zabawy do białego rana zupełnie nie przypadł im do gustu. To był dzień jej i Jacka, więc w końcu i tak stanęło na tym, czego życzyli sobie młodzi, ale uraza pozostała. Później było tylko gorzej. Wiedziała, że jej teściowie są w gruncie rzeczy przyzwoitymi, serdecznymi ludźmi i zwykle mają dobre intencje, niestety zupełnie nie potrafiła się z nimi porozumieć. Oczekiwali od niej częstych wizyt i telefonów, udziału w rodzinnych spotkaniach, pomocy w organizacji świąt, słowem: aktywnej obecności w ich życiu. Nie potrafili przyjąć do wiadomości, że ona woli inaczej, nie rozumieli jej poświęcenia dla kariery. Raz czy dwa puściły jej nerwy, odpowiedziała na ich komentarze zbyt ostro. Wiedziała, że Jackowi jest przykro z powodu takiego obrotu spraw, bo w rezultacie i on zaczął tracić kontakt z rodzicami. W nie najgorszych stosunkach pozostawali tylko z jego siostrami, które lepiej odbierały ich wybory niż konserwatywne starsze pokolenie.

Teraz Ewa uśmiechnęła się uprzejmie do swojej teściowej, na co ta również odpowiedziała uśmiechem. Chciała zakopać topór wojenny, przynajmniej na ten jeden dzień, i postanowiła sobie, że za wszelką cenę będzie się zachowywać stosownie i nie da się wyprowadzić z równowagi. Wiedziała doskonale, że zarówno ta korpulentna, zawsze elegancka kobieta, jak i jej mąż są ogromnie wzruszeni i przejęci. Tak samo Jacek — dostrzegła w jego oczach łzy, gdy jego mała siostrzyczka składała najważniejszą przysięgę. Choć sama nie była zbyt mocno zżyta z Joasią, również poczuła, że ma wilgotne oczy i tylko świadomość idealnie wymalowanych kresek powstrzymała ją przed pełnym rozklejeniem się. „To ta atmosfera” — pomyślała. „Ślub, jakikolwiek jest i gdziekolwiek się odbywa, zawsze ma w sobie coś magicznego. Tyle miłości w jednym miejscu”. Pod wpływem impulsu odszukała dłoń Jacka, splótła swoje palce z jego, tak jak robili to kiedyś, i delikatnie ścisnęła. Nie spojrzał na nią zajęty obserwowaniem tego, co działo się przy ołtarzu, ale odwzajemnił uścisk. Tyle wystarczyło, żeby jej serce

zalała fala ciepła. „Jest dobrze”.

To, co działo się później, Ewa pamiętała jak przez mgłę. Konfetti na kościelnych schodach, orkiestra, śpiewy, szybki transport do lokalu, przenoszenie panny młodej przez próg, życzenia, toasty. Zamieszanie, typowe dla tradycyjnych wesel, ale wśród ogólnego śmiechu i radości. Joasia dosłownie promieniała, najwyraźniej napięcie już opadło i teraz po prostu cieszyła się chwilą. Ewa próbowała zapomnieć o swoich uprzedzeniach i spojrzeć na to wszystko podobnie jak Magdalena, z perspektywy fotografa. Rzeczywiście — tyle emocji, uczuć, zdarzeń... to po prostu nieprawdopodobne! Dopiero przy obiedzie mogła nieco odetchnąć, przyjrzeć się obszernej sali, która była przystrojona różowymi kwiatami. Po pięknie zatańczonym przez młodych walcu zespół zaczął grać wesołe, znane kawałki i pierwsi goście wychodzili na parkiet. Początkowo ruszali się trochę niepewnie, sztywno, ale kolejne toasty skutecznie wprowadzały ich w coraz swobodniejszy nastrój. Jacek również poprosił Ewę do tańca.

Przeszli w róg sali, bliżej wyjścia, gdzie było nieco luźniej. Jacek położył lewą dłoń Ewy na swoim ramieniu i objął ją w tali. Ewa uwielbiała z nim tańczyć. Sama nie była zbyt dobrą tancerką, najwyżej poprawną. Za to jej mąż, gdy tylko zaczynała grać muzyka, z niezdarne go olbrzyma nagle zmieniał się w pełnego gracji tancerza. Prowadził lekko, a zarazem pewnie i miał doskonałe wycucie rytmu. Po prostu płynęli po parkiecie, od czasu do czasu pozwalając sobie na coraz śmielsze i efektowniejsze obroty. Sukienka Ewy cudnie wirowała, jej policzki się zaróżowiły. Widziała zachwyty w oczach męża i pomyślała, że to ich najszcześniejsza chwila od bardzo, bardzo dawna. Bawili się, śmiali, tańczyli, z krótkimi przerwami na zdjęcia z młodą parą czy ciepłe posiłki. Ewa ośmielona wypitym alkoholem i całkiem miłą atmosferą sama podchodziła do dalszych krewnych, z każdym starając się zamienić choć kilka słów. Usłyszała sporo komplementów na temat swojego wyglądu, co również dodawało jej pewności siebie. Jacek wyjątkowo nie namawiał jej do grupowych zabaw proponowanych przez lidera zespołu muzycznego — znał jej niechęć do wygłupów na oczach publiczności i tym razem odpuścił. Była mu za to wdzięczna.

Po uroczystym krojeniu tortu postanowili zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. Hotel otoczony był ładnie utrzymanym ogrodem, z alejkami, ławeczkami i niewielką fontanną, teraz pięknie oświetloną. Ewa zarzuciła na ramiona cieniutki jedwabny szal i wyszli na zewnątrz. Spacerowali kilka minut, trzymając się za ręce, jakby było to najbardziej naturalne pod słońcem. Jakby nigdy nic złego się między nimi nie wydarzyło. Nagle Jacek stanął, ujął twarz Ewy i pocałował ją w usta.

— Dziękuję — powiedział. — Za ten wieczór.

— Ależ nie ma za co — odparła i sama go pocałowała. — Pewnie trudno ci w to uwierzyć, ale ja naprawdę dobrze się bawię.

— Zaskakujesz mnie ostatnio, wiesz?

— Mam nadzieję, że pozytywnie — odezwała się niepewnie.

— Jak najbardziej.

Pocałowali się jeszcze raz, tym razem dłużej. Nagle zespół zmienił repertuar i usłyszeli ciche dźwięki *I Just Called to Say I Love You*. Ewa wtuliła się w ramiona męża, czuła bijące od niego ciepło, znajomy zapach. Jak bardzo tęskniła za nim, za jego bliskością. Jacek przytulił ją do siebie mocniej, nachylił się i wyszeptał wprost do jej ucha:

— Ewa i Jacek, Jacek i Ewa. „Teraz i na zawsze”.

A więc pamiętał tę piosenkę, ich piosenkę. Kołysali się do rytmu, dopóki grupka piszczących i biegających dzieciaków nie przerwała tego intymnego momentu. Wrócili na salę, zanim ktokolwiek mógłby wpaść na pomysł, żeby zacząć ich szukać. Ewa pomyślała, że chciałaby pobyć z mężem sam na sam, porozmawiać albo po prostu posiedzieć obok niego, trzymając za rękę. Chciała, żeby ta magiczna chwila trwała dłużej, i domyślała się, że on też ma na to ochotę. Niestety Jacek jako brat panny młodej nie mógł opuścić imprezy tak wcześnie, to po prostu nie wypadało. Rzucili się więc w wir zabawy. Przy dobrej muzyce czas pędził jak szalony i ani się obejrzeni, jak ostatni goście już się zegnali. Zarówno młodzi, jak i rodzice byli ogromnie zmęczeni, ale wyraźnie szczęśliwi — wszystko poszło po ich myśli i długo będą mogli wspominać ten dzień jako niezwykle udany.

Ewa cieszyła się, że Jacek pomyślał o zarezerwowaniu dla nich pokoju, bo nie uśmiechałoby jej się wracać blisko trzydzieści kilometrów do Krakowa po tak intensywnej nocy. W głowie jej szumiało, nóg prawie nie czuła i marzyła już o tym, aby się położyć. Pokój był dość duży, wygodnie urządzone, z łóżkiem nakrytym fioletową narzutą, dwoma fotelami, niskim stolikiem, szafą i przyległą łazienką.

— Kąpię się pierwsza, dobrze? — zapytała, złapała swoją kosmetyczkę i pobiegła do łazienki.

Przejrzała się w lustrze. Co jak co, ale tego nie można było odmówić pani Beacie: porządnie wykonała swoją robotę, kok nawet po tylu godzinach prezentował się świetnie. Dłuższą chwilę zajęło Ewie pozbycie się miliona wsuwek, które podtrzymywały fryzurę, i w końcu przeczesła palcami pofalowane włosy. Chciała zdjąć sukienkę, sięgnęła do zamka, ale ten ani drgnął. Szarpnęła mocniej, ale to również nic nie dało.

— *Shit!* — wyrwało jej się.

— Wszystko w porządku? — usłyszała.

— Tak, tylko nie mogę...

W tym momencie drzwi się otworzyły i stanął w nich Jacek, już bez krawata, w rozpiętej koszuli. Jednym spojrzeniem ocenił sytuację.

— Daj, pomogę ci.

W dwie sekundy rozprawił się z opornym zamkiem i sukienka opadła miękko na brązową podłogę. Ewa odruchowo chciała się zasłonić choćby ręcznikiem, ale zaraz uświadomiła sobie, że stojący przed nią mężczyzna przecież widział ją w bieliźnie setki razy. Zresztą Jacek jej na to nie pozwolił. Zmienił górne światło na pojedynczą lampkę przy lustrze, dzięki czemu w łazience zapanował nastrojowy półmrok i wsunął Ewie palce we włosy, a ona zadrżała pod tym dotykiem, tak znajomym i obcym jednocześnie.

— Może razem? — Kiwnął głową w stronę prysznica. — Co ty na to?

Udała, że zastanawia się chwilę nad tą propozycją, po czym sięgnęła do jego koszuli i pomogła mu ją zdjąć. Później już akcja rozkręciła się błyskawicznie. Zmęczenie jakby nagle gdzieś uleciało, oboje poczuli niezwykle przyływy energii. Spragnieni siebie, stęsknieni, nie mogli dłużej czekać. Ostatnie sztuki odzieży wyładowały na brązowych płytkach, pocałunki stawały się coraz bardziej zachłanne, ich dłonie błędziły gorączkowo. Kochali się pod prysznicem, szybko, gwałtownie, w strumieniach gorącej wody. Jak para kochanków w szczytowej fazie romansu, gdy pragnienie drugiej osoby przysłania wszystko inne.

Później Jacek zaniósł Ewę zawiniętą w puchaty ręcznik do pokoju i położył na łóżku. Nadal nie mieli siebie dość. Całowali się, tym razem powoli, uważnie, na nowo odkrywając ukochane miejsca. On całował jej kark, szyję, nadgarstki, ona wodziła dłonią po jego szerokich plecach, wzdłuż kręgosłupa, pieściła płatki uszu — tak jak lubił. Odnajdywali pieprzyki, o których nikt inny nie miał pojęcia, blizny po drobnych wypadkach, w których uczestniczyli tylko oni. Oboje doskonale wiedzieli, jak sprawić sobie nawzajem przyjemność i teraz skwapliwie korzystali ze wszystkich znanych sobie sztuczek i rytuałów. Dawali z siebie sto procent, jakby chcieli w ciągu kilku godzin nadrobić te wszystkie stracone noce, gdy leżeli odwrócenymi plecami, udając obojętność.

— Wróciłaś — wymruczał Jacek, wyczerpany kładąc się obok. — Taka sama, a jednak inna.

Ewa wtuliła się w niego, a on pocałował ją w czubek głowy. Miał rację — taka sama, a jednak inna. Nie potrafiłaby tego racjonalnie wytłumaczyć, ale czuła, że w ostatnich tygodniach zaszła w niej jakaś przemiana. Wiedziała, że na pewno miały na to wpływ dawna koleżanka i jej córka, i wszystkie inne osoby, które nagle pojawiły się w jej życiu. A może ich pojawienie się było tylko impulsem, zapalnikiem, by sama zaczęła odkrywać to, co i tak od zawsze siedziało przyczajone głęboko w jej wnętrzu i tylko czekało na odpowiedni moment?

Jacek szybko zasnął, ale ona mimo wyczerpania nie mogła zmrużyć oka, coś cały czas nie dawało jej spokoju. Jej myśli poszybowały ku Magdzie, która jako młoda dziewczyna tak świetnie poradziła sobie z rolą samotnej mamy. Myślała o pani Janinie, dla której na dzieci było już za późno i która była z tym w pełni pogodzona. O Anicie, która dzieci pragnęła z całych sił, ale nie mogła ich mieć i po

ogromnym dramacie próbowała poskładać swój świat na nowo. Myślała o Izie, do szaleństwa zakochanej w swoim małym synku, wkraczającej w macierzyństwo z nadzieją i niezłomnym postanowieniem, że będzie dla niego najlepszą mamą na świecie. Myślała o starszej siostrze Jacka i jej małych rozrabiakach, przez których zmęczona kobieta nieraz rwała sobie włosy z głowy i dzwoniła z błaganiem o odsiecz. Myślała o dawnych koleżankach, rezygnujących z kariery dla dzieci, i młodych mamach niepotrafiących zrezygnować z niczego, za wszelką cenę szukających złotego środka. Myślała o znanych jej kobietach, które zarzekały się, że nie czują potrzeby zakładania rodziny i do końca pozostaną w stu procentach niezależne. Myślała o swojej własnej matce, zapracowanej, wiecznie nieobecnej, starającej się zadośćuczynić to Ewie i jej bratu poprzez fundowanie im drogich wyjazdów, kupowanie prezentów, opłacanie kursów i zajęć pozaszkolnych.

Ile kobiet, tyle różnych sytuacji i poglądów na macierzyństwo. Dla jednych było całym światem, dla innych końcem świata. Jednym dawało radość, dla innych było ciężarem, kulą u nogi. Na pierwsze miejsce wciąż wysuwał się obraz Magdy, którą Ewa zdążyła całkiem nieźle poznać i najbardziej podziwiała. Julia nie była spełnieniem marzeń swojej mamy; powoli za to została dopełnieniem jej szczęśliwego życia. Kimś ważnym, najważniejszym, dla kogo warto się starać, kto przynosi uśmiech i poczucie sensu, nie jest jednak sensem samym w sobie. Czuła, że to zdrowe, dobre podejście — matka, która dla swojego dziecka zrobiłaby wszystko, ale nie zapomina o własnych ambicjach i pragnieniach. Wtedy pojawiła się ta myśl: Ewa też mogłaby to osiągnąć. Ba, mogłaby więcej — mogłaby mieć pełną, szczęśliwą rodzinę, bo przecież obecność, miłość i zgoda obojga rodziców to najpiękniejsze, co można podarować dziecku. Rozumiała, że dziecko nie może być ratunkiem dla związku; to związek powinien być wystarczająco silny, aby poradzić sobie z wyzwaniem, jakie przed parą stawia rodzicielstwo. Z niewyspaniem, nawąłem nowych obowiązków, troską o małą istotkę, zupełnie zależną od dwojga dorosłych... Podniosła się na łokciu, spojrzała na twarz śpiącego Jacka i nagle nabrała pewności, że dąliby radę. Choć ostatnie miesiące były dla nich ciężkie, wczorajszy wieczór był doskonałym potwierdzeniem tego, że wciąż potrafią odnaleźć w sobie to coś, co od samego początku ich do siebie przyciągało. Wciąż potrafią rozmawiać, bawić się, kochać, wciąż są dla siebie atrakcyjni, może nawet jeszcze bardziej niż kilka lat temu. Wciąż im na sobie zależało. Ich miłość ewoluowała: z dwójki zakochanych beztroskich studentów stali się dwojgiem ludzi z pewnym doświadczeniem życiowym, którzy poradzili sobie z pierwszym poważnym kryzysem i teraz nic już nie było im straszne.

Ewa wreszcie poczuła impuls, na który bezowocnie czekała dwadzieścia dziewięć lat: cudownie byłoby trzymać w ramionach małego człowieczka, który byłby ucieleśnieniem tych wszystkich dobrych rzeczy, jakie kiedykolwiek wydarzyły się między nią a śpiącym obok mężczyzną. „Który byłby ucieleśnieniem

naszej miłości”. Przeczesiała delikatnie palcami rozczochraną czuprynę męża i puściła wodze wyobraźni. Jaka byłaby ich córka? Czy byłaby podobna do Ewy, równie ambitna? A może mieliby syna? Bez trudu zobaczyła wysokiego, roześmianego chłopca grającego z ojcem w piłkę, jeżdżącego na rowerze, puszczającego własnoręcznie zrobiony latawiec...

\*

Przez uchylone drzwi łazienki zauważyła, że Jacek się przeciąga. Narzuciła na ramiona cienki szlafrok, pokonała szybkim krokiem odległość dzieląca ją od łóżka i usiadła na jego skraju.

— Dzień dobry — powiedziała i pocałowała go w usta.

— Ja nie chcę się obudzić... — mruczał Jacek, wciąż nie otwierając oczu.

— Musisz. Mam coś dla ciebie — oznajmiła i sięgnęła pod poduszkę, gdzie ukryła wcześniej dużą, kolorową kopertę. — Wiem, że twoje urodziny wypadają jutro, ale chciałam skorzystać z tego, że dziś mamy wolne, i podzielić się tym z tobą już teraz. Wszystkiego najlepszego! Niech spełni się wszystko, czego sobie życzysz.

— Życzę sobie, żeby zawsze było tak jak zeszłej nocy — powiedział z przekonaniem i wziął kopertę. — Co to takiego?

— Otwórz!

Z koperty wypadło na pościel potwierdzenie rezerwacji z biura podróży i bilety lotnicze. Jacek szybko przebiegł je wzrokiem, a kiedy dotarło do niego, jaki termin wybrała Ewa, otworzył szeroko usta ze zdziwienia.

— Ewka, to przecież cały tydzień...

— Nie bój się, rozmawiałam już z Witkiem, masz wolne — oznajmiła, z przyjemnością obserwując jego reakcję. — Ja też mam wolne. Należy nam się odpoczynek.

Twarz Jacka rozjaśnił szeroki uśmiech. Jeszcze raz obejrzał zawartość koperty. Nie ulegało wątpliwości, że prezent go ucieszył.

— Poza tym chciałam... chciałam, żebyśmy pobyli ze sobą — powiedziała wprost. — Posklejali to, co się potłukło... No wiesz.

— Wiem — odparł Jacek i uściśnął jej dłoń. — I tak właśnie będzie: posklejamy. Ludzie, co ja mówię, ja już czuję się posklejany! Ale to przed twoim wyjazdem do Dublina, no nie? — przypomniał sobie.

— Tak, tu nic się nie zmieniło. Pojadę, skończę operację Albatross, dostanę megapremię. Później wrócę, pozamykam wszystkie sprawy. A później... później się zastanowimy...

— Nad czym się zastanowimy? — chciał wiedzieć Jacek.

Ewa kilka razy otwierała i zamykała usta, jakby próbowała znaleźć odpowiednie słowa. W końcu zapytała nieśmiało:



— Wyobrażałeś sobie kiedyś, że jest nas troje? Myślałeś, jak by to było?

Uśmiech, który odmalował się na twarzy jej męża, przebił nawet ten sprzed kilku minut. Przewrócił ją na plecy i pocałował, a następnie odpowiedział:

— Pewnie. A nawet czworo... ale jak ty byś to pogodziła z pracą?

— Jeszcze nie wiem. Może zmieniłabym dział w firmie... może spróbowałabym się zająć szkoleniami? W każdym razie rok urlopu macierzyńskiego to chyba dość, żeby to przemyśleć. Prawda?

— Prawda. Jakkolwiek by było, dasz sobie radę. Kto jak nie ty? — Pocałował ją jeszcze raz. — Chodź tu, moja przyszła Matko Polko.

„Chyba matko korporko” — dodała Ewa w myślach i odwzajemniła pocałunki. „Będę najlepszą korporką na świecie”.

